



SEKRETY NOTATNIKA

EVE HAAS

HISTORIA
PRAWDZIWA

Na tropie niezwyklej tajemnicy rodzinnej:
wymazane z kart historii dzieje miłości pruskiego
księcia i polskiej arystokratki oraz losy ich potomnych

Haas Eve

Sekrety notatnika

Prawdziwa historia rodzinna okryta tajemnicą przez cztery pokolenia. Początek dała jej płomienna miłość księcia Prus Augusta do Emilie, młodej polskiej arystokratki. Po śmierci Augusta dwór pruski zadbał o to, by wymazać z kart historii wszelkie wzmianki o ostatniej żonie księcia oraz ich jedynej córce, którą oddano na wychowanie żydowskiej rodzinie, co miało ochronić ją przed wrogością dworu. Ponad sto lat później Anna Jaretzki – wnuczka książęcej pary i babka autorki – zginie z wyczerpania w drodze do obozu w Auschwitz.

Eve Haas miała zaledwie osiem lat i była żydowską uczennicą w berlińskiej szkole, gdy naziści zaczęli niszczyć świat, który znała i w którym czuła się bezpieczna. Szczęśliwie jej rodzicom udało się wywieźć dzieci z Niemiec do Londynu, gdzie wszyscy rozpoczęli nowe życie. Dla Eve groza wojny należała do przeszłości – aż do dnia, w którym odziedziczyła cenny rodzinny notatnik, skrywający zdumiewające dzieje czterech pokoleń jej rodziny. Mimo zakazu ojca Eve postanowiła się dowiedzieć, w jaki sposób jej praprababka weszła do królewskiego rodu i dlaczego jej babka zginęła z rąk nazistów.

Eve Haas urodziła się w 1924 roku we Wrocławiu. Po dojściu Hitlera do władzy wyemigrowała w 1934 roku wraz z rodziną do Anglii i zamieszkała w Londynie, w dzielnicy Hampstead. Po wojnie wyszła za mąż za Kena, z którym ma trzech synów. Została pisarką, autorką opowiadań i książek dla dzieci oraz reportaży dla gazet i magazynów. Nadal mieszka w północnym Londynie. Ta książka opisuje historie prawdziwe. W celu ochrony prywatności pewnych osób niektóre imiona zostały zmienione.

Szczególne podziękowania kieruję do Andrew Croftsa i Timothy'ego Haasa za ich wkład w pisanie tej książki.

Bardzo wiele zawdzięczam moim najdroższym rodzicom, Hansowi i Grecie, oraz stryjowi Freddy'emu i jego żonie Alice.

Mój ukochany mąż Ken był dla mnie oparciem, a trzech synowie - Anthony, Timothy i David - inspiracją. Bez nich nie doszłoby do mojej wyprawy w przeszłość.

Prolog

Pierwszy rzut oka na notatnik

Po raz pierwszy zobaczyłam ten notatnik w Londynie w 1940 roku i od razu urzekła mnie jego tajemnicza historia. Toczyła się wojna, a my przebywaliśmy w mieszkaniu w dzielnicy Hampstead, które zajmowaliśmy od czasu naszej ucieczki z kontynentu europejskiego do Anglii w 1934 roku. Przez całą noc trwał przerażający nalot bombowy na miasto i o świcie wszyscy troje byliśmy roztrzęsieni.

Ojciec przyniósł ten zeszyt ze sobą na śniadanie - zapakowany w kopertę i przewiązany zieloną wstążką. Nigdy wcześniej nie mówił mi o nim, ale najwyraźniej teraz uznał, że z chwilą gdy skończyłam szesnaście lat, nadszedł czas, aby poinformować mnie o istnieniu naszego rodzinnego sekretu. Może wstrzymywał się z objaśnieniem mi historii

tego kajeciku do chwili, w której stwierdził, że osiągnęłam już odpowiedni wiek, aby można było mi zaufać i liczyć na moją dyskrecję. Albo może bliskość spadających w nocy na miasto bomb przypomniawszy mu o jego śmiertelności i nie chciał ryzykować, że zabierze ten sekret ze sobą do grobu? Nigdy się nie dowiedziałam, dlaczego właśnie tego ranka wyjął skądś ów notatnik, który ukrywał od czasu naszego przyjazdu do Londynu, i w mojej obecności wyjął go z koperty.

- Co to jest? - spytałam, gdy tylko usiadł z nami przy stole.

- Och, to nic wielkiego - oznajmił, gdy matka nalewała kawę, jakby starał się umniejszyć wagę notatnika. - To tylko notatnik.

- Nie wiedziałam, że prowadzisz pamiętnik - zdziwiłam się, w dziewczęcej ignorancji przekonana, że wiem wszystko o swoim ukochanym ojcu.

- No cóż - zaczął.

Przez moment wyglądał na nieco zakłopotanego, jakby został przyłapany na ukrywaniu czegoś. Może miał jakieś wątpliwości związane z tym, co powiedział, bo mama spoglądała na niego nieugięte, jakby nie w pełni aprobowwała jego decyzję.

- Nie prowadzę pamiętnika - oznajmił z uśmiechem.

- To tylko stara pamiątka rodzinna - wyjaśniła mi szorstko matka, najwyraźniej w pewien sposób przychodząc mu na ratunek.

Nie wiem doprawdy, czy porozumiał się z nią w sprawie poinformowania mnie o notatniku, czy też podjął decyzję sam, ale. wymienili spojrzenia, których nie potrafiłam

odczytać, i chyba uznali, że powinni mi wyjaśnić, co to za rewelacja. W każdym razie ojciec wręczył mi kajet.

- Obchodź się z nim ostrożnie, Eve - przestrzegł mnie, jakbym była małym niezdarnym dzieckiem, które może wypuścić notatnik z rąk i rozsypać kartki. - Jest bardzo stary.

Trzymając go w dłoniach, stwierdziłam, że jak na coś tak małego ma swój ciężar. Moją uwagę przyciągnął wytłoczony na srebrnej, pozłacanej okładce okazały herb rodowy. Gdy delikatnie przesunęłam po nim kciukiem, wydał mi się solidny i okazały. Otworzyłam notatnik na pierwszej stronie i przeczytałam na głos widniejące tam zdanie w języku niemieckim, napisane eleganckim charakterem pisma.

Piękna właścicielka tego kajetu jest mi droższa nad życie - August, twój protektor.

Spojrzałam pytająco na rodziców, ale oboje milczeli, koncentrując się na jedzeniu śniadania.

- Kto to jest ten August? - spytałam.

Ponownie spojrzeli na siebie, jakby zdenerwowani, i ojciec chyba podjął życiową decyzję.

- Pochodził z rodziny królewskiej - oznajmił. - To książę pruski, twój prapradziadek, Eve.

- Dziadek Anny był księciem pochodzącym z królewskiej rodziny? - spytałam po chwili zadumy nad taką informacją.

Bez powodzenia próbowałam sobie wyobrazić swoją dobrą, chorą na zapalenie stawów babcię jako osobę tak blisko spokrewnioną z rodziną królewską. Księżna Anna... Wydawało się to zbyt fantastyczne, żeby mogło być prawdziwe.

- Książę ożenił się z Emilie Gottschalk, córką żydowskiego krawca, i... - odpowiedział mi ojciec, jakby z wahaniem.

Czyżby żałował, że w ogóle zaczął tę rozmowę, i był teraz skłonny zgasić mój entuzjazm i ciekawość? Czyżby uważał tę historię za zbyt krępującą?

- Wiemy bardzo niewiele, a na dodatek są to tylko informacje przekazywane z ust do ust - dokończył zdanie z przekonaniem. Sprawiał wrażenie, że chce jak najszybciej zmienić temat, jakby powiedział mi już wszystko, co jego zdaniem powinien, i uważał dalszą rozmowę o tej sprawie za bezsensowną. Dodał jednak po chwili: - Wszystko, co istnieje, to tylko ten notes...

- Dlaczego tylko on? - spytałam i ponownie pogładziłam okładkę. Nie zamierzałam tego tak zostawić. Któżby szesnastolatka chciała porzucić myśl, że może być potomkinią księcia, i nie zadała w tej sprawie mnóstwa pytań? Spytałam więc: - A co z matką Anny? Jak miała na imię?

- Charlotte - odpowiedział ojciec, unikając mojego i matki spojrzenia i skupiając całą uwagę na jedzeniu śniadania. - Była córką księcia Augusta.

- No cóż - zaczęłam nieco sfrustrowana ich wymijającymi odpowiedziami. - Muszą istnieć jakieś dokumenty dotyczące jej życia...

- Eve - przerwał mi ojciec, unosząc dłoń. - Moja matka dała mi...

Umilkł w pół zdania, jakby zbierał siły, aby móc w mojej obecności zapanować nad emocjami, a mnie zaczęło dręczyć poczucie winy, że zmusiłam go do rozmowy na te-

mat babci Anny. Anna pisała do nas listy, które nieregularnie przekazywał nam Czerwony Krzyż, co samo w sobie bardzo nas martwiło, choć twierdziła, że u niej wszystko w porządku. W ojcu tliła się nadzieja - o czym wiedziałam - że jeśli jego matka, a moja babcia, zostanie aresztowana, to odejdzie z tego świata, zanim zacznie cierpieć w sposób trudny do wytrzymania. Z drugiej strony starał się nie dopuszczać do siebie myśli, że może już nigdy jej nie zobaczyć i nie pożegnać się z nią, a także nie dowiedzieć się, jak straciła życie. Ja też bardzo się o nią bałam, kiedy zaczęły do nas docierać wiadomości, jak rozpaczliwa jest sytuacja Żydów, którzy zostali w okupowanej przez Niemców Pradze.

Nie tylko my się martwiliśmy. Wiele żyjących w Anglii rodzin żydowskich musiało z tego czy innego powodu zostawić swoich krewnych na kontynencie europejskim, gdy uciekali przed zabójczą nienawiścią wobec Żydów szerzoną przez Hitlera. W rzeczywistości jednak mieliśmy więcej szczęścia niż wiele z tych rodzin, gdyż przed wojną moi rodzice dużo podróżowali i mieli przyjaciół w różnych krajach. Niestety, jeśli chodzi o babcię Annę, to była ona zbyt stara i powolna z powodu zapalenia stawów, aby móc uciec z Pragi do Anglii wraz ze swoim synem Freddym - bratem mojego ojca i moim stryjem - oraz z jego rodziną, wtedy, w 1938 roku. Zarówno stryj, jak i mój ojciec czuli się zmuszeni przedłożyć bezpieczeństwo swych żon i dzieci nad dobro starej matki, zwłaszcza że absolutnie nie chciała nigdzie wyjeżdżać. Postąpili słusznie, lecz mimo to ojciec przez cały czas miał silne poczucie winy i zadręczał się z powodu braku informacji o tym, co dzieje się teraz w Pradze.

W panującej ciszy zaczęłam znowu przeglądać otrzymany od niego cenny kajecik.

- Mamy tylko ten notatnik - oznajmił po kilku minutach. - W naszej rodzinie przekazujemy go z pokolenia na pokolenie. To jedyny dowód, którym dysponujemy, że Emilie i August byli ze sobą i że wywodzimy się z ich związku. Gdy mnie zabraknie, ty przechowasz notatnik i przekażesz go komuś z następnego pokolenia. Nie wolno ci jednak nic z nim robić. Pamiętaj, Eve, nie ma nic więcej do odkrycia. Nic więcej nie zostało napisane, nic więcej nie istnieje. Wszystko, co wiemy, to opowieść przekazywana z ust do ust. Z tamtych czasów zachował się tylko ten pamiętnik i będąca w posiadaniu stryja Freddy'ego miniatura portretowa Emilie - matki Charlotte. Chciałem tylko, abyś wiedziała, że w twoich żyłach płynie błękitna krew. To wszystko. Po prostu musisz się tym zadowolić.

Pomimo całej swojej naiwności nie potrafiłam się pogodzić z jego podejściem, ale byłam wystarczająco dorosła, aby wiedzieć, że nie powinnam już wywierać na niego presji. Spotkał mnie wielki zaszczyt: ojciec powierzył mi pieczę nad tą cenną i tajemniczą pamiątką rodzinną i polecił w przyszłości przekazać sekret mojej praprababki osobie z następnego pokolenia. Uwielbiałam ojca bardziej niż kogokolwiek innego, lecz był człowiekiem drażliwym, a poza tym liczyłam się z jego zdaniem. Skoro nie chciał, żebym poszukiwała dalszych informacji na temat przeszłości naszej rodziny, nie sprzeciwiałam się już więcej jego życzeniu.

Ojciec wręczył notes mojej matce, a ta pospiesznie włożyła cenną pamiątkę z powrotem do starej żółtej koperty, tę przewiązała zieloną wstążką i wyszła z pokoju,

zabierając ze sobą pakiecik. Po kilku minutach spotkałyśmy się w kuchni, gdzie zmywałam naczynia po śniadaniu.

- Król nie wyraził zgody, lecz mimo to August ożenił się z Emilie - szepnęła mi do ucha matka, głaszcząc mnie po głowie.

Na podstawie wydarzeń, które nastąpiły w okresie mojego dzieciństwa w Berlinie, wiedziałam, jak niebezpiecznie jest być krewnym kogoś niewłaściwego lub rozgniewać tych, którzy mają władzę nad życiem i śmiercią innych. Uznanie przez kogoś, że ma się złe pochodzenie rasowe, mogło oznaczać natychmiastowe aresztowanie i bardzo niepewny los. Żadna z żydowskich rodzin mieszkających wówczas w Europie nie chciała ściągać na siebie uwagi. Kluczem do przetrwania była maksymalna dyskrecja i powstrzymanie nadmiernych ambicji. Rozpowiadanie, że w linii prostej wywodzimy się z jednego z najbogatszych i najpotężniejszych rodów królewskich w historii - jak później odkryłam - mogło raczej zirytować ludzi, niż oczarować czy zaintrygować. Mimo to nadal pragnęłam móc dowiedzieć się więcej na temat historii, która sprawiała wrażenie śnionej na jawie bajki.

Z pewnością ojciec powiedział mi o notesie w przeświadczeniu, że urzeknie mnie czar opowieści o Auguście i Emilie i w przyszłości przekaże ów pamiętnik któremuś z dzieci, tak jak on teraz przekazał go córce. Musiał wierzyć, że cenny notatnik będzie bezpieczny w dobrych rękach kochającej go Eve. Dlatego gdy o tym myślę, jeszcze dziś czuję wzruszenie i dumę, że wybrał mnie, abym to ja poinformowała o rodzinnym sekrecie osobę z następnego pokolenia. Ale gdy tamtego dnia jadłam z rodzicami śnia-

danie, nie miałam pojęcia, jak fantastyczną wyprawę w przeszłość odbędę dzięki tej rodzinnej pamiątce, pokonując zamknięte i niebezpieczne granice, żeby odkryć prawdy, które zostały starannie ukryte i były pilnie strzeżone przez ponad sto lat.

1

Żegnaj, Berlinie! Witaj, Hampstead!

Większą część dzieciństwa spędziłam w Berlinie, w okresie wrzenia politycznego w Niemczech. Urodziłam się 26 czerwca 1924 roku, w dniu urodzin mojego ojca. Matka zaczęła rodzić w stanie szoku, gdy jej siostra Fridl poinformowała ją, że ojciec został śmiertelnie ranny w wypadku samochodowym, jak doniosła berlińska popołudniówka.

W rzeczywistości ojciec nie zginął, lecz walczył o życie w jakimś klasztorze. Gdy w interesach wyjechał z Wrocławia, gdzie wtedy mieszkaliśmy, zmusił go do usunięcia się z drogi wyładowany sianem wóz drabiniasty, powożony przez kobietę w czerwonej chustce na głowie, bo koń wystraszył się warkotu silnika i stanął dęba. Ojciec uwielbiał prowadzić swojego nowego buicka 24-54 i siedział za kierownicą, choć był z nim jego szofer. Nie chcąc, żeby koń

runął na samochód, ojciec gwałtownie skręcił; auto stoczyło się do rowu i przewróciło na bok. Kierowca wyszedł z tego wypadku bez szwanku, ojcu natomiast pękła czaszka, a poza tym złamał rękę i nogę.

Gdy szofer wygramolił się z buicka, pomachał na przejeżdżający obok samochód. Siedzący za kierownicą mężczyzna zatrzymał się, lecz odmówił zabrania „umierającego mężczyzny”. Następna nadjechała wyładowana cegłami ciężarówka, której szofer zgodził się podwieźć mojego nieprzytomnego ojca do pobliskiego klasztoru, spodziewając się, że zakonnice uratują rannemu życie. Z braku innej możliwości kierowca ojca przyjął ofertę i zakonnice zaopiekowały się nieprzytomnym człowiekiem w prawdziwie chrześcijańskim duchu pomocy. Wiadomość o wypadku dotarła jakoś do Berlina, do pierwszego z brzegu dziennikarza, który postanowił - bez sprawdzania - opublikować ją jako news.

Ojciec przebywał pod troskliwą opieką zakonnice przez pięć dni, zanim na tyle odzyskał siły, że można go było przetransportować do Wrocławia, do szpitala, gdzie nadal przebywałam z matką po najwyraźniej trudnym i traumatycznym dla niej porodzie. Gdyby tata zginął w tym wypadku lub zmarł później w klasztorze w wyniku odniesionych obrażeń, sprawy potoczyłyby się zupełnie inaczej. Jego matka Anna nie mogłaby wówczas przekazać mu notatnika, który później miał trafić do mnie. Oddałaby go na przechowanie stryjowi Freddy'emu i zagadkowa przeszłość naszej rodziny pozostałaby dla mnie tajemnicą.

Przyszłam na świat w dramatycznych okolicznościach, ale kilka pierwszych lat mojego życia upłynęło pod zna-

kiem stabilności i był to przyjemny okres. Jako małe dziecko mieszkałam wraz z rodziną w centrum Berlina, blisko dziadków i stryja Freddy'ego oraz jego rodziny. Obu braci łączyła wielka zażyłość, nawet wyglądali podobnie, choć Freddy miał cięższą budowę i był wyższy.

Moi rodzice, Hans i Margarethe Jaretzki, pobrali się w czasie pierwszej wojny światowej, gdy w 1917 roku ojciec powrócił do domu, z przyczyn zdrowotnych wycofany z rosyjskiego frontu. Dziadek ze strony ojca, Samuel Jaretzki, był twardym, zdyscyplinowanym człowiekiem, bardzo szanowanym maklerem o najdłuższym stażu wśród maklerów giełdy berlińskiej. Nie chciał, żeby mój ojciec ożenił się z moją matką, choć nie wiem dlaczego. W tej sytuacji stanowczy, a zarazem dyskretny - jak zwykle - w swoim postępowaniu Hans po prostu się spakował i wyprowadził z domu. Jego matka Anna zaczęła go szukać i odnalazła w jakimś hoteliku. Używając całego swego czaru, nakłoniła syna do powrotu do domu, a męża do ustąpienia w sprawie małżeństwa Hansa.

Hans był architektem, kolejnym w rodzie Jaretzkich. Ośmiu z nich praktykowało w Berlinie, a ostatni, Frank Jarrett, po długiej i błyskotliwej karierze zmarł w Kalifornii w 2009 roku; miał pięćdziesiąt osiem lat. W Kalifornii działa również jako architekt jego syn Norman. Niektóre ze wzniesionych przez Jaretzkich w Berlinie budynków istnieją do dzisiaj, choć miasto zostało niemal w osiemdziesięciu procentach zniszczone w czasie drugiej wojny światowej, najpierw w wyniku bombardowań dokonywanych przez aliantów, a następnie w rezultacie ostrzału artyleryjskiego podczas szturmów Sowietów na stolicę Trzeciej

Rzeszy, kiedy to sforsowali oni ostatnią linię obrony Hitlera i zmusili Niemcy do kapitulacji. Na początku 1917 roku Hans został ranny i wycofano go z linii frontu pierwszej wojny światowej. Jako architekt i inżynier otrzymał od dowództwa armii niemieckiej rozkaz budowania na granicy z Polską fabryk amunicji i sprzętu bojowego, w związku z czym moi rodzice przenieśli się do Prus Wschodnich.

Ojciec był łagodny, cichy i rozważny, inny niż matka, atrakcyjna drobna brunetka. Ten szczupły mężczyzna o jasnej cerze i jasnych włosach wystrzegał się konfliktów osobistych i starć z ludźmi. Dwa lata po ich ślubie urodził się mój brat Claude, który pod wieloma względami okazał się podobny do matki. Ja urodziłam się pięć lat po nim i byłam znacznie bardziej podobna do ojca. Claude wyrósł na wysokiego i przystojnego mężczyznę, który pozostał w bardzo dobrych stosunkach z matką ze względu na podobieństwo ich osobowości. Babcia Anna natomiast nie czyniła tajemnicy z tego, że uwielbia mnie, a ja odwzajemniałam jej uczucie. Przy każdej okazji zaspokajała moje zachcianki i żywo interesowała się moją szkołą oraz postępami w nauce. Kupowała mi specjalne czekoladowe figurki. Pamiętam, że kiedyś zabrała mi te skarby moja bardzo surowa guwernantka *Fraulein* Muller, ponieważ nie chciałam jeść obiadu. Do dziś żałuję, że je straciłam.

To były szczęśliwe lata dla naszej rodziny i wciąż przechowuję w pamięci obrazy z tamtego okresu, jakby wszystko zdarzyło się wczoraj: zabawy z moją przyjaciółką Lottie Schulz, wyprowadzanie psa starej damy czy zawijanie

w gazetę fenigów i zrzucanie ich z naszego balkonu na pierwszym piętrze kataryniarzowi oraz występującej z nim małpce. Kataryniarz zdejmował wówczas kapelusz, do którego małpka zbierała pieniądze. Żyliśmy bardzo wygodnie. Matka miała nie tylko pokojówkę, ale także mieszkającą z nami opiekunkę do dzieci. Wtedy nie przeszło mi nawet przez myśl, że mogą nas czekać tak straszne czasy. W tej części Europy antysemityzm był od wieków zjawiskiem powszechnym, lecz jako dziecko żyłam w błogiej nieświadomości jego istnienia, osłaniana przez kochającą rodzinę, a przede wszystkim nie zdawałam sobie sprawy, że nienawiść do Żydów narasta tu z każdym rokiem. W końcu jednak prawda o tym musiała do mnie dotrzeć. Mieszkaliśmy w Niemczech do wiosny 1934 roku, wystarczająco długo, abym mogła poznać szokującą prawdę, że nie jesteśmy tu mile widziani, choć w wieku dziewięciu lat było mi trudno się pogodzić z takim nastawieniem.

Pamiętam, jak Hitler doszedł do władzy, a także to, że nosiłam naklejkę „Ja für Hitler” z takim samym entuzjazmem jak wszystkie inne dzieci, które znałam. Od tego czasu przed szkołą często stały „brunatne koszule” - członkowie „oddziałów szturmowych” NSDAP, osławionej SA¹ - znani z brutalnych metod postępowania, którzy groźnie na nas spoglądali, sprawdzając, czy nosimy te naklejki na widocznym miejscu. Jako dziewięciolatka siedziałam wraz z innymi przy radiu i słuchałam triumfalnego przemówienia Hitlera. Byłam wytrącona z równowagi z powodu ponurego nastroju dorosłych, ale nie rozumiałam, dlaczego

Skrót od *Sturmabteilungen der NSDAP* - przyp. red.

tak bardzo się boją. Obserwowaliśmy euforię tłumów na ulicach, w głębi duszy jednak odczuwaliśmy przygnębienie, powodowani strachem przed niepewną przyszłością, gdyż zaczynały już do nas docierać pogłoski na temat postępowania z Żydami w innych częściach kraju.

Pewnego dnia rano byliśmy, jak zwykle, o ósmej w naszej klasie, gdy usłyszeliśmy za drzwiami dziwny hałas, jakby czyjeś ciężkie kroki. I rzeczywiście - po chwili do klasy wszedł nasz odmieniony z dnia na dzień nauczyciel, ubrany w buty z cholewami i brunatny mundur nazistowski ze swastyką na naramiennej opasce. Niewysoki *Herr Kähne*, ubrany zwykle w stroje o stonowanych barwach, wydawał się w tym mundurze wyższy i jak nigdy dumny z siebie.

- Od tej chwili nie będziemy się już modlić do Boga, lecz do Adolfa Hitlera! - zawołał.

Gdy tego dnia wracałam ze szkoły do domu, spostrzegłam, że okna sklepu spożywczego i piekarni, gdzie robiliśmy zakupy, są zabite deskami i widnieje na nich na-mazany farbą - z wyraźną złością - napis JUDE. To był okropny, groźny widok. Mój niepokój wzrósł, kiedy na rogu ulicy spotkałam się z moją matką, która płakała.

- Dzieją się straszne rzeczy - powiedziała, zabierając mnie pospiesznie do domu i nie rozwijając tej myśli.

Oczywiście teraz wiem, że właśnie wtedy rozpoczął się pierwszy po dojściu Hitlera do władzy pogrom ludności żydowskiej, wraz z podsycaną umiejętnie antysemicką euforią, którą wywołał wśród młodych Niemców w całym kraju. Wówczas byłam za mała, aby to zrozumieć. Nie mogłam pojąć, dlaczego wszyscy inni w Niemczech sprawiają

wrażenie podekscytowanych tym, co się dzieje, podczas gdy członkowie mojej rodziny i ich przyjaciele są tacy smutni i przestraszeni.

W następnych tygodniach w szkole zawsze kłóciliśmy się o to, komu ma przypaść zaszczyt niesienia ogromnego sztandaru nazistowskiego na czele klasy podczas cotygodniowego przemarszu przez pobliski las za drogą. Kiedyś oświadczyłam, że dziś moja kolej, przepchnęłam się do przodu i uniosłam rękę. *Herr Kähne* wydawał się temu niechętny, ale w końcu wręczył mi sztandar, widać nie przeszedł jeszcze na tyle skutecznego prania mózgu, aby w trosce o przynależność ludzi do właściwej religii obwiniać dziecko o wyznawanie tej niepożądaney. Nie miałam pojęcia, jakie znaczenie ma moje zachowanie, gdy z dumą niosłam sztandar ze swastyką należący do mojej klasy. Chciałam przynależeć do grupy i wraz z nią ekscytować się sytuacją.

Po raz pierwszy usłyszałam ryk tysięcy członków Hitlerjugend śpiewających hymn nazistowski do rytmu wystukiwanego butami z cholewami, gdy maszerowali przez miasto w brnatnych mundurach. Właśnie byłam na dworze wraz z moją przyjaciółką Lottie. Od razu pobiegłyśmy na czoło tłumu, żeby ich oglądać i machać im, i uśmiechałyśmy się do nich uszczęśliwione, kiedy nas mijali. Kobiety wychodziły z domów, witały i całowały chłopców żołnierzy, i napełniały ich manierki wodą. Wydawało się, że oglądanie tego pokazu siły militarnej wszystkich ekscytuje i rodzi jakieś oczekiwania, toteż udzielił mi się ten nastrój, jak każdemu innemu, kto tam był, choć absolutnie nie miałam pojęcia, z czego się cieszę.

Codziennie działo się coś, co mnie zaskakiwało. Na przykład Hermann, brat Lottie, był tak podatny na całą tę propagandę, że doniósł do drużynowego miejscowej drużyny Hitlerjugend na swego ojca, iż ten wypowiada się w domu przeciwko Hitlerowi. W rezultacie, jak można się było spodziewać, ojcu Hermanna i Lottie złożył wizytę oficer gestapo i skutecznie go uciszył. Hermann nie był odosobniony w swym przeświadczeniu, że wierność Fiihrero-wi jest daleko ważniejsza od lojalności wobec własnej rodziny. Ja jednak nie potrafię sobie wyobrazić sytuacji, w której mogłoby mi przyjść do głowy narazić kogoś z rodziny na kłopoty w stosunkach z władzami, a już zwłaszcza mojego ukochanego ojca.

- Ten człowiek to szaleniec - powtarzał mój ojciec, ilekroć padało nazwisko Adolfa Hitlera. - Nie będę mieszkał w kraju, którym rządzi morderca.

Matka uważała, że ojciec ma rację i wkrótce życie w Niemczech stanie się dla nas zbyt niebezpieczne, przed wyjazdem musieli jednak ustalić, gdzie będziemy wolni od różnych zagrożeń. Za pośrednictwem ambasadora Wielkiej Brytanii Erica Phippsa, któremu ojciec zaprojektował i wybudował rezydencję w Wannsee, na przedmieściu Berlina, tacie udało się dotrzeć do brytyjskiego urzędnika kontroli paszportowej w Berlinie Franka Foleya. Jak ostatnio zostało ujawnione, Frank Foley był w istocie szefem brytyjskiej siatki szpiegowskiej w Europie. Uratował ponad dziesięć tysięcy Żydów przed pewną śmiercią, łamiąc brytyjskie i niemieckie prawo. Ojciec wyjechał z Niemiec pierwszy, żeby znaleźć kraj, który nas przyjmie. Gdy matka otrzymała wiadomość, że

dotarł do Anglii, dołączyła do niego, pozostawiwszy mnie pod opieką swej siostry Fridl, a Claude'a u przyjaciół na Śląsku. Rodzice mieli nadzieję, że jakoś zdołamy do nich dotrzeć do dzielnicy Hampstead w północnym Londynie. Nikt spośród członków mojej rodziny nie był praktykującym żydem, ojciec nie chodził do synagogi, choć w końcu zaprojektował jedną z największych, na przedmieściu Edgware, w północnym Londynie. Był dobrze znanym architektem Bauhausu i czołową w nim postacią ruchu modernistycznego, powstałego w Niemczech po pierwszej wojnie światowej. Pomimo wielkich zniszczeń Berlina w 1945 roku kilka spośród zaprojektowanych tam przez ojca budynków ocalało i obecnie są objęte opieką konserwatorską. Niestety, jego reputacja nie wystarczyła, żeby uchronić go przed wzbierającą falą nienawiści. Po wyjeździe ojca sytuacja w Niemczech gwałtownie się pogorszyła. W listopadzie 1933 roku naziści wyrzucili go z Niemieckiego Stowarzyszenia Architektonicznego (BDA). Do tego czasu Reg Calendar, jeden z bliskich doradców Franka Foleya, załatwił ojcu angielską wizę na pobyt stały, pozwalającą podjąć pracę, bez czego byłby deportowany do Niemiec, jak wielu innych. Zaprzyjaźnił się z ojcem i pamiętam, jak odwiedzał nas w Hampstead wraz z rodziną. Dzięki temu na początku 1934 roku rodzice załatwili niezbędne formalności, żebyśmy - ja i brat - mogli do nich przyjechać. Miałam dziewięć lat i byłam zdruzgotana ich wyjazdem oraz koniecznością wyprowadzenia się z ukochanego domu, a przede wszystkim bardzo tęskniłam za ojcem i na każdym znalezionym skrawku papieru pisałam do niego liściki. Tak bardzo przeżywałam zmiany zachodzące wów-

czas w moim życiu, że prawie nic nie jadłam i w zastraszającym tempie traciłam wagę. Bardzo się bałam, że mogę już nigdy nie zobaczyć ojca. Mój brat również przebywał daleko ode mnie, u przyjaciół rodziców na Śląsku, w związku z czym czułam się bardzo zagubiona i osamotniona. Ludzie z dnia na dzień coraz bardziej otwarcie i gwałtownie manifestowali antysemityzm, nawet w naszej małej szkole, gdzie dotychczas byłam taka szczęśliwa. Kiedyś napadło na mnie kilku chłopców. Zerwali mi z twarzy okulary i pobili mnie tylko dlatego, że jestem Żydówką, a im wpojono nienawiść do takich jak ja i zapewniono całkowitą bezkarność za tego rodzaju atak. Matka Lottie przysłała mi miodowe ciastka, ale kucharka mojej ciotki zabrała je, zanim zdążyłam spróbować, bo obawiała się, że mogą być zatrute. Wszyscy Żydzi stali się wręcz obsesyjnie lękliwi, lecz nie bez powodu. Nie wiedzieliśmy już, kim są obecnie nasi dotychczasowi przyjaciele, kto się od nas odwrócił, a kto postanowił kogoś zadenuncjować, żeby uratować swoją skórę. Do mieszkania ciotki przyszli kiedyś umundurowani naziści - wtargnęli do kuchni w porze lunchu, w *eintopf tag* („dzień dań jednogarnkowych”), kiedy wszyscy musieli jeść prosty gulasz, a uzyskane tą drogą oszczędności przekazywać do szkatuły państwowej - z przeznaczeniem na wydatki wojenne. Zjawiali się u nas regularnie, sprawdzając, czy rzeczywiście posiłek naszej rodziny ogranicza się, zgodnie z instrukcją, do jednego garnka, a następnie żądali znacznej sumy pieniędzy, którą, jak twierdzili, zaoszczędziliśmy dzięki takiemu postępowaniu, aby móc ją przeznaczyć na „jałmużnę dla Fuhrera”. Mogli zabrać wszystko, co chcieli,

a my nic nie mogliśmy zrobić. Nie było nikogo, do kogo moglibyśmy się zwrócić o sprawiedliwość czy o ochronę.

Wiosną 1934 roku powróciła do Berlina moja matka z informacją, że wszystko zostało załatwione i że zabiera mnie oraz mojego brata Claude'a do Anglii, gdzie czeka na nas ojciec. To nagłe rozstanie z Berlinem było dla mnie przeżyciem traumatycznym, lecz zarazem ekscytowała mnie myśl, że znowu zobaczę mojego drogiego tatę. Poczułam też ulgę: będziemy z dala od groźnych „brunatnych koszul”! Najtrudniej było mi się rozstać z moją najlepszą przyjaciółką, Lottie. Żegnając się z płaczem, przyrzekłyśmy sobie, że zawsze będziemy do siebie pisały.

Podróż do Anglii przerażała mnie i przytłaczała. W Niemczech wszędzie byli żołnierze i policjanci, toteż w drodze do Holandii, do dzielnicy Hoek van Holland w Rotterdamie, gdzie mieliśmy wsiąść na statek, za każdym razem, gdy ktoś na nas spojrzał, spodziewaliśmy się, że nas zatrzymają i aresztują. Gdy w końcu dotarliśmy do szarego, zamglonego kanału La Manche, dręczyła mnie choroba morska, bo pogoda była sztormowa i statkiem rzucały olbrzymie fale. Kiedy w Londynie staliśmy w pociągu w kolejce, aby wsiąść przy Liverpool Street, doświadczyłam nawrotu choroby morskiej, częściowo z tego powodu, że matka kazała mi od razu zacząć żyć, jakbym była angielską dziewczynką, i zjeść na śniadanie wędzonego śledzia. Otóż ostatnią rzeczą, jaką można sobie w takiej sytuacji napęścić żołądek, jest nieznaną, aromatyczną rybą wędzoną.

Pełen obaw ojciec czekał na nas na peronie. Rzuciłam mu się w ramiona, a on serdecznie mnie uściskał. Gdy tyl-

ko znalazłam się przy nim, poczułam, że wszystkie moje problemy zniknęły i poradzę sobie z rozłąką z Berlinem i z Lottie. Gdy był z nami jako nasz przewodnik po Londynie, panujący na dworcu ruch i dobiegający zewsząd cudzoziemski język nie działały na mnie tak przytłaczająco. Zaraz podszedł do stojącej na postoju taksówki i kazał kierowcy zawieźć nas do pensjonatu przy Fairfax Road, w Hampstead, gdzie od jakiegoś czasu moi rodzice mieszkali. Tą otwartą po bokach taksówką kierował mężczyzna

O zaczerwienionej twarzy, w płaskiej czapce na głowie. Dla mnie było to bardzo brytyjskie doświadczenie. Cieszyłam się, że pęd świeżego powietrza uwalnia moje usta od smaku wędzonego śledzia, choć było bardzo zimno.

Z zaskoczeniem stwierdziłam, że w pensjonacie mieszkają niemieccy lekarze pracujący w niemieckim szpitalu w Londynie. Matka położyła mnie do wielkiego wiktoriańskiego łóżka, na którym pościel składała się z prześcieradeł

i koców, co też było nowym doświadczeniem dla dziecka przyzwyczajonego do spania pod pikowaną kołdrą i na piernacie, lecz zarazem doświadczeniem przyjemnym w porównaniu z jedzeniem na śniadanie wędzonego śledzia. W sypialni znajdował się kominek, z którego przez komin docierało do moich uszu stłumione gruchanie siedzących na dachu gołębi. Właśnie zapadałam w sen po wyczerpującej podróży. Nigdy wcześniej nie słyszałam takich dźwięków. Nareszcie poczułam się bezpieczna po długiej rozłące z ojcem.

Gdy rano jedliśmy śniadanie, na stole siedział żółw, który z zadowoleniem pałaszował liście sałaty, a jego właścicielka, angielska dama, popijała spokojnie kawę, jakby wi-

dok tego zwierzęcia w tym miejscu był dla niej czymś najzwyczajszym na świecie.

- Anglicy są wielkimi miłośnikami zwierząt - wyjaśnił mi ojciec, widząc moje zdumione, lecz zarazem zachwycone spojrzenie.

Następnym problemem było znalezienie szkoły dla dziecka, które nie mówiło po angielsku.

Ostatecznie zgodzono się przyjąć mnie do Kingsley School w Belsize Park, w pobliżu Hampstead.

Czułam ulgę, że jestem daleko od brunatnych uniformów i butów z cholewami, ale bardzo tęskniłam za życiem w Berlinie i za Lottie, z którą tyle mnie łączyło. Nie skarżyłam się jednak. Wiedziałam, że nie mamy wyboru, a poza tym nigdy nie kwestionowałam decyzji rodziców. W tamtych czasach dzieci nie pozwalały sobie na takie rzeczy.

Rzucono mnie na głęboką wodę, ale opanowałam angielski nadspodziewanie szybko. Rozpierała mnie duma, gdy przy całej klasie nauczycielka oznajmiła, że gdyby nie wiedziała, iż to ja czytam na głos swoje wypracowanie, wzięłaby mnie za Angielkę. Z czasem stałam się bardziej pewna siebie, a zarazem nieco bezczelna, za co usunięto mnie z lekcji niemieckiego, bo śmiałam się z akcentu rudowłosej pani Jones. Nigdy nie pozwolono mi wrócić na jej lekcje i skierowano na naukę łaciny.

Lottie pisała do mnie listy, zgodnie z tym, co obiecała, ożywiając moje wspomnienia z Berlina i wyznając, jak bardzo za mną tęskni, oraz informując o wszystkim, czego mi tu brakowało. Gdy tylko nadchodził od niej list, natychmiast go otwierałam i delektowałam się każdym jej słowem, z jednej strony podekscytowana przekazywanymi

wiadomościami, a z drugiej zasmucona przypominaniem mi, co zostawiłam w Berlinie. Niektóre z tych wiadomości były zaskakujące. Lottie pisała na przykład, że „najlepszą lekcję w szkole” ma w każdą sobotę, kiedy uczy się „wszystkiego o Hitlerze”. W innym liście natomiast zwierzyła mi się z tego, jaką „radość” przeżyła dzięki temu, że „tańczyła dla Hitlera”. Działo się to w 1936 roku i okazję do „tańca” stanowiły Igrzyska Olimpijskie w Berlinie. Pokazałam te listy ojcu, w nadziei że wytłumaczy mi, dlaczego w przeciwieństwie do nas Lottie nie boi się Hitlera. Przeczytawszy je, ojciec spoważniał i zakazał mi pisać do przyjaciółki, zaniepokojony tonem jej wypowiedzi. Nie przyszło mi do głowy, nie posłuchać ojca, ale byłam bardzo przygnębiona, gdy Lottie nadal pisała, wyrażając coraz większe zaskoczenie i żal, że tak nagle umilkłam, bez słowa wyjaśnienia. Ostatecznie decyzja ojca okazała się nadzwyczaj trafna.

W tym czasie babcia Anna mieszkała ze swoim drugim synem, czyli bratem taty i moim stryjem Freddym, w Czechosłowacji. Stryj wyprowadził się z Berlina w 1923 roku, w okresie wielkiego kryzysu gospodarczego, który zapanował po pierwszej wojnie światowej. Wyjechał, zanim jeszcze zapanował terror Hitlera. Otrzymał propozycję podjęcia nowej pracy w Brnie na stanowisku dyrektora do spraw eksportu w dużej fabryce wyrobów włókienniczych Himmelreich & Zwicker, a w 1933 roku został naczelnym dyrektorem w firmie Victoria Assurance w Libercu, w pobliżu Pragi. Mniej więcej w tym czasie, w 1932 roku, zmarł nagle na niezdiagnozowany skręt kiszek, w wieku siedemdziesięciu dwóch lat, mój dziadek Samuel; babcia Anna

w wieku sześćdziesięciu ośmiu lat owdowiała. Ulegając wpływowi planów wyjazdowych mojego ojca, ona także musiała uznać, że Berlin stał się zbyt niebezpieczny, bo wyjechała do Freddy'ego do Liberca. Mój trzynastoletni wówczas brat Claude i ja odwiedziliśmy ją tam wtedy po raz ostatni w życiu. Podczas dwóch czy trzech tygodni pobytu w Libercu spędziłam z nią dużo czasu w jej pokoju. Rozmawiałyśmy o rodzinie i o przyszłości, czytała mi też poezję. Zabrałam ze sobą dziecinny pamiętnik i poprosiłam, żeby się do niego wpisała. Wzięła go ode mnie z uśmiechem i zamieściła w nim następujące słowa:

Kiedy sama będziesz babunią i usiądziesz wraz z dziaduniem w bujanym fotelu, i zaczniecie wspominać radosne dni swego dzieciństwa, nie zapomnij też o swojej Oma Annchen.

Nadal dobrze pamiętam, jak po tych odwiedzinach żegnałam się z nią na dworcu w Pradze. Chciałam na zawsze pozostać w ramionach tej kochającej mnie kobiety. W końcu Claude musiał wziąć mnie za rękę i zaprowadzić do odjeżdżającego za chwilę pociągu, bo inaczej zostalibyśmy na peronie. Nie miałabym nic przeciwko temu, żeby odjechał bez nas, abym mogła rozmawiać z Anną nieco dłużej, ale było to niemożliwe, o czym w głębi duszy wiedziałam. Idąc peronem, przez cały czas oglądałam się za siebie i machałam babci na pożegnanie. Gdy wsiedliśmy do wagonu i pociąg ruszył, wychyliłam się przez okno, wyciągając szyję, żeby po raz ostatni móc spojrzeć na tę zni-

kającą w oddali drobną postać. Kiedy wydobywająca się z komina parowozu para opadła na peron, rozdzieliła nas ostatecznie.

Jestem do Anny bardzo podobna. Mawiała, że widzi we mnie siebie z okresu dzieciństwa. Może twierdziła tak dlatego, że była tak samo jak ja wrażliwa, skłonna do zadumy i zatroskana o innych, a poza tym obie pisałyśmy wiersze? Moi starsi kuzyni twierdzą, że dostrzegają również nasze fizyczne podobieństwo, przynajmniej odkąd sama osiągnęłam wiek, w jakim wszyscy ją zapamiętaliśmy.

Wtedy gdy ja i mój brat rozstaliśmy się z nią na dworcu, wciąż miała obok siebie swojego syna Freddy'ego i jego rodzinę, ale wiem, że córka stryja, Marlies, nie kochała babci tak jak ja. Wkrótce jednak oni też wyjadą z Czechosłowacji i babcia zostanie tam zupełnie sama. Ten moment powracał w moich koszmarnych snach, jakie dręczyły mnie, gdy wojna, przed którą uciekaliśmy, w końcu dotarła do Anglii i w czasie nalotów na Londyn spędzaliśmy nocę w schronie w Hampstead.

Jeszcze w 1937 roku moi rodzice uznali, że powinniśmy odwiedzić Annę w Libercu, bo coraz bardziej martwili się o jej zdrowie. Nieco wcześniej dostałam niepokojący list od babci, która pisała:

Ukochana Euchen,

Minął kolejny rok, kiedy nie mogę Was, najdrożsi, uścisnąć. Nie ma Was już ze mną od dwóch i pół roku. Życzę Wam w całym 1937 roku zdrowia i wszystkiego, co najlepsze. Jeśli chodzi o to pierwsze, Wasza stara Oma



*Dziennik Augusta, księżę pisze
w nim: „Piękna właścicielka tego
kajetu jest mi droższa nad życie”.*

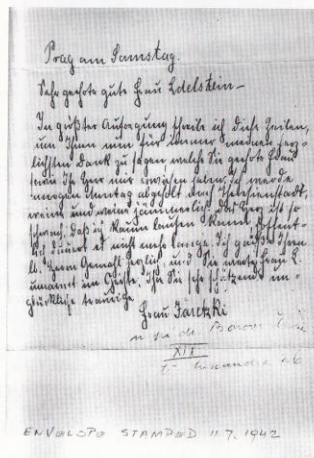
*Charlotte Gottschalk
(z prawej), córka księcia
Augusta i Emilie,
prababka Ewe*



*Ja w wieku szesnastu lat,
w 1940 roku, kiedy mój ojciec
wyjawił mi istnienie notatnika.*



*Mój ojciec Hans i ja po
wyjawieniu mi sekretu*

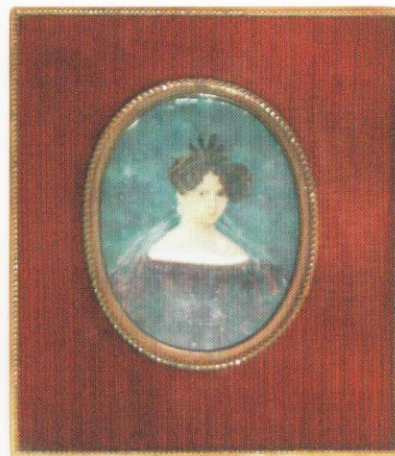


ENVELOPE STAMPED 11.7.1942

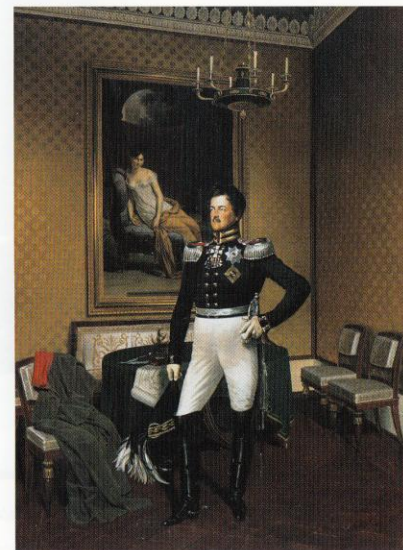
*Ostatni list Anny, z 11 lipca
1942 roku, został w 1956 roku
dorzeczony matce autorki książki
do mieszkania w dzielnicy
Hampstead w Londynie.*



*Moja ukochana babunia Anna na
zawsze pozostanie w moim sercu.*



*Miniatura ukazująca
Emilie von Ostrowską,
namalowana
w 1838 roku przez
Paula Młile, malarza
pruskiego dworu
królewskiego.*



*Książę August
na obrazie
Franza Krügera.*



Przelewice – wiejska rezydencja Augusta, w której Emilie mieszkała pod ścisłą ochroną, kiedy nie przebywała w Berlinie.



Eva z synami – Anthonyem, Davidem i Timothyem – w Austrii, 1965 rok

Checkpoint Charlie w latach siedemdziesiątych XX wieku, w szczytowym okresie zimnej wojny. To tu Ken, Anthony i ja po raz pierwszy przekroczyliśmy granicę NRD.



Moje poszukiwania w końcu doprowadziły mnie, w 1988 roku, na grób Charlotte.



Sarkofag Augusta w katedrze berlińskiej

Nr	Imię i nazwisko	Wiek	Wzrost	Waga	Temperatura	ciężkość	ciężkość	ciężkość	ciężkość	ciężkość
779	Procha	1884	170	55	37.5	100	100	100	100	100
780	Stancová	1884	170	55	37.5	100	100	100	100	100
781	Stancová	1884	170	55	37.5	100	100	100	100	100
782	Stancová	1884	170	55	37.5	100	100	100	100	100
783	Stancová	1884	170	55	37.5	100	100	100	100	100
784	Stancová	1884	170	55	37.5	100	100	100	100	100
785	Stancová	1884	170	55	37.5	100	100	100	100	100
786	Stancová	1884	170	55	37.5	100	100	100	100	100
787	Stancová	1884	170	55	37.5	100	100	100	100	100
788	Stancová	1884	170	55	37.5	100	100	100	100	100
789	Stancová	1884	170	55	37.5	100	100	100	100	100
790	Stancová	1884	170	55	37.5	100	100	100	100	100
791	Stancová	1884	170	55	37.5	100	100	100	100	100
792	Stancová	1884	170	55	37.5	100	100	100	100	100
793	Stancová	1884	170	55	37.5	100	100	100	100	100
794	Stancová	1884	170	55	37.5	100	100	100	100	100
795	Stancová	1884	170	55	37.5	100	100	100	100	100
796	Stancová	1884	170	55	37.5	100	100	100	100	100
797	Stancová	1884	170	55	37.5	100	100	100	100	100
798	Stancová	1884	170	55	37.5	100	100	100	100	100
799	Stancová	1884	170	55	37.5	100	100	100	100	100
800	Stancová	1884	170	55	37.5	100	100	100	100	100

Wpis numer 725
 – fałszywe dane
 dotyczące narodzin
 Charlotte, wprowadzone
 do rejestru kościelnego
 w Berlinie, rok 1838

EDGAR 5.VII 1882-1.IX 1942 * ISIDOR HERBERT
 BIOVA BERTA 11.VIII 1853-21.VIII 1942 * JACOB
 MARTA 18.VI 1887-4.VIII 1942 * JAFFEOVA FANY 21
 II 1943 * RICHARD 4.VIII 1874 KAMILA 24.III 1875-26.X 194
 942 * DEZIDER 27.IX 1907-30.IV 1942 * MAJER 29.XI 1901 A
 VICZOVA GRÉTA 6.V 1917-1.II 1943 * JAKU
 G ARNOŠT 4.I 1906 JAN 13.V 1912-8.IX 1942 * JAN
 H 6.VII 1903-28.X 1944 * DAVID 24.IX 1884-28.X 1944
 (1944 * JARETZKA ANNA 7.III 1864-12.VIII 1942 * JARO
 42 * JEHLICKOVA MILADA 27.IV 1888-15
 * KAMILA 27.VII 1898-26.II 1943 * JELENKIEWIC
 1884 HERMÍNA 30.VII 1898 FRANTIŠEK 21.IX 18
 4 * JOSEF 10.V 1900 BERTA 22.VIII 1900 JIŘÍ 4.X 1935-1
 28.II 1927-22.IX 1942 * OTA 27.IX 1902-28.IX 1944 TRUD
 3-4.VIII 1942 * EMILIE 13.II 1884-25.V 1942 * EVŽENIE 8.IV 18
 OTA 13.IV 1904 JULIE 25.VI 1877-22.V
 07-22.IV 1942 * HANUŠ 27.VI 1890 * EMILIE 20.IX 190

Nazwisko Anny ręcznie namalowane na murze najstarszej synagogi
 w Pradze



Razem z moim wspaniałym Kenem, rok 1983



Eva i Timothy przed pałacem Bellevue



*Więzienie Anny w lipcu 1942 roku — po lewej koszary Hanower
w getcie Theresienstadt*



*Odwiedzam teren cmentarny w Theresienstadt, 12 sierpnia 2005 roku,
w sześćdziesiątą trzecią rocznicę śmierci Anny.*

nie czuje się najlepiej. Przyjmijcie z głębi serca płynące życzenia Szczęśliwego Nowego Roku.

Gdy rodzice zakomunikowali mi swoją decyzję, nie posiadałam się z radości, że zobaczę się z babcią po tak długiej przerwie. W 1937 roku Claude jeszcze mieszkał z nami i cała nasza czwórka udała się najpierw do Muren, do Szwajcarii, bo nasi rodzice musieli po drodze porozmawiać z kimś, kto lepiej niż my wiedział, co się dzieje w Czechosłowacji. Ale może w gazetach przeczytali coś, co ich zaniepokoiło, bo w ostatniej chwili zmienili plany; zostawili nas w hotelu w Muren i udali się w odwiedziny do babci tylko we dwoje. Ta decyzja zmartwiła mnie i zdenerwowała, gdyż robiłam sobie wielkie nadzieje na spotkanie z Anną.

Sądzę, że musieli podjąć ważną decyzję, czy zawrócić z drogi do Liberca, czy też nie, ukrywali jednak swój niepokój o babcię, aby niepotrzebnie nie budzić we mnie strachu. W rzeczywistości byłam wtedy bardziej zawiedziona niż przestraszona, bo z niecierpliwością czekałam na spotkanie z babcią i nie w pełni zdawałam sobie sprawę z rozmiarów grożącego nam niebezpieczeństwa. Mój smutek nieco ustąpił, gdy rano zeszłam na śniadanie i przy sąsiednim stoliku zobaczyłam swojego idola - tancerza i gwiazdora filmowego Freda Astaire'a. Ale nawet to spotkanie jak z marzeń nie mogło na długo poprawić mi humoru.

Freddy opiekował się matką bardzo troskliwie, a poza tym Czechosłowacja nadal była oazą bezpieczeństwa, gdyż tyrańskie rządy Hitlera jeszcze tam nie dotarły. Wróciliśmy do Anglii i nie zobaczyłam się z babcią. Po naszym wyjeź-

dzie sytuacja w Europie się pogorszyła, w szczególności po tym, jak pozwolono Hitlerowi pomaszerować na Austrię i bez walki dokonać jej aneksji. Od tego czasu śledziliśmy w gazetach i w radiu wiadomości o najwyraźniej niemożliwym do powstrzymania marszu niemieckich wojsk na kolejne kraje Europy. W Anglii część ludzi uważała, że jedyną nadzieję na powstrzymanie ambicji Niemiec w zakresie podboju terytorialnego dałoby wypowiedzenie temu krajowi wojny. Zdaniem innych natomiast należało prowadzić politykę ustępstw i zrobić wszystko, co się da, żeby uniknąć wybuchu kolejnej wojny światowej, bo pierwsza pociągnęła za sobą śmierć niemal całego pokolenia młodych mężczyzn. Moi rodzice byli przekonani, że jakkolwiek straszna może być wojna, Hitlera da się powstrzymać tylko siłą, i wcześniej czy później Anglia będzie zmuszona przystąpić do walki, aby bronić się przed niemieckim podbojem.

Dla mojej matki przenosiny do Anglii oznaczały wielką zmianę pozycji społecznej i stylu życia. Zaczynjmy od tego, że nie miała tu pomocy domowej i ciężko było jej wykonywać wszystkie prace samej. Ojcu natomiast żyło się tak samo przyjemnie w Londynie jak wcześniej w Berlinie. Zaprzyjaźnił się z interesującymi ludźmi, na przykład ze słynnym reżyserem Alexandrem Kordą i z jego bratem. Poznał nawet rodzinę Elgarów, gdy w 1935 roku kupił od córki sir Edwarda, niedługo po śmierci tego wybitnego kompozytora, opuszczony przez niego dom przy ulicy Netherall Gardens, z intencją przebudowy i sprzedaży. Ten dom stał tuż za rogiem ulicy, przy której znajdowało się nasze ówczesne mieszkanie na parterze domu przy Fitzjohn's Avenue 51.

Sprzątając strych, ojciec znalazł tam stare, bardzo cenne skrzypce. Zorganizował spotkanie w celu zwrócenia ich córce kompozytora. Dla rodziny Elgarów okazało się to wielkim przeżyciem. Anglicy ogromnie ojca intrygowali, a on, jak się zdaje, intrygował ich. Udzieliło mi się jego pozytywne nastawienie do naszej nowej ojczyzny.

- Angielski policjant to twój najlepszy przyjaciel - powiedział mi wkrótce po moim przyjeździe do Londynu. - Inaczej niż policjant niemiecki.

Stwierdziłam, że ma rację, gdy w drodze do szkoły po raz pierwszy zobaczyłam na końcu naszej ulicy londyńskiego „Bobby'ego”, jak przeprowadzał przez jezdnię dwoje uczniów, trzymając ich za ręce. Od tej chwili nigdy nie czułam się w Anglii przestraszona czy zagrożona, nawet gdy naziści byli po drugiej stronie kanału La Manche, ale często myślałam o babci i zastanawiałam się, jaki straszny los mógł ją spotkać.

Ojciec już w 1936 roku pewny, że wojna nieuchronnie dotrze do Anglii, wzmocnił konstrukcję piwniczki na wino znajdującej się pod nowym domem, który wznosił w miejsce tego kupionego od Elgarów, i zamienił ją w schron, sądząc, że dzięki temu podwyższy cenę budynku. Przebudował ten dom niemal całkowicie, wraz z trzema innymi stojącymi na ogromnym placu. Kiedy po roku czy później pokazał go słynnemu gwiazdorowi music-hallu Budowi Flanaganowi, z duetu Flanagan i Allen, ten, zobaczywszy schron, natychmiast wyszedł z budynku, podobnie jak jego żona, i oskarżył mojego ojca, że jest podżegaczem wojennym. To, że ta transakcja się nie powiodła, okazało się dla

nas błogosławieństwem. Gdy bowiem rozpoczęły się naloty bombowe na Londyn, mogliśmy się chronić w piwniczce własnego domu, kilka kroków od naszego mieszkania, zamiast nocować w tłoku wraz z setkami biedaków na peronach metra w Hampstead, gdzie starali się przetrwać naloty. Mówiło się, że jest to najgłębsza stacja metra w Londynie.

Kiedy dyrektorka Kingsley School oznajmiła nam, że w 1939 roku ze względów bezpieczeństwa szkoła będzie przeniesiona do wiejskiej Kornwalii, kategorycznie odmówiłam wyjazdu. Nie było sposobu, żeby mnie nakłonić do ponownej rozłąki z rodzicami. Rozdzielono mnie już z babcią Anną i codziennie się o nią martwiłam. Nie wytrzymałabym rozstania z całą rodziną. Wolałabym zginąć wraz z rodzicami w nalocie bombowym, niż zostać sama na świecie. Wciąż żywe i przerażające były moje wspomnienia z Berlina, kiedy mieszkałam tam sama i nie wiedziałam, gdzie są rodzice ani co się z nimi dzieje. Tym lepiej zdawałam sobie sprawę, jakim cierpieniem dla ojca i stryja Freddyego był brak możliwości opieki własną matką, która mieszkała w tak niebezpiecznym miejscu w tak groźnych czasach. Modliłam się o to, żeby nigdy nie stanęła przed podobnym dylematem, jaki mieli oni, zmuszeni zostawić ją w Pradze.

W 1940 roku skończyłam szesnaście lat i w świetle prawa stałam się osobą dorosłą, co oznaczało możliwość internowania mnie na Isle of Man jako wrogiej cudzoziemki. Było to jeszcze bardziej przerażające niż ewakuacja wraz ze szkołą do Kornwalii. Na szczęście w porę nastąpiła zmiana prawa i kazano mi złożyć wniosek o „książeczkę

cudzoziemca", co oznaczało, że w dniu szesnastych urodzin muszę się stawić na Bow Street w Covent Garden, w sądzie pokoju, aby tam zostać oczyszczoną z podejrzeń, iż jestem agentką obcego wywiadu. Dwaj rośli policjanci wprowadzili mnie do sali rozpraw jako potencjalnego szpiega. Ojciec usiadł zdenerwowany na ławce na korytarzu - cóż, w każdej sytuacji był moim najlepszym obrońcą.

- Czy należałaś do Hitlerjugend? - spytał sędzia pokoju.

- Nie - odpowiedziałam, oburzona tym pytaniem, ale starałam się tego nie okazać.

- Czy utrzymujesz kontakty z kimś w Niemczech?

- Nie - oznajmiłam zgodnie z prawdą, w duchu dziękując Bogu, że ojciec w swej zdolności przewidywania zakazał mi korespondencji z Lottie.

Gdy do sali rozpraw wezwano ojca, sędzia miał do niego tylko jedno ironiczne pytanie.

- Czy ona kiedykolwiek wymagała porządnego lania? - to było wszystko, co chciał od niego wiedzieć.

Oczywiście ojciec dał pokaz rozbawienia, z ulgą przyjmując takie pytanie, i po przesłuchaniu otrzymałam z sądu książeczkę cudzoziemca, dzięki czemu oszczędzono mi grozy pobytu w obozie dla internowanych.

Gdy przyzwyczaiłam się do myśli o istnieniu tajemniczego notatnika, nie myślałam o nim zbyt dużo w ciągu kolejnych lat. Było tyle innych spraw, którymi dorastająca w tym czasie w Londynie dziewczyna mogła zająć umysł. Podobało mi się, że nasza rodzina ma w swojej przeszłości tak romantyczną historię, ale kiedy się głębiej zastanowiłam, dostrzegłam sens w ostrzeżeniu mnie przez ojca,

abym nikomu o tej historii nie mówiła i nie zadawała na jej temat więcej pytań. Jak bowiem zabrzmiałoby to w uszach moich przyjaciół, gdybym się im nagle zwierzyła, że jestem potomkinią pruskiego księcia? W najlepszym wypadku odebraliby to jako niemądre fantazje romantycznej młodej dziewczyny, a w najgorszym - jako przechwałkę. I jak mogłabym dowieść prawdziwości swoich roszczeń osobom wątpiącym w ich słusność?

Ostatecznie uznałam, że ojciec ma rację i lepiej będzie po prostu zapomnieć o tej historii, by spokojnie żyć w Hampstead, gdzie wiodło nam się tak dobrze, jak to możliwe w ciężkich czasach wojny.

2

Brak wiadomości od babuni Anny z Pragi

Przed 1940 rokiem przeżywałam wraz z ojcem strach i smutek w związku z losem babci Anny, choć ledwie mieliśmy odwagę o tym rozmawiać. Z kontaktów z nią pozostały mi wspaniałe wspomnienia, które ożywały dzięki listom i kartkom świątecznym, które przysyłała z Pragi po naszej ucieczce do Anglii. Zapewniała nas o swojej miłości, ale nie pisała ani słowa o tym, co może ją czekać pod niemiecką okupacją; zaś co do stryja Freddy'ego, był już z nami w Londynie.

Mojej ukochanej Euchen - napisała po niemiecku w jednym z tych listów, do którego jestem po dziś dzień bardzo przywiązana.

Przesyłam Ci najszczęśliwsze życzenia, moje najukochańsze dziecko. Przesyłam Ci w duszy tysiąc najserdeczniejszych całusów, żeby moja mała wnuczka była zawsze szczęśliwa i zdrowa na ciele i umyśle, żeby jej wybory życiowe były zawsze słuszne, żeby pozostała wielką radością swoich rodziców i żeby Bóg łaskawie kierował drogami jej życia, abyśmy wkrótce spotkały się w pokoju, zanim twoja Oma będzie musiała opuścić ten świat. Twoja stara prawdziwa Grossmütterchen

Anna

W innym liście napisała:

Moja ukochana Euchen, jak bardzo chciałabym znowu Cię zobaczyć, moje ukochane dziecko, Ciebie i Claude'a. Nie potrafię opisać, jak bardzo za Wami tęsknię.

Po niemieckiej inwazji na Czechosłowację jej listy zaczęły przychodzić do nas za pośrednictwem Czerwonego Krzyża, a nie pocztą. Nadal nie mogliśmy z nich wywnioskować, co się naprawdę dzieje z Anną i w jak panicznym żyje strachu. Nie chciała po prostu nikogo obarczać swoimi zmartwieniami, a już zwłaszcza wnuczki Evchen.

Gdy w 1938 roku Niemcy zajęły tereny Czechosłowacji, z których utworzyły Kraj Sudecki, znalazł się w nim również Liberec. Wówczas stryj Freddy uciekł wraz z babcią Anną, swoją żoną Lotte i córką Marlies do Pragi. Nie-

stety, wkrótce wojska niemieckie zajęły także i Pragę. Musieli się więc w niezwyklej pośpiechu wydostać z Czechosłowacji, jeśli chcieli uniknąć aresztowania. Stryj Freddy powiedział mi, że na własne oczy widział, jak niemieccy żołnierze przybyli na plac Wacława. Dlatego musiał wraz z rodziną uciekać z Pragi tak szybko, jak tylko to było możliwe. Niestety, zdał sobie wtedy sprawę, że nie będzie mógł zabrać Anny. W tym okresie żydowskim rodzinom nie wolno już było legalnie przekraczać granicy i stryj Freddy musiał wraz z żoną i córką wyruszyć pieszo tajną drogą ucieczki do Włoch, skąd przedostali się do nas do Londynu, gdzie się wreszcie osiedlili. Gdy się zjawili bez babuni, byłam zdruzgotana. Byłam pewna, że zabiorą ją ze sobą, i ledwie mogłam znieść myśl, że została w Pradze jako jedyna z naszej rodziny.

Usłyszałam, że była nieugięta w swej woli pozostania w Pradze, twierdząc, że jest za stara i zbyt chora na zapalenie stawów, aby udać się w podróż, że w drodze byłaby dla nich tylko ciężarem. W końcu stryj Freddy jej ustąpił, widząc, że nie ma wyboru, i w nadziei, że mieszkająca samotnie w tak dużym mieście jak Praga starsza pani nie przyciągnie uwagi nazistów. Niemal nie wychodziła już z domu, jak więc mogli się dowiedzieć, że tam jest? - rozumował stryj. Przy odrobinie szczęścia będzie mogła mieszkać w Pradze w spokoju i wygodzie, jeśli on znajdzie dla niej odpowiednie lokum.

Wiedział, że bez względu na to, co się stanie, musi uratować żonę i córkę, zanim będzie za późno, jeśli nawet oznacza to pozostawienie matki własnemu losowi. Zanim wyruszył do Włoch, poszukał jej mieszkania w dobrej, szó-

stej dzielnicy. Zgodził się przyjąć ją jako sublokatorkę do swojego mieszkania na poddaszu niejaki doktor Borak. W tej dzielnicy mieszkali ludzie zamożni, w tym większość członków personelu ambasad. Stryj uznał, że tylko tu Anna będzie bezpieczna. Zostawił jej tyle pieniędzy, ile tylko mógł. Ich rozstanie - matki i syna - musiało być rozdzierające, gdyż oboje nie wiedzieli, czy jeszcze kiedykolwiek się zobaczą. Ja bardzo mocno przeżywałam rozdzielenie z Anną. Czułam się tak, jakby zniknęła częśćka mnie.

Bez żadnego uprzedzenia od lipca 1942 roku przestaliśmy otrzymywać od babci listy. Z dnia na dzień opanowywał mnie coraz większy strach i coraz trudniej było mi znaleźć jakieś pocieszenie. Nic się nie wyjaśniało. Wyobrażenia podsuwała nam najczarniejsze myśli, które prześladowały nas na jawie i w snach. Udawaliśmy sami przed sobą, że to po prostu wojna zakłóciła funkcjonowanie poczty, a także przekazywanie korespondencji za pośrednictwem Czerwonego Krzyża. W głębi duszy zdawaliśmy sobie jednak sprawę z tego, że prawdopodobnie Annę spotkało coś znacznie gorszego, choć nikt z nas nie chciał wyrazić głośno swoich obaw i uczynić ich przez to bardziej realnymi. Nie wiedziałam, co robić. Czułam się kompletnie bezradna. Chciałam podjąć jakieś działanie, porozmawiać z ojcem lub z matką, ale wiedziałam, że nie mogę. Na nic by się to nie zdało, gdyż wiedzieli tyle samo co ja. Bałam się o Annę, ale znajdowałam pewną pociechę w tym, że ojciec czuje to samo. Z pewnością przez cały ten bardzo trudny okres zadreślał się losem swej matki, martwił się o nią i zastanawiał, czy nadal żyje. Obawiał się po-

nadto, że naziści mogli ją aresztować lub też skazać na grozę egzystencji w Auschwitz. Nawet wtedy, gdy dochodziły do nas od niej listy i kartki, tyle czasu zabierało przesyłanie ich z Czechosłowacji do Anglii, że już w trakcie tego procesu mogło spotkać ją jakieś nieszczęście. Z pewnością ojciec rozpaczliwie pragnął usłyszeć jej głos i ją zobaczyć, a z drugiej strony musiał być wdzięczny losowi za to, że jesteśmy w Anglii bezpieczni. Niewątpliwie czuł się rozdarty i przeżywał konflikt między wiernością matce i przeszłości a odpowiedzialnością za mnie i za matkę, i za nasze życie we wstrząsanym wojną Londynie.

Spotkanie z Emilie

Gdy pierwszego maja 1945 roku obudziłam się rano w swoim pokoju i jak zwykle włączyłam małe radio, usłyszałam niesamowitą wiadomość, że Hitler nie żyje. W tym momencie poczułam głęboką więź emocjonalną z narodem brytyjskim, od Churchilla po króla i naszych sąsiadów w Hampstead. W końcu byłam wolna; nazistowski terror został obalony na dobre, dzięki czemu ludzie mogli się czuć bezpieczniejsi i szczęśliwsi. Odkąd pamiętam, straszna i budząca grozę postać Adolfa Hitlera zawsze rzucała cień na moje życie i teraz nagle ten cień zniknął.

Od 1940 roku pracowałam w Medici Gallery na Grafton Street, w bok od Bond Street. Odpowiadałam za sprzedaż wysyłkową galerii, z której korzystała również rodzina królewska w Pałacu Buckingham, a w szczególności stara królowa Maria. Poznałam jednak nie tylko członków

europiejskich rodów królewskich, ale także Clemmie, żonę Winstona Churchilla, i hollywoodzkiego gwiazdora Danny'ego Kaye'a. Uwielbiałam tę pracę. Najgorszy był powrót wieczorem do domu przez ciemny z powodu wyłączeń prądu Londyn.

W miarę jak dorastałam, moje stosunki z matką stawały się coraz dojrzsze i bliższe. Traktowała mnie bardziej jako partnerkę niż jako dziecko. Wydawało mi się, że z chwilą gdy przyzwyczała się do życia w Anglii i nie musiała już ponosić odpowiedzialności za wychowanie dzieci ani też martwić się o nie, całkowicie zmienił się jej charakter. Z upływem lat stałyśmy się dla siebie bardziej jak siostry niż jak matka i córka.

Kiedy ojciec powiedział mi o notesie, mój brat Claude służył w armii i stacjonował gdzieś w Anglii. Wkrótce jednak awansował na kapitana w Królewskich Wojskach Inżynieryjnych i został wysłany na służbę do Indii, gdzie przebywał do końca wojny. Idąc w ślady naszego wybitnego ojca, studiował architekturę. Ledwie uniknął internowania na okres wojny jako wrogi cudzoziemiec. Po wojnie, zgodnie z tradycją rodzinną, rozpoczął pracę architekta, a w 1950 roku wyemigrował wraz ze swą świeżo poślubioną żoną Inge do Toronto i wniósł wielki wkład w rozbudowę tego miasta.

Zanim wyjechał z Anglii, wyszłam za mąż. W 1946 roku na przyjęciu w północnym Londynie z okazji dwudziestych pierwszych urodzin mojego kuzyna Freddie'ego poznałam Kena Haasa. Ken Haas, podobnie jak my, uciekł przed wojną z Niemiec do Anglii, mieliśmy więc wiele wspólnych doświadczeń. Od razu wywarł na mnie wiel-

kie wrażenie. Był dobrze zbudowanym, wysportowanym mężczyzną, niewysokim, lecz wytrzymałym fizycznie i psychicznie. Miał trzydzieści osiem lat, a ja dwadzieścia jeden, ale z miejsca urzekł mnie swą otwartością i spontanicznością. Pracował w rodzinnej firmie George'a M. Whileya, wytwarzającej na londyńskim West Endzie złotą folię. Był dobrym biznesmenem i jako dyrektor do spraw eksportu rozwinął ją w ciągu lat, a ostatecznie przeniósł do solidnej siedziby w Ruislip. Zakochałam się w nim od pierwszego wejrzenia i w 1948 roku wzięliśmy ślub, a następnie rozpoczął się nasz długi, bo trwający ponad czterdzieści lat, i szczęśliwy związek oparty na partnerstwie. Urodziło się nam trzech synów: Anthony, Timothy i David. Ken był oddanym i kochającym mężem i nigdy nie nudziłam się w jego towarzystwie. Ze względu na swoją pracę dużo podróżował i czasami w ciągu roku przebywał poza domem do pięciu czy sześciu miesięcy, co źle znosiłam, ale być może w pewien sposób te rozłąki jeszcze bardziej cementowały nasze małżeństwo. Wychowując trzech synów, często sama, miałam niewiele czasu lub nie miałam go wcale, żeby zawracać sobie głowę romantycznymi fantazjami o pochodzeniu mojej rodziny. Byłam zajęta rozwiązywaniem codziennych problemów i snuciem planów na przyszłość dla naszych dzieci. W 1955 roku znowu spotkała nas tragedia. U mojego ojca, nałogowego palacza, lekarze wykryli raka. Hans Jarecki miał wówczas dopiero sześćdziesiąt pięć lat. Wydawało się, że jest za wcześnie na to, aby go stracić. Niestety, zmarł dziewięć miesięcy później, w marcu 1956 roku.

Byłam tą śmiercią zdruzgotana. Nie ja jedna. Mojego ojca - osobę publiczną - ludzie uwielbiali i wielu chciało wyrazić żal z powodu jego odejścia. W naszej miejscowej gazecie „Hampstead & Highgate Express” ukazał się artykuł informujący o jego śmierci oraz o dacie i miejscu ceremonii pogrzebowej. Nikomu z nas nie przyszło do głowy, że w ten sposób gazeta upubliczniła informację o nieobecności matki w domu przez co najmniej kilka godzin z powodu oczekiwania, wraz z całą rodziną, na kremację zwłok ojca w Golders Green. Dało to złodziejom dużo czasu na włamanie się do mieszkania rodziców i przetrząśnięcie zawartości wszystkich szuflad i szafek w poszukiwaniu jakichś cennych rzeczy.

Nie ma nic bardziej okrutnego niż naruszenie prywatności rodziny w chwili, gdy jej członkowie są najbardziej bezbronni, bo pogrążeni w żalu po zmarłym. Po powrocie z krematorium z urną z prochami ojca, którą niósł stryj Freddy, zastaliśmy w domu istne pobożowisko, a chcieliśmy odnaleźć tu spokój i powrócić do równowagi. Moja matka była przerażona tym wtargnięciem w jej życie w chwili, gdy musiała zacząć się przyzwyczajać do myśli o samotności. Jej widok rozdzierał nam serca. Pospieszyłam za nią, gdy pobiegła do sypialni. Sądziłam, że potrzebuje czyjegoś wsparcia i chce sprawdzić, czy nie zginęła biżuteria rodzinna darzona przez nią szczególnym sentymentem. Ale skierowała się do toaletki, nie zważając na porzucane po podłodze ubrania i inne rzeczy, jakby myślała tylko o jednym. Przeszukując szufladę, chwyciła białą pożółkłą kopertę przewiązaną zieloną wstążką, którą natychmiast rozpoznałam, bo właśnie tak opa-

kowany był wiekowy notatnik. Pamiątka rodzinna nadal spoczywała w tej samej kopercie, z której ojciec ją wyjął, przed szesnastu laty, żeby mi pokazać.

- Dzięki Bogu - powiedziała matka, przyciskając notatnik do piersi, jakby to była jedyna rzecz licząca się dla niej w całym mieszkaniu, ostatnia cenna rzecz należąca do męża, której mogła się ucześcić, kiedy już go nie było.

Przejęcie, z jakim matka trzymała na sercu tę elegancką książeczkę, na nowo rozbudziło moją ciekawość, którą odczuwałam jako młoda dziewczyna, kiedy ojciec poinformował mnie o istnieniu frapującej rodzinnej opowieści. Byłam ciekawa, czy matka zechce teraz przekazać mi notatnik, w sytuacji gdy zmarł jej mąż. Ojciec powiedział przecież, że ta pamiątka będzie kiedyś moja.

- Mamo - zaczęłam ostrożnie - tata powiedział, że...

- Powiedział też, że nie należy wszczynać poszukiwań, Eve - przerwała mi, łatwo się domyślając, co chcę powiedzieć. Szybko się jednak opanowała, bo zdała sobie sprawę z tego, że zdradziła się, jak ważny jest dla niej ten notes.

- Ale ja...

- To tylko notatnik - przerwała mi ponownie i szybko włożyła go tam, gdzie było jego miejsce.

- Mamo, proszę. Nie jestem już dzieckiem. Dlaczego ukrywasz tę pamiątkę? Czego się boisz?

- Ze się ośmieszysz, poszukując odpowiedzi, których nie da się znaleźć. Ta historia skończyła się wraz ze śmiercią twojej babci. Martwi mnie to, co powiedział ci ojciec. Chodź, wróćmy do pozostałych osób.

To nie był właściwy moment, żeby wywierać na nią presję. Umilkłam więc, ale nasza rozmowa musiała być na

tyłe głośna, że inni ją usłyszeli, bo kiedy już uporaliśmy się z największym bałaganem, jaki pozostawili po sobie złodzieje, stryj Freddy wziął mnie na bok, aby matka nie usłyszała, i zaproponował:

- Przyjdź jutro do mnie do domu. Coś ci pokażę.

Tę noc spędziłam z matką w mieszkaniu rodziców, bo nie chciałam zostawiać jej samej po dniu tak silnych przeżyć. Zapewne byłoby dla niej czymś strasznym leżeć w łóżku i nasłuchiwać każdego dźwięku, zastanawiać się, czy złodzieje nie wracają, i myśleć o ojcu i o latach samotności, jakie ją czekały. Chciałam, aby wiedziała, że zawsze będę z nią, ilekroć będzie mnie potrzebowała.

Następnego dnia wsiadłam do pociągu jadącego do Norbury, w południowym Londynie, aby odwiedzić stryja Freddy'ego, bo nie mogłam powściągnąć ciekawości.

- Oto, co chciałem ci pokazać - oznajmił, gdy się rozgościłam, i niemal nonszalancko wręczył mi miniaturowy portret ładnej młodej dziewczyny o kasztanowych włosach.

Miała na sobie czerwoną wizytową suknię, która eksponowała ramiona, choć malarz chytrze starał się je ukryć pod cienkim jak pajęczyna białym szalem. Było to dla mnie silne przeżycie po tylu latach snucia fantazji o naszej przeszłości. A przecież zmusiłam się do ich stłumienia, aby mnie nie kusily do wyzwolenia się z narzuconych mi ograniczeń i rozwiązania raz na zawsze zagadki z dawnych lat, dotyczącej mojej rodziny. Gdy wpatrywałam się w portret, urzeczona urodą Emilie, miałam poczucie, że ta kobieta zaprasza mnie do zainteresowania się jej życiem. Patrzyła na mnie z maleńkiego obrazka swymi pełnymi wyrazu

oczami, a na jej delikatnych ustach igrał uśmieszek, nadając twarzy niewinny wygląd zdziwienia.

- To ona - powiedział stryj, zwróciwszy uwagę, że nie odrywam oczu od portretu.

Nie sądziłabym, że portrecik Emilie wywrze na mnie tak silny wpływ. W tym momencie wiedziałam, że nie będzie mi łatwo zostawić tej dziewczyny. Na chwilę straciłam kontakt ze stryjem Freddym, ale zaraz powróciłam do rzeczywistości.

- To jest Emilie Gottschalk, twoja praprababka. Książę August napisał jej dedykację w notatniku, który ma twoja matka - oznajmił.

Ojciec mi powiedział, że jego brat ma portret Emilie. Gdy wpatrywałam się teraz w tę ładną drobną twarz spoglądającą na mnie z portretu, nagle powróciła ciekawość, której doświadczyłam jako młoda dziewczyna, kiedy ojciec ujawnił mi istnienie owej historii.

- Co o niej wiemy? - spytałam zniewolona widokiem młodej kobiety, która należała do moich przodków i znajdowała się w samym centrum pruskiego dworu, w dodatku w okresie, gdy miał on zasadnicze znaczenie dla historii Europy.

- Wiemy tylko, że poznała księcia jako piętnastolatka, on zaś był już po pięćdziesiątce, niezwykle bogaty, wpływowy i sławny. Pomimo różnicy wieku połączyła ich wielka miłość. Byli razem przez jednaście lat, aż do jego śmierci. Sądzymy, że Emilie była córką żydowskiego krawca, i wiemy, iż miała z księciem córkę Charlotte, która była matką mojej matki. Twój ojciec i ja znaleźliśmy w dzieciństwie babcię Charlotte. Opowiadała nam o różnych sprawach

i robiła aluzje, których nigdy nie rozumieliśmy. Niestety, to wszystko, co wiemy, i nie ma możliwości, by dowiedzieć się czegoś więcej.

Brzmiało to dla mnie jak klasyczna bajka o prostej młodej córce krawca, która zdobyła miłość wielkiego księcia, coś jak pruska wersja *Pigmaliona*. Nie mogłam jednak zrozumieć, dlaczego wszyscy w rodzinie z uporem twierdzili, że w sprawie romansu Emilie z księciem znanych jest tylko kilka faktów. Z pewnością o takiej baśniowej historii mówiono i odnotowano ją w dworskich dokumentach, zarówno w czasie trwania romansu, jak i w późniejszych opracowaniach historycznych.

- Czy rzeczywiście to wszystko, co wiemy? - spytałam, wciąż nie odrywając oczu od młodej twarzy Emilie na portrecie.

- Mamy też to - oznajmił, podając mi stare, wykonane w sepii zdjęcie kobiety w średnim wieku, wyniosłej i ubranej jak królowa Wiktoria. - To jest Charlotte, córka Emilie i matka Anny, moja babka, a twoja prababka.

Chciałam coś powiedzieć, ale poczułam ucisk w gardle, bo przypomniałam sobie babcię Annę, którą po raz ostatni widziałam, gdy machała na pożegnanie mnie i mojemu bratu na dworcu w Pradze. To zdjęcie ożywiło wspomnienie koszmarnych snów i lęków, które nękały mnie kiedyś i zostały przeze mnie wyparte do podświadomości.

Stryj Freddy oglądał zdjęcie z takim samym zaciekawieniem jak ja.

- Charlotte powiedziała kiedyś twojemu ojcu, gdy był małym chłopcem: „Jestem księżną i zawsze jeżdżę tylko pierwszą klasą” - oznajmił stryj. - Poza tym obaj słyszeliś-

my, jak wspominała swoje dzieciństwo. Opowiadała nam, że jako mała dziewczynka szalała wraz z ojcem, który był „wielkim księciem”, na podłodze wspaniałego pokoju gdzieś w Berlinie. Powtarzała, że „całe jej życie całkowicie się zmieniło”, gdy miała pięć lat. Niestety, nie powiedziała nam nic więcej. Gdy próbowaliśmy pytać ją o inne sprawy, milczała. Nawet w starszym wieku bardzo niechętnie mówiła na ten temat. W rzeczywistości mogła nie wiedzieć, co wydarzyło się między jej rodzicami, kiedy była małą dziewczynką.

Gdy stryj umilkł, znowu zaczęłam się wpatrywać w portret, wyobrażając sobie, jak młoda dziewczyna pozuje artyście, i starając się uzmysłowić sobie, że oglądam jego dzieło po stu czterdziestu latach od namalowania. Miałam cichą nadzieję, że jeśli wystarczająco intensywnie będę się wpatrywać w twarz Emilie, to duch mojej praprababki ujawni mi jakieś wskazówki dotyczące tego, co się stało z nią i z innymi członkami rodziny, które doprowadzą do wyjaśnienia trudnej sytuacji Anny w Pradze w ostatnich latach jej życia.

- A co z innymi członkami rodziny Gottschalków? - spytałam, próbując poukładać sobie w głowie całą tę historię i ogarnąć jej sens. - Gdzie ta rodzina mieszka? Co z innymi jej potomkami?

- Nie ma ich — odpowiedział stryj. — Gdy Charlotte wyszła za mąż, ich nazwisko znikło.

- Czy nikt nie uznał tego za dziwne? Stryj wzruszył ramionami.

- Niewiele mogliśmy zrobić. Nie ma żadnych akt, żadnych papierów. Pozostały tylko ten portret i notatnik, któ-

ry otrzymał mój brat. W XX wieku w Europie zniknęło z tego czy innego powodu wiele żydowskich rodzin.

Tego dnia wyszłam z domu stryja Freddy'ego podbudowana. Teraz miałam w głowie wizerunek Emilie i wiedziałam na pewno, że istniała. Wiedziałam też, że ona i książę August byli sobie oddani i żyli razem przez jedenaście lat, aż do jego śmierci. Niestety, nie miałam żadnych innych informacji. To była kolejna historia rodzinna, której końca nie znaliśmy, tak jak historii babuni Anny. Powróciłam do swojego codziennego życia i prawie zapomniałam o opowieści o Auguście i Emilie. Skoro moi rodzice i stryj uważali, że należy zostawić ją w spokoju, to dlaczego miałam nie zgadzać się z nimi w tej sprawie? Z pewnością nie chciałam martwić matki i postępować wbrew jej życzeniom. Od czasu do czasu powracałam myślami do tej opowieści, ale nie poświęcałam zbyt wiele uwagi wydarzeniom sprzed ponad stu lat, zbyt zajęta obowiązkami żony i matki.

4

Zew przygody

Po śmierci ojca matka mieszkała sama w ich mieszkaniu w Hampstead przez czternaście lat. Była człowiekiem walki. Podobnie jak Anna chorowała na zapalenie stawu biodrowego. W tamtych czasach operacje stawów dopiero wchodziły do praktyki lekarskiej i nie były tak łatwe i niezawodne jak obecnie. Kuśtykała więc, czasami pokonując wielki ból. Pomimo to regularnie odwiedzała nas w Highgate. Gdy umarła, pozostawiła w moim życiu wielką pustkę. Jej siedemdziesiąte siódme urodziny, przypadające 4 października 1969 roku, stały się wspaniałym spotkaniem rodzinnym. Niestety, jak się okazało, były ostatnimi w jej życiu. Wkrótce pękł jej wrzód przewodu pokarmowego, a następnie dostała udaru i przez pół roku leżała w szpitalu w Hampstead, gdzie zmarła 24 kwietnia 1970 roku. Odwiedzałam ją tam codziennie. Gdy odeszła z tego

świata, miałam czterdzieści sześć lat. Mieszkałam już w drugim domu w Highgate, odkąd wyprowadziłam się z mieszkania na Fitzjohn's Avenue, gdzie od czasu naszej ucieczki z Niemiec matka żyła przez trzydzieści sześć lat.

Zanim otworzyłam drzwi tego mieszkania po jej pogrzebie, wiedziałam instynktownie, że łatwo owładną mną wspomnienia, jeśli tylko na to pozwolę. Tego dnia przyszłam tu bowiem przede wszystkim po to, aby posegregować jej rzeczy, przygotowując mieszkanie do wystawienia na sprzedaż. Musiałam zaprowadzić tu porządek bez względu na to, ile takie zajęcie by mnie kosztowało. Czułam, że jestem winna moim rodzicom zachowanie stoickiego spokoju, podtrzymanie w tym zakresie tradycji rodzinnej.

Gdy tylko przekroczyłam próg domu, odruchowo skierowałam się do pokoju znajdującego się od strony ulicy, gdzie przed trzydziestu laty, podczas śniadania, ojciec ujawnił mi rewelacje dotyczące przeszłości naszej rodziny i gdzie przed czternastu laty zebraliśmy się wszyscy po jego pogrzebie w bałaganie pozostawionym przez złodziei. Zatrzymałam się teraz w tym pokoju i rozejrzałam dookoła, chłonąc wzrokiem różne przedmioty, które towarzyszyły mojemu życiu tutaj w dawnych latach. Po śmierci ojca często prosiłam matkę o notatnik, ale nigdy nie chciała mi go przekazać. Teraz modliłam się, żeby był na swoim miejscu, tam gdzie go schowała przed czternastu laty po pogrzebie ojca, czyli w szufladzie toaletki w sypialni rodziców, kiedy po raz ostatni ten notes widziałam. Bałam się, że może później ukryła tę cenną pamiątkę gdzie indziej, uznawszy, iż tak będzie lepiej, bo nikt

jej tam nie znajdzie. Ale najgorsza ze wszystkiego była myśl, że mogła go zniszczyć. Odsunęłam ją od siebie, wzięłam głęboki oddech i skierowałam się do sypialni.

Stara dębowa toaletka stała tam gdzie zawsze, pod oknem. Miałam poczucie, że stąkam po świętej ziemi, ale opanowała mnie nagle chęć zobaczenia znowu tego kajetu. Wysunęłam pierwszą szufladę i poszperałam w niej, niczego jednak nie znalazłam. Okazało się, że notatnik znajduje się w drugiej szufladzie, spoczywa nadal w tej samej pośliskiej kopercie, przewiązanej znaną mi już zieloną wstążką. W końcu trafił do moich rąk, po trzydziestu latach od chwili, gdy ojciec powiedział mi, że będę kolejną powiernicą rodzinnego sekretu.

Drżącymi dłońmi otworzyłam kopertę i ostrożnie wyjęłam z niej notatnik, a następnie usiadłam, by przeczytać dedykację napisaną przez księcia ołówkiem, wciąż ukrytym w grzbiecie notesu. W końcu kajecik do mnie trafił! Przytłaczała mnie świadomość tego faktu. Nareszcie znalazł się w rękach przedstawicielki następnego pokolenia, jak chciał ojciec. Byłam podekscytowana, a przede wszystkim czułam się zaszczycona, że to na mnie padł wybór strażniczki tego „zakazanego owocu” czy też owianego tajemnicą dziedzictwa rodziny.

Ostrożnie odwracałam strony i każdą oglądałam uważnie. Zdania następujące po dedykacji księcia musiała napisać Charlotte, matka Anny, kiedy prawdopodobnie była małą dziewczynką, być może tuż po tym, jak w jej życiu „zaszła dramatyczna zmiana”, jak powiedziała mojemu ojcu i stryjowi w okresie ich dzieciństwa. Ten charakter pisma małego dziecka był dla mnie tak samo czytelny teraz

jak wtedy, gdy po raz pierwszy spoglądałam na tekst podczas śniadania przed trzydziestu laty. A przecież zdania napisano ołówkiem, tym samym małym, oprawionym w metal ołówkiem, który właśnie wyjęłam ze schowka w spiralnym grzbieciku notatnika, gdzie umieszczono go ponad sto lat temu. Sprawdziłam, czy ołówek pisze. Po tylu latach okazało się, że tak. Odłożyłam go na miejsce i zagłębiłam się ponownie w lekturze zdań napisanych przez Charlotte.

Moja ukochana matka dała mi nową sukienkę na Zielone Świątki - zanotowała w jednym zdaniu. *Ten kajet należał do mojej ukochanej matki* - informowała w drugim. W tym zeszycie znalazły się też inne pośpiesznie sporządzone zapiski na temat spotkań i codziennych obowiązków, niektóre całkiem długie. Dawały one minimalny wgląd w ten tajemniczy i nieistniejący już świat - napisane przez małą dziewczynkę, która nie miała pojęcia, jaka przyszłość czeka ją oraz jej dzieci i wnuki, przez dziecko, które najwyraźniej nie w pełni rozumiało, co się wydarzyło w jego własnej przeszłości. A może wiedziało, co się stało, lecz przysięgło, że będzie milczeć? Lub też ukrywało jakąś straszną tajemnicę? Gdy tak siedziałam w ciszy w pustym mieszkaniu, wśród mebli i innych rzeczy znanych mi przez całe życie, a także wśród zapachów, które wdychałam codziennie, gdy tu mieszkałam, opanowała mnie przemożna chęć dowiedzenia się czegoś więcej o Emilie i Charlotte. Chciałam poznać odpowiedź na pytanie, dlaczego one i inne osoby z rodziny Gottschalków zostały wykreślone z historii i mogły żyć tylko w naszych rodzinnych opowieściach, jakby wiązała się z nimi czyjaś wina lub czyjś niebezpieczny se-

kret dotyczący przeszłości. Chciałam poznać obie kobiety, które trzymały ten zeszyt w dłoniach, i usłyszeć ich opowieści, a przynajmniej gdzieś je przeczytać. Chciałam się dowiedzieć, jak to się stało, że książkę, który sprawia wrażenie romantycznego, związał się z córką żydowskiego krawca.

W ten wiosenny dzień wróciłam do domu taksówką późnym wieczorem, zagubiona w myślach. Nie powiedziałam Kenowi zbyt wiele na temat znalezionej w mieszkaniu rodziców notatnika; w rzeczywistości umniejszyłam znaczenie tej rodzinnej pamiątki, ograniczając się do przekazania mężowi kilku szczegółowych informacji, które znałam od ojca i stryja Freddyego. Trudno było mu przyjąć tę historię do wiadomości, ale zapewnił, że zaopiekuje się notatnikiem i schowa go w bezpiecznym miejscu. Ucieszyłam się z tego, bo potrzebowałam trochę czasu, żeby się zastanowić nad podjęciem kolejnych kroków. Jaki powinnam przyjąć plan gry, gdy stałam się strażniczką tej wyjątkowej historii? Musiałam powiedzieć o wszystkim naszym synom, tak jak ojciec powiedział kiedyś mnie, ale chyba jeszcze nie teraz.

Było tyle pytań, na które nie znałam odpowiedzi. Dlaczego matka nigdy nie pozwoliła mi wziąć tego kajeciku do ręki? W dniu, w którym ojciec oznajmił mi, że chce, abym przejęła od niego notatnik, siedziała obok nas. Dlaczego więc bez chwili wahania nie przekazała mi tej rodzinnej pamiątki po śmierci ojca? Nie rozumiałam tego. Teraz, gdy biedaczka również odeszła, nie czułam się dobrze z myślą, że wykorzystam to i postąpię wbrew jej życzeniom. Poza tym kwestia nieposłuszeństwa wobec woli ojca wciąż wy-

dawała mi się poza dyskusją. Walczyłam z pragnieniem, żeby zrobić coś z tym zeszytem. Wraz ze śmiercią mojej matki czas nie stanął przecież w miejscu i miałam tyle rzeczy do zrobienia, a jeszcze więcej pochłaniało moją uwagę, tak że znowu przestałam myśleć o notesie. Pamięć o ostatnich zmaganiach matki z chorobą nadal jest dla mnie bolesna, podobnie jak z bólem wspominam utratę ojca, gdy pomyślę, ile oboje zrobili dla Claude'a i dla mnie. Gdyby nie to, że ojciec potrafił przewidywać różne wydarzenia, nie byłoby mnie tutaj. Zginęlibyśmy wszyscy na kontynencie europejskim, jak tyle milionów innych Żydów. Nadal nie było sposobu, żeby się dowiedzieć, co stało się z babunią Anną. Na tyle, na ile zdołałam się zorientować, zniknęła bez śladu, tak jak wcześniej Emilie i jej rodzina Gottschalków. Było to wszystko dziwne i niepokojące.

Minęły trzy lata. Mój smutek po stracie matki nie był już tak dotkliwy i pewnego dnia odniosłam wrażenie, że wszystko w moim życiu się zmieniło. Ken właśnie przeszedł na emeryturę i pracował jako konsultant. W wieku sześćdziesięciu pięciu lat nadal był sprawny i zdrowy i robił mnóstwo planów na przyszłość. Nasi synowie żyli swoimi sprawami. Anthony skończył dwadzieścia trzy lata, Timothy dwadzieścia, a David trzynaście. Miałam więcej czasu dla siebie i mogłam poświęcić nieco uwagi starym sprawom. Pewnego dnia postanowiłam wyjąć z szafy Kena notes i zabrać tę rodzinną pamiątkę do swojego gabinetu urządzonego w wolnym pokoju na pierwszym piętrze.

Gdy odwracałam pozólkłe strony delikatnego kajetu, miałam poczucie, że wyciąga do mnie rękę Anna, jakby był on

łącznikiem między nami. Wydawało mi się, że babcia kiwa na mnie, abym coś zrobiła. Instyktownie wiedziałam wtedy, że muszę zacząć działać i odkryć naszą przeszłość. Ale zdawałam sobie sprawę z tego, że nie uda mi się osiągnąć celu bez pomocy i wsparcia członków rodziny.

Matka nigdy nie rozmawiała ze mną o losie Anny ani też z nikim innym, o ile mi wiadomo. Listy od babci, doręczane nam za pośrednictwem Czerwonego Krzyża, przestały do nas przychodzić wiosną 1942 roku. Czy zatem Anna zginęła w Auschwitz wraz z milionami innych osób? A może z powodu swej kruchości nie zdołała nawet dotrzeć do jakiegokolwiek obozu? Wiedzieliśmy, że w Europie brakowało żywności, a ona miała mało pieniędzy. Notes był bezpieczny tylko dlatego, że przed wyjazdem do Czechosłowacji przekazała go mojemu ojcu. Nie musiała tego robić, mogła go nadal przechowywać, jak później moja matka. Gdyby jednak nie dała notesu swojemu młodszemu synowi, nie znajdowałby się teraz w moich rękach. Miałam poczucie, że trafił do mnie z jakiegoś powodu, i zastanawiałam się, czy przypadkiem Anna nie chciała, aby był właśnie u mnie. Ale bez względu na to, jak wyglądała prawda, właśnie za sprawą babci miałam odkryć, co kryje się za bajką z naszej przeszłości. Teraz słowa ojca sprzed lat nabierały zupełnie nowego znaczenia. Im dłużej zastanawiałam się nad nimi, tym większy odczuwałam przymus dowiedzenia się, dlaczego nie istnieją żadne zapisy i dokumenty dotyczące Emilie i dlaczego muszę się opierać wyłącznie na tym notesie. Czułam się rozdarta, ale nie potrafiłam rozmawiać o swoich dylematach z nikim. Zdaniem Kena powinnam

była spełnić życzenie ojca i nie dążyć do zdobycia szerszych informacji na temat przeszłości mojej rodziny. Uważałam też, że nie mogę rozmawiać o notatniku z moimi synami, nie nakładając na nich takich samych ograniczeń, jakie ojciec nałożył na mnie, jeśli chodzi o badanie rodzinnej historii. Było tak, jakby sekret nie mógł zostać powierzony przedstawicielowi nowego pokolenia bez obwarowania tego określonymi nakazami. Myśli kłębiły się w mojej głowie, gdy przypomiinałam sobie, jak moi rodzice nalegali, abym nie drażyła historii naszej rodziny, i jak stryj Freddy powtarzał mi, iż nie da się znaleźć na jej temat niczego nowego. Nigdy dotychczas nawet przez myśl mi nie przeszło, by sprzeniewierzyć się poleceniom wydanym mi kiedyś przez ojca. Teraz jednak nie żył, jak jego brat i żona, tak samo jak Anna, Charlotte i Emilie, którym zapewne też ktoś kiedyś wydał polecenie strzeżenia rodzinnego sekretu, choć nie potrafiłam sobie wyobrazić, z jakiego powodu. Poza tym od czasu, gdy ojciec przestrzegł mnie przed zgłębianiem tego sekretu, sytuacja w Europie uległa zmianie. Dorastałam przyzwyczajona do bezpiecznego życia w Londynie i nie bałam się skutków badania przeszłości rodziny. Wydawało mi się niemożliwe, żeby w aktach nie było żadnych kluczy do rozwiązania zagadki z dawnych lat.

W chwili ujawnienia mi przez ojca wydarzeń dotyczących notesu dzieliło mnie od nich ponad sto lat burzliwej historii Europy, ze wszystkimi obecnymi w nich wstrząsami. Z pewnością teraz również należał do historii. Jaką szkodę mogło komukolwiek wyrządzić odkrycie kilku zapoznanych faktów, tylko w celu ich odnotowania? Zbliżałam

się do pięćdziesiątki i potrafiłam podejmować samodzielne decyzje również w takich sprawach, bez potrzeby pytania o zgodę rodziców. Powiedziałam to sobie stanowczo. Był rok 1973 i nie żyliśmy już w niebezpiecznej epoce, która dotykała bezpośrednio mojego ojca i matki, kształtując ich charaktery i czyniąc ostrożnymi we wszystkim. Mieszkaliśmy w bezpiecznym i tolerancyjnym kraju, gdzie swoboda obiegu informacji i wolność słowa należały do najcenniejszych praw obywatelskich. To był odpowiedni czas na odkrycie rodzinnego sekretu i naświetlenie wydarzeń sprzed ponad wieku, które miały miejsce w rodzinie królewskiej w Prusach, żeby móc ustalić, co do nich doprowadziło. Nic nie wiedziałam na temat historii Prus w interesującym mnie okresie, choć to stamtąd pochodzi moja rodzina. Jaki styl życia prowadziła Emilie, skoro w tak młodym wieku los rzucił ją w objęcia księcia z wysokiego królewskiego rodu? I jak jej córka, zakosztowawszy takich luksusów w okresie wczesnego dzieciństwa, odbierała swoje dalsze życie, które, jak się wydaje, upłynęło jej w zapomnieniu? Uważałam, że w mojej rodzinie ignoruje się te dwie kobiety i nie pamięta o nich już stanowczo zbyt długo. Byłam z tego powodu oburzona i uznałam za swój obowiązek odnalezienie ich i opowiedzenie o nich publicznie wszystkim tym, których to zainteresuje. Moja babcia Anna niemal na pewno zginęła z rąk nazistów, i tak samo jak jej matka i babcia zasługiwała na ujawnienie rodzinnej historii. W jednym z ostatnich listów, które wysłała do mnie z Pragi, wyraziła życzenie, aby odpowiednio pokierowano mną w życiu i nauczono mnie „dokonywać właściwych wyborów”. Teraz narastało we mnie przekonanie, że dokona-

łam właściwego wyboru. Nie uświadamiałam sobie w pełni, co mną kieruje, ale miałam poczucie, że to duchy Emilie, Charlotte i Anny.

Dużo czasu zajęło mi, nim zdobyłam się na odwagę, żeby przedstawić Kenowi decyzję, którą podjęłam. Nie opuszczała mnie nadzieja, że potrafię go przekonać, by przyłączył się do moich poszukiwań w sytuacji, gdy ma teraz więcej czasu. Powiedziałam sobie, że w ten sposób znajdzie sobie jakieś nowe zajęcie, na którym będzie mógł skupić uwagę, choć w głębi duszy znałam wielką niechęć męża do powrotu do wszystkiego, co miało związek z przeszłością, włącznie z niechęcią do odwiedzania Niemiec. Ken, tak samo jak ja, urodził się i wychował w tamtym kraju, przeżył traumatyczną ucieczkę ze świata dzieciństwa i walkę o zapewnienie rodzinie bezpieczeństwa. Wiedziałam, że muszę się ciężko napracować, aby zarazić go entuzjazmem do swojego planu.

- W sprawie tego notatnika, o którym ci mówiłam - zaczęłam pewnego dnia, najswobodniej, jak potrafiłam - wiesz, tego, który należał do mojej praprababki i zawiera dedykację księcia Augusta...

- Tak - potwierdził, zupełnie nieświadomy, do czego zmierzam. - Oczywiście pamiętam, że mi o nim powiedziałaś. Jest schowany w mojej szafie.

- Otóż zamierzam przeprowadzić w tej sprawie poszukiwania.

- W jakiej sprawie? - spytał Ken, bardziej zainteresowany czytaniem gazety niż wysłuchaniem tego, co starałam się mu powiedzieć. - Czyż twój ojciec nie mówił, że to daremny trud? Że nie ma czego szukać?

- Umówiłam nas na spotkanie z rzeczoznawcą z wydawnictwa Burke's Peerage - oznajmiłam szybko, licząc, że nie zaprotestuje. - Jutro.
- I co to da? - spytał, ostatecznie straciwszy nadzieję, że coś przeczyta, i odłożył gazetę, aby wypytać mnie o wszystko bardziej szczegółowo.
- No cóż - zaczęłam. - Być może potrafią potwierdzić, że dedykacja została napisana charakterem pisma księcia. Może też powiedzą nam coś na temat jego życia, a nawet coś o Emilie. Wydaje mi się, że warto spróbować.
- Doskonale - odparł po namyśle. - Mam tylko nadzieję, że nie będziesz rozczarowana. To wszystko. Uśmiechnęłam się do siebie, gdy znowu zasłonił twarz gazetą. Byłam pewna, że jeśli tylko potrafię zainteresować go tą sprawą, będzie nią zaintrygowany tak samo jak ja. Po prostu jeszcze nie miał czasu o tym wszystkim pomyśleć. Zadzwoiłam najpierw do Burke's Peerage, bo wiedziałam, że wydawnictwo to zatrudnia najlepszych na świecie specjalistów i rzeczoznawców w dziedzinie heraldyki europejskiej arystokracji. Natychmiast zaoferowali mi pomoc, kierując do eksperta Jeffreya Finestone'a, do którego zadzwoniłam, gdy w końcu się zdobyłam na odwagę.
- Jestem w posiadaniu notatnika, który należał kiedyś do księcia pruskiego Augusta - oznajmiłam, spodziewając się, że muszę włożyć wiele wysiłku w przekonanie takiego wybitnego znawcy problemu do zainteresowania się moją sprawą. - W notatniku tym znajduje się własnoręcznie napisana przez niego dedykacja.
- Księcia Augusta? - spytał wyraźnie podekscytowany ekspert, czym mnie zaskoczył. - Bardzo chętnie zobaczył-

bym ten notatnik. Proszę pokazać mi go możliwie jak najszybciej.

Umówiliśmy się na spotkanie u niego w mieszkaniu, które, jak się okazało, znajdowało się niedaleko naszego domu w Hampstead. Zaprosił również swojego kolegę Davida Williamsona, żeby ten wysłuchał mojej opowieści. David Williamson występował kiedyś w telewizji jako ekspert w dziedzinie heraldyki i genealogii, posiadający wiedzę grafologiczną i dobrze znający historię Prus. Oznajmił, że może wydać drugą opinię i zweryfikować to, co się mówi i co można zobaczyć, jeśli chodzi o interesującą nas sprawę. Ken pomimo swoich obaw zgodził się towarzyszyć mi w tym spotkaniu: zdawał sobie sprawę, że nie będzie mu łatwo odwieść mnie od poszukiwań i prawdopodobnie spodziewał się, iż eksperci z miejsca rozwieją moje niemądre złudzenia, dzięki czemu będzie mógł się nadal cieszyć spokojnym życiem na emeryturze, na które z niecierpliwością czekał.

Gdy tylko przybyliśmy do eleganckiego mieszkania pana Finestone'a i usiedliśmy, ten wziął ode mnie notatnik. Obracał go w dłoniach z czcią i spoglądał na niego, podobnie jak pan Williamson, z ledwie skrywaną niecierpliwością.

- Proszę wybaczyć, że nie daję od razu odpowiedzi, ale tyle razy przeżyłem rozczarowanie. Jeśli państwo pozwolą... Po prostu musimy coś sprawdzić - oznajmił pan Fine-stone.

Przeszedł wraz z kolegą do drugiego pokoju, gdzie oglądali notes i naradzali się na osobności. Gdy wrócili do nas do salonu, obaj nie kryli radości.

- To sensacyjna sprawa - wyrzucił z siebie pan Finestone. - Sprawdziliśmy charakter pisma w dedykacji. To rzeczywiście jego pismo, pani notes należał kiedyś do niego, do księcia pruskiego Augusta, z rodziny panującej Hohenzollernów, bratanek słynnego króla Fryderyka II. Możemy być tego pewni. Napisał tę dedykację, podpis natomiast złożył później ktoś inny. W tamtych czasach często podejmowano takie środki zaradcze, żeby coś zakamuflować lub ukryć. Ta obsesja zachowania dyskrecji i wprowadzenia kamuflażu znacznie utrudnia pracę historykom, ale przez to czyni ją jakże fascynującą. Czy dużo wiedzą państwo na temat księcia?

- Staralam się trochę dowiedzieć - odpowiedziałam, ale mnie nie słuchał, niecierpliwiając się, żeby móc popisać się swoją wiedzą na ten temat.

- To nie tylko najmłodszy bratanek króla Fryderyka Wielkiego, lecz także zapomniany bohater wojen napoleońskich. Był wielką postacią historyczną swego okresu, człowiekiem niezwykle bogatym i wielkim wojownikiem; trudno byłoby przecenić jego ważność i pozycję. Z pewnością jest to jego charakter pisma. Jak państwo weszli w posiadanie takiego rzadkiego skarbu?

Opowiedziałam mu o naszych związkach rodzinnych z księciem i o mojej determinacji, aby dowiedzieć się czegoś więcej na temat życia Emilie, choć moi rodzice twierdzili, że to strata czasu. Wydawało się, że obaj eksperci są zdumieni tym romanssem i nieformalnym ślubem i nic nie wiedzą na temat prywatnego życia księcia, istnienia Emilie i jej zrodzonej z księcia córki.

- No cóż, pani Haas - oznajmił, gdy skończyłam - mogę śmiało powiedzieć, że wyjąwszy Liechtenstein i Monako jest pani spokrewniona z każdą rodziną królewską w Europie. Książę August był prawnukiem króla Anglii Jerzego I. Jest pani również potomkinią w linii prostej królowej Szkocji Marii Stuart i jej syna Jakuba I.

Usłyszawszy to, znieruchomiałam. Cóż to była dla mnie za rewelacja, ale nie chciałam uzewnętrzniać swoich uczuć! Obok mnie stał Ken. Co myślał w tym momencie?

- Nie pamiętam, aby w kontrakcie ślubnym było napisane, że się żenię z księżniczką - szepnęłam, uszczypnąwszy mnie lekko, w typowy dla siebie żartobliwy sposób komentując zaistniałą sytuację.

- Pani Finestone, interesuje mnie odnalezienie Emilie - przypomniałam mu, ignorując uwagę Kena. - I odnalezienie Charlotte, córki Emilie i Augusta.

- Pani Haas, nie będzie łatwo dowiedzieć się czegoś na ich temat - znowu wyrzucił z siebie ekspert. - Pod koniec życia Augusta, w połowie XIX wieku, w niezwykle tajemniczych okolicznościach zniknęły wszelkie świadectwa dotyczące jego przeszłości. I oczywiście istnieje problem dostępu do archiwum znajdującego się w NRD, za murem berlińskim. Wydaje się nieprawdopodobne, że człowiek, którego każdy aspekt życia musiał zostać szczegółowo opisany, po prostu zniknął z akt, ale tak właśnie się stało. Niemcy wschodni kategorycznie odmawiają udostępniania dokumentów. W ciągu ostatnich stu lat historycy z całego świata próbują bez powodzenia dowiedzieć się czegoś na temat Augusta. Jest tak, jakby nikt

nic o nim nie napisał, choć był jednym z największych Prusaków. To całkiem możliwe, że akta dotyczące księcia zniszczono, a jeśli coś się zachowało, to nie można tego znaleźć. Musi pani pojechać do Berlina, pani Haas. Zachęcam do odwiedzenia archiwum w Dahlem i do poproszenia tam o pomoc. Naprawdę musi pani spróbować się dowiedzieć, co się stało z pani prapradziadkiem i praprababką. W pani posiadaniu znajduje się niezwykle rzadki dokument historyczny. Po prostu trudno wytłumaczyć fakt, że czołowy przedstawiciel królewskiej rodziny Hohenzollernów żył przez jedenaście lat z córką żydowskiego krawca.

- To zaledwie rodzinna pamiątka - niemal wszedł mu w słowo Ken, gdy pan Finestone przerwał, chcąc zaczerpnąć tchu. Mój mąż w sposób ewidentny nie życzył sobie, aby ktoś zachęcał mnie do postąpienia wbrew życzeniu jego teścia i do ujawnienia naszego rodzinnego sekretu.

- Och, to jest coś znacznie, znacznie więcej, panie Haas - zapewnił go pan Finestone. - Ten kajet należał do księcia rycerza, który walczył z Napoleonem i go pokonał, a poza tym stał się najbogatszym człowiekiem w Prusach. Pańska żona może mieć w ręku klucz do rozwiązania całej zagadki, do poznania sekretu, którego nie zdołali rozwikłać najbardziej wykształceni historycy na świecie.

- Gdyby to był mój notatnik, postarałbym się dogłębnie go przeanalizować - włączył się do rozmowy pan Williamson. - Zechciałbym się dowiedzieć na jego temat wszystkiego.

- Naprawdę powinna go pani upublicznić - zasugerował pan Finestone.

- Zdecydowanie - poparł go kolega. - Bardzo chcielibyśmy zrobić to razem z panią. Niech pani go wystawi na sprzedaż.

- Moja żona życzy sobie, żeby jego istnienie pozostało sprawą prywatną - włączył się do rozmowy Ken, najwyraźniej zaskoczony i po raz pierwszy świadomy tego, jaką wartość ma ten kajecik. - Nie chce, żeby cały świat znał sprawy osobiste jej rodziny.

- Zgadza się - potwierdziłam. - W tej chwili interesuje mnie tylko moja praprababka Emilie. Chcę się dowiedzieć, jak osiągnęła taką pozycję społeczną i co się z nią stało po śmierci księcia.

- W tamtych czasach w Berlinie antysemityzm był niemal postawą oficjalną - oznajmił pan Finestone.

- Dla pruskiego księcia spotkanie się z żydowską dziewczyną... - przerwał, jakby nie potrafił znaleźć właściwych słów na wyrażenie swego zdumienia na myśl o takim związku, i dodał: - Niech pani pojedzie do Berlina, pani Haas. Gdybym był na pani miejscu, zrobiłbym to. Dysponuje pani niezwykle rzadkim dokumentem historycznym. To jest naprawdę ekscytujące. Ta sprawa nie może przejść pani przez palce.

Wyszłam od pana Finestone'a niezwykle podekscytowana na myśl o czekającej mnie przygodzie. Zdobyć potwierdzenia, że dedykację napisał książkę, oznaczało wielki krok naprzód. Oznaczało też, że historia opowiedziana mi przez ojca nie jest tylko bajką przekazywaną w mojej rodzinie z pokolenia na pokolenie. Rzeczywiście, ta wielka historyczna postać okazała się moim krewnym. W moich żyłach płynęła krew księcia Augusta. Wiedziałam, że teraz nic nie powstrzyma mnie przed prowadzeniem poszuki-

wań, jakby pan Finestone i jego przyjaciel udzielili mi na nie pozwolenia. Przestałam myśleć o tym, że ojciec odradzał mi dociekanie prawdy. Zapewne, uważałam teraz, nie chciał, żebym się ośmieszyła, decydując się na to, a poza tym patrzył na wszystko z zupełnie innej perspektywy historycznej. Powiedziałam sobie, że pan Finestone i jego przyjaciel absolutnie potwierdzili, że się nie ośmieszę, a moim obowiązkiem wobec Anny i potomności jest ustalenie prawdy. Jeśli nie podejmę się tego zadania, to jest mało prawdopodobne, że zechce je wykonać ktoś inny i zapewne prawda nigdy nie wyjdzie na jaw. Kajet był autentyczny i mógł zawierać klucz do rozwiązania wielkiej zagadki historycznej.

Bez pytania wiedziałam, że Ken w żadnym wypadku nie jest tak zainteresowany poszukiwaniami jak ja. Podejrzewam teraz, że w duchu przeklinał pana Finestone'a za to, że tak mnie zachęcał do działania. Zapewne dostrzegł groźbę, że poszukiwania pochłoną mnie i jego bez reszty i zmuszą nas do odwiedzenia niebezpiecznych miejsc. Miał nadzieję na spokojne życie po dziesięcioleciach ciężkiej pracy i ostatnią rzeczą, jakiej pragnął, było ściąganie kłopotów na siebie i rodzinę.

- Masz ten dziennik. Czy ci to nie wystarczy? - spytał, gdy w końcu zmusiłam go do powiedzenia mi, co o tym wszystkim myśli.

Wiedziałam, że nie powinnam się z nim kłócić. Musiałam oszczędzać amunicję na później. Mój zapał do działania był już tak wielki, że nie chciałam, aby ktokolwiek teraz mnie zniechęcał. Poza tym powiedziałam sobie, że później wymyślę, jak wciągnąć we wszystko Kena. Zamie-

rzałam nawiązać kontakt z każdym możliwym ekspertem, który przyjdzie mi do głowy, abym mogła się dowiedzieć, gdzie ukryto wszystkie brakujące informacje i w jaki sposób tak skutecznie zatuszowano całą sprawę. Chciałam wiedzieć, kto i dlaczego nakazał wymazać księcia Augusta i Emilie z opracowań historycznych.

Bardzo się ucieszyłam, gdy kilka dni później otrzymałam od pana Finestone'a list ze starannie wyrysowanym przez niego moim drzewem genealogicznym. Zobaczyłam swoje nazwisko połączone bezpośrednią więzią pokrewieństwa z księciem Augustem i z Emilie, a poprzez nich z angielskimi i pruskimi rodzinami królewskimi. Wtedy dotarło do mnie, że pan Finestone chciał w ten sposób utwierdzić mnie w przekonaniu, jak ważnym dokumentem jest notatnik, choć teraz nie potrzebowałam już żadnej zachęty do prowadzenia poszukiwań.

Po powrocie do domu bezzwłocznie zadzwoniłam, jak mi poradził, do wyspecjalizowanego archiwum w Berlinie Zachodnim².

- Informacje dotyczące pruskiego księcia Augusta?
- usłyszałam w słuchawce wyprany z emocji męski głos.
- Nie, nie mamy żadnych.

Byłam zaskoczona, że ten człowiek potrafił powiedzieć mi to z taką łatwością, bez potrzeby sprawdzania czegokolwiek. Mogłam więc tylko przypuszczać, że zadawano mu to pytanie przede mną i już szukał tych informacji na

² *Geheime Staatsarchiv Preußischer Kulturbesitz* w Berlinie-Dahlem, jedno z przedsięwzięć w ramach działań fundacji *Stiftung Preußischer Kulturbesitz* - przyp. red.

próżno. Broniąc się przed rozczarowaniem, przypominałam sobie, że pan Finestone uprzedził mnie o tajemniczym zniknięciu wszelkich danych dotyczących księcia Augusta. Dlatego powinnam się była spodziewać takiej reakcji pracownika archiwum w Dahlem. Ekscytacja pana Finestone'a notatnikiem sprawiła, że na chwilę zapomniałam, jak trudne będzie tropienie w archiwach śladów Emilie, o czym w jednej chwili przekonał mnie telefon do Berlina. Oczywiście miałam napotkać wszędzie ten sam co pan Finestone i inni historycy przed nim mur milczenia.

- Jedynym miejscem, w którym prawdopodobnie coś mają - ciągnął znudzonym głosem mój rozmówca - jest archiwum w Merseburgu, w Niemczech Wschodnich. Niestety, wschodni Niemcy nikomu nie pomagają i uniemożliwiają wszelkim osobom z Zachodu dostęp do posiadanych akt. Wiemy, że w archiwum w Merseburgu mają akta królewskiej rodziny Hohenzollernów, ale nie wyobrażam sobie, aby zechcieli je pani udostępnić.

Na początku lat siedemdziesiątych zimna wojna trwała w najlepsze i każdy na Zachodzie żył w poczuciu wielkiego zagrożenia komunizmem i wojną z użyciem broni atomowej, tak jak obecnie wpaja się nam strach przed terroryzmem i globalnym ociepleniem klimatu. Ludzi takich jak Ken i ja, którzy kiedyś musieli uciekać przed reżimem totalitarnym, przerażała sama myśl o konieczności wchodzenia w jakieś relacje z groźnymi Niemcami ze wschodu, mimo to uczepliłam się tej możliwości. Gdybym przynajmniej nie zwróciła się z prośbą o dostęp do informacji dotyczących księcia Augusta do dyrekcji archiwum w Merseburgu, nigdy nie poznałabym stosunku tych ludzi do sprawy. Dzień-

ki pomocy ambasady Niemiec Zachodnich zdobyłam numer telefonu do tego archiwum i zdenerwowana zadzwoniłam tam. Uzyskanie połączenia zajęło mi kilka minut, ale w końcu po dziwnym klikaniu i brzęczeniu usłyszałam dzwonek. Telefon dzwonił bardzo długo i już byłam bliska odłożenia słuchawki i wykręcenia numeru ponownie, gdy usłyszałam rozdrażniony głos. Ze zdenerwowania serce podeszło mi do gardła.

- Trzeba złożyć prośbę na piśmie - warknęła kobieta, gdy zaczęłam jej wyjaśniać, czego szukam, i odłożyła słuchawkę.

Czyżby straciła dla mnie cierpliwość, jak tylko ośmieliłam się poprosić ją o pomoc? Usiadłam i napisałam list do dyrekcji archiwum w Merseburgu, jedynie na chwilę zniechęcona opryskliwą odpowiedzią, prosząc o wyznaczenie terminu spotkania i o udostępnienie stosownych akt. Już w chwili wystukiwania liter na maszynie do pisania wiedziałam, że jest to triumf nadziei nad doświadczeniem, mimo to nie zamierzałam przepuścić tej jedynej sposobności dowiedzenia się czegoś. Wysłałam list i pogodziłam się z koniecznością czekania jakiś czas na odpowiedź.

W najbliższych miesiącach odwiedziłam każdą możliwą bibliotekę, wciąż nie chcąc się pogodzić z myślą, że na Zachodzie nie ma żadnych informacji na temat księcia Augusta. Niestety, nawet w British Library, gdzie szczytą się posiadaniem egzemplarza każdej wydanej książki, nie byli w stanie nic znaleźć. Każdy bibliotekarz, którego pozyskiwałam dla swojej sprawy, zapalał się do niej w przekonaniu, że na pewno odkryje jakąś wskazówkę dla mojego dalszego postępowania. I w końcu każdy kręcił głową, zawie-

dziony jak ja niemożnością odnalezienia jakichkolwiek elementów układanki.

- To zdumiewające - powiedział kurator British Museum, gdy pokazałam mu notatnik. - Bardzo chcielibyśmy pokazać go na wystawie. - Wszystko, co dotyczy księcia Augusta, jest bardzo poszukiwane. Sami od lat próbujemy się czegoś o nim dowiedzieć. Księżę August mieszkający z żydowską dziewczyną i mający z nią dziecko... co za sensacja! Nie ma pani pojęcia, jak antysemickie były wtedy Prusy. To naprawdę jest wyjątkowa historia. Życzę pani powodzenia w poszukiwaniach. Zaczynało wyglądać na to, że istotnie należy mi życzyć powodzenia. Przez jakiś czas byłam w kontakcie z panem Finestoneem i opowiadałam mu o postępach w poszukiwaniach bez względu na to, jak były one niewielkie, wdzięczna za jego nieustającą zachętę i entuzjazm w obliczu kolejnych przeżywanych przeze mnie rozczarowań. Niestety, nie ukończył ze mną tej wyprawy w przeszłość, gdyż zmarł w 1981 roku, kiedy prawdopodobnie ledwie przekroczył czterdziestkę. To był dla mnie smutny czas. Gdy wpadałam w wyjątkowo zły nastrój, dochodziło we mnie do głosu silne poczucie winy z tego powodu, że nie posłuchałam w sprawie notatnika ojca. Wyobrażałam sobie, że mnie też może powalić jakaś niewidzialna siła, gdyż ośmieliłam się pomyśleć o odkryciu tajemnicy zniknięcia księcia Augusta z kart historii. Potrafiłam się jednak uwolnić od takich niemądrych przesądów. Nie mogłam dopuścić, żeby cokolwiek zmusiło mnie do rezygnacji z celu, jaki sobie postawiłam.

W najwyższym położonym miejscu naszego ogrodu znajdowała się niewielka przebudowana altana, którą przejęłam na swój gabinet. Przesiadywałam tam godzinami, knując coś i planując. Byłam zdecydowana rozwikłać zagadkę przeszłości mojej rodziny bez względu na to, ile czasu miałoby mi to zająć.

Bardzo żałowałam, że teraz, kiedy mam już ten notatnik i podjęłam poszukiwania, nie mogę ponownie porozmawiać o sprawie ze stryjem Freddym. Niestety, zmarł w 1966 roku, pozostawiając portret Emilie swej drugiej żonie Alice, która z największą życzliwością wypożyczyła mi tę miniaturę, gdy postanowiłam zrobić dla siebie jej kopię. Znalazłam doświadczonego portrecistę Johna Dudleya, który przyjął zamówienie i wykonał tak udaną kopię portretu, że trudno było odróżnić ją od oryginału. Podekscytowana efektem pracy malarza zwróciłam portret Alice. Teraz miałam już wizerunek Emilie na zawsze i nie zamierzałam nigdy się z nim rozstać. Stał się moim talizmanem i wszędzie go ze sobą zabierałam, a czasami patrzyłam na twarz praprababki, szukając w ten sposób inspiracji do dalszego działania.

Powrót do Berlina

Wysłałam list do Merseburga w Niemczech Wschodnich i ciągle nie otrzymywałam odpowiedzi, co nie było zaskakujące. Ale ten brak uprzejmości i chęci współpracy tylko utwierdził mnie w przekonaniu, że to w tamtejszym archiwum ukryte są różne tajemnice i gdybym tylko zdołała nakłonić dyrekcję do ich ujawnienia, poznałabym całą historię znajomości księcia Augusta z Emilie. Coraz większa tajemniczość tej historii i panująca wokół niej zmowa milczenia, na którą się natykałam, tylko umocniły moje postanowienie, żeby znaleźć sposób przekonania Niemców z NRD do udostępnienia mi archiwum w Merseburgu.

Świadoma tego, że Ken i nasi synowie mogą się czuć coraz bardziej znużeni moją obsesją - ciągłym mówieniem o historii księcia Augusta i Emilie oraz narastającą we mnie frustracją, gdyż wydawało się, że drepcę w kółko - stara-

łam się, na ile było to możliwe, unikać tego tematu w domu, ale nie przestawałam o nim myśleć, a czasami nie dawał mi spokoju także w snach. Pytania, na które nie znajdowałam odpowiedzi, wciąż mnie nurtowały. Zbliżał się moment, kiedy musiałam w pełni pozyskać dla swojej sprawy Kena i przekonać go, żeby pojechał ze mną do Niemiec, z których oboje wynieśliśmy bardzo niejednoznaczne wspomnienia - zarówno chwil, kiedy byliśmy szczęśliwi, jak i tych smutnych i przerażających.

- Pojedźmy do archiwum w dzielnicy Dahlem w Berlinie Zachodnim - zaproponowałam kiedyś ochoczo przy śniadaniu. Jak zwykle miałam nadzieję, że jeśli będę mówiła szybko, to Ken nie zdąży pomyśleć o wszystkich powodach, dla których nie chce tam pojechać. Dodałam więc: - Powinniśmy się spotkać z tymi archiwistami, jeśli chcemy pozyskać ich dla naszej sprawy. A gdy już tam będziemy, to być może udamy się do Niemiec Wschodnich i odwiedzimy archiwum w Merseburgu. Miałam nadzieję, że powiedziałam to wystarczająco swobodnie, aby nie budzić w nim niepokoju. Niestety, nie było na to szansy, ale przynajmniej w pełni skupił się na moich planach. Był rok 1973 - od śmierci mojej matki minęły dobre trzy lata, tak samo jak od chwili, w której notatnik przeszedł pod moją opiekę. Od zakończenia wojny odwiedziliśmy Niemcy kilkakrotnie, a ostatnim razem w 1966 roku, kiedy zabraliśmy tam synów, aby im pokazać mieszkanie mojej rodziny na przedmieściu Berlina, w Charlottenburgu, oraz moją dawną szkołę. Zarówno mieszkanie, jak i szkoła jakimś cudem przetrwały wojenne naloty i powojenną przebudowę miasta. Uległam wówczas

różnym emocjom, gdyż widok tych budynków ożywił we mnie liczne dawno uśpione wspomnienia. Ken zapewne miał nadzieję, że w ten sposób zamknę tamten rozdział mojego życia. Tym razem jednak chodziło o coś innego. Prosiłam go, żeby pojechał ze mną na komunistyczny Wschód i żebyśmy się zmierzyli z enerdowską biurokracją.

- Do Dahlem mogę pojechać - odpowiedział z westchnieniem, spoglądając na mnie znad talerza. - Ale do Merseburga? Zastanów się, Eve. Czy masz pojęcie, jak wydostałem z Niemiec swoich rodziców? Naprawdę prosisz mnie o to, żebym tam wrócił i stawiał czoło kolejnej dyktaturze?

Ken w porę uciekł z nazistowskich Niemiec do Londynu, ale w 1938 roku powrócił do Frankfurtu, żeby załatwić swoim rodzicom fałszywe dokumenty. Przed wyjazdem z Niemiec pracował w Dresdner Bank jako najmłodszy w historii tego banku dealer walutowy, i teraz dyrektor zgodził się pomóc mu załatwić te dokumenty. Ken wiedział, że to nazista, który może go zdradzić. Musiał mu jednak zaufać, bo to była dla niego jedyna szansa, postanowił więc z niej skorzystać. Po prostu nie miał wyboru, gdyż nie znał nikogo innego, do kogo mógłby się zwrócić o pomoc. Udało mu się te dokumenty załatwić, ale nocą, kiedy wysyłał list, przechodząca obok niego anonimowa kobieta przestrzegła go, że znalazł się w wielkim niebezpieczeństwie. Cudem mu się wtedy udało uciec do Anglii. Myśląc teraz o tym, uświadomiłam sobie, o jak wiele go proszę, proponując, żebyśmy pojechali do NRD.

- To jest już inny świat, Ken - spróbowałam bagatelizować jego niepokoje, choć rozumiałam aż nadto dobrze,

czego od niego oczekuję; mnie też przerażała myśl o podróży do Niemiec Wschodnich, ale gorsza była perspektywa bezpośredniej utraty możliwości odkrycia prawdy o Auguście i Emilie. Czułam, że muszę podjąć ryzyko, i kierując się być może pobudkami egoistycznymi, nie wyobrażałam sobie, iż uczynię to bez Kena, mojego protektora.

- Eve - zaczął cierpliwie, jakby próbował wytłumaczyć nieświadomemu dziecku, na czym polega jego złe zachowanie - w Niemczech Wschodnich panuje reżim totalitarny, w którym bez powodu torturuje się i więzi ludzi, a także ich szpieguje. Nie słyszysz dzwonka alarmowego? Urodziłaś się we wschodniej części Niemiec. Mogą cię tam zatrzymać na zawsze, jeśli zechcą. Czy tego nie rozumiesz, że sama myśl o tym, że człowiek znajduje się w zasięgu Niemców wschodnich, jest nie do zniesienia? - Zabierzemy ze sobą jako zabezpieczenie Anthony'ego. Urodził się w Anglii - oznajmiłam pogodnym tonem.

Nie wątpiłam, że nasz wówczas dwudziestotrzyletni najstarszy syn chętnie wyruszy po przygodę. Nie doświadczył grozy drugiej wojny światowej ani Holokaustu, odznaczał się więc pewnością siebie młodego obywatela nowoczesnego świata. Właśnie zdobył nagrodę za film krótkometrażowy (Short Film Award) w National Film Theatre³ i zamierzał podjąć pracę w telewizji i w kinematografii, byłam więc pewna, że z przyjemnością poświęci nam kilka dni na realizację tak interesującej misji. Czułam, że ta przygoda

³ Obecnie BFI Southbank - przyp. tłum.

może pochłonać mnie bez reszty, dlatego wezwałam na rozmowę naszych trzech synów i przedstawiłam im swój plan oraz powody, dla których chcę go zrealizować. Przede wszystkim było to zarówno ich, jak i moje dziedzictwo, które zamierzałam zbadać. W ciągu ostatnich miesięcy historia Emilie i księcia Augusta ekscytowała ich niemal tak samo jak mnie. Wiedziałam, że Ken, pomimo uznania całego przedsięwzięcia za nieroztropne, będzie przy mnie i zechce mnie wesprzeć, skoro uświadomił sobie, że tak czy inaczej zamierzam pojechać i nie wyperswaduje mi tego bez względu na to, jak bardzo będzie się starał. Nawet nie przyjdzie mu do głowy pozwolić mi jechać samej do tak niebezpiecznego kraju jak NRD.

I rzeczywiście kilka tygodni później Ken, Anthony i ja przylecieliśmy do Berlina Zachodniego. Wówczas zachodnia część miasta, którą znałam z dzieciństwa, skurczyła się do maleńkiej, odgradzonej od NRD wyspy demokracji, pozostawionej tam po drugiej wojnie światowej i po podziale pokonanego niemieckiego imperium między aliantów. Do Berlina Zachodniego można się było udać tylko samolotem, gdyż wszelki inny dostęp do tego miasta został odcięty wskutek wzmożonego strzeżenia granic w celu przeciwdziałania ucieczkom na Zachód osób rozczarowanych komunizmem. Czułam się dziwnie, znowu będąc wśród znajomych budynków i ulic. Niektóre dobrze pamiętałam ze szczęśliwego wczesnego dzieciństwa i byłam wytrącona z równowagi na myśl, że ze wszystkich stron otaczają nas tereny rygorystycznie kontrolowane przez bezwzględną i wszechwładną dyktaturę komunistyczną. Szłam Unter den Linden, pięknym bulwarem prowadzącym do Bramy Brandenburskiej, który po-

winien obudzić we mnie tyle miłych wspomnień, ale teraz na jego końcu widniały zwoje drutu kolczastego i nagie lico wysokiego muru berlińskiego, który brutalnie, ale i też w sposób symboliczny, oddzielał Wschód od Zachodu. Gdy staliśmy, spoglądając na to monstrum, wszędzie widzieliśmy wizerunki trupiej czaszki i skrzyżowanych piszczeli, zapowiadające natychmiastową śmierć każdego, komu przyjdzie do głowy przekroczyć mur bez odpowiedniego zezwolenia. Czułam się tak, jakbym niemal otrzymała ostrzeżenie przed udaniem się dalej w poszukiwaniu prawdy, którą chciałam ustalić, jakby władze Niemiec Wschodnich dawały mi ostatnią szansę odstąpienia od moich planów i powrotu do domu, zanim zaangażuję się w sprawę zbyt mocno i nie będę już w stanie umieścić dzina z powrotem w butelce, jeśli tylko go z niej wypuszczę.

Dyrektor archiwum w Dahlem nie wydawał się tak zadowolony z naszego spotkania jak ja. Niechętnie przyznał, że sprawuje pieczę nad papierami Hohenzollernów. Dał mi też odczuć, że uważa mnie za kolejną osobę, która ustawiła się w długiej kolejce poszukiwaczy złota, jacy w ciągu lat zapukali do drzwi jego gabinetu, próbując potwierdzić swoje pochodzenie w nadziei, iż będą mogli zażądać zwrotu dawno utraconego majątku lub tytułu. Gdy w końcu wysłuchał mojej opowieści, musiał zauważyć, z jakim zaangażowaniem traktuję swoje poszukiwania, i jego podejrzliwość chyba nieco zmalała, ale nie na tyle, abym uznała, że rzeczywiście mi sprzyja. Po jakimś czasie podjął bardzo oględnie temat Hohenzollernów, być może skrycie zadowolony, że ma takich chętnych słuchaczy, z pasją podchodzących do kwestii, których był znawcą.

- Gdyby królestwo pruskie przetrwało, królem byłby teraz książę Ludwik Ferdynand - oznajmił.

- A co z Emilie Gottschalk? - spytałam, gdy w końcu zaczął mnie słuchać. - Co pan o niej wie?

- W ogóle o niej nie słyszałem - odparł nieco pogardliwie, bo może nie lubił przyznawać, że ma jakąś lukę w wiedzy lub nie interesowało go żadne nazwisko, do którego nie był przypisany wielki tytuł. Tak czy inaczej, dodał kategorycznym tonem, jakby prowokował nas do wyrażenia sprzeciwu: - Książę August miał w swoim życiu tylko dwie kobiety.

Dwie inne? Tak mało wiedziałam o jego życiu, że nawet ten strzęp informacji był dla mnie czymś nowym.

- Kogo? - spytałam.

- Jedna to Friederike Wichmann, pierwsza żona, której król nadał tytuł von Waidenberg, z chwilą gdy wyszła za mąż za księcia Augusta, a druga to Auguste Arendt, obdarowana przez króla po poślubieniu księcia tytułem von Prillwitz. Książę August zawarł z tymi kobietami małżeństwa morganatyczne, gdyż żadna z nich nie miała arystokratycznego tytułu i dopiero król nadał im szlachectwo. Potomkowie księcia Augusta z obu tych małżeństw nadal są bardzo szanowani. Mieszkają w Berlinie i dziedziczą te tytuły.

Powiedział to tak, jakbym celowo próbowała zburzyć istniejący stan rzeczy i sprawić kłopot uznanym potomkom Augusta czy też w jakiś sposób starała się na siłę wepchnąć w szeregi arystokracji. Nie zamierzałam jednak dać się zniechęcić tym tonem wyższości, jakim do mnie przema-

wiał. Wyjęłam z torebki miniaturowy portret Emilie i pokazałam mu tę rodzinną pamiątkę.

- I nigdy nie słyszał pan o Emilie Gottschalk? - spytałam po raz ostatni.

- Przykro mi - warknął poirytowany, ledwie spoglądając na portret. - Nie mogę pani pomóc. Jak już powiedziałem przez telefon, musi pani pojechać do Merseburga w Niemczech Wschodnich. Tam znajdzie pani wszelkie papiery dotyczące rodziny Hohenzollernów, które się zachowały. Na pani miejscu nie zawracałbym sobie tym jednak głowy, gdyż władze wschodnioniemieckie nikogo do tych papierów nie dopuszczą. Musi pani otrzymać zezwolenie na przyjazd tam, nie mówiąc już o zezwoleniu na dostęp do samego archiwum. Żyjemy w niebezpiecznych czasach, zwłaszcza jeśli chodzi o informację, której pani szuka.

Gdy słuchaliśmy dyrektora, ledwie odważyłam się spojrzeć na Kena. Te przestrogi tylko wzmocniły obawy mojego męża, które ogarniały go na myśl o przekroczeniu granicy z NRD. Były dla niego ważniejsze niż przestrogi moich rodziców, żeby nie poszukiwać dalszych informacji na temat Emilie i Augusta. Moje badania coraz bardziej przypominały szukanie wiatru w polu, ale przecież nie mogłam się poddać i wrócić do domu, nawet nie spróbowawszy prosić Niemców wschodnich o pomoc. Byłam przekonana, że ten człowiek mówi prawdę i że niemal na pewno zawrócą mnie przed drzwiami, jeśli wręcz nie aresztują. W głębi duszy chciałam jednak wierzyć, że istnieje jakaś szansa, iż zechcą mi pomóc i udostępnią nam akta. Nie mogłam się wyprzeć pamięci Emilie tylko dlatego, że na-

tknęłam się na jakieś przeszkody. Moja praprababka zasługiwała na coś więcej.

- Musimy teraz pojechać do Merseburga - powiedziałam do Kena i Anthony'ego, gdy tylko wyszliśmy z budynku, gdzie znajdowało się archiwum, starając się, aby ton mojego głosu wskazywał na większą pewność siebie niż w rzeczywistości.

- Evechen - zaczął Ken, z trudem hamując złość z powodu mojego uporu. - To niebezpieczne. Nie możemy pojechać do NRD. No już, wracajmy do domu.

- Pomoże nam brytyjski konsulat - oświadczyłam, udając, że nie słyszałam jego słów. - Może konsul zechce nas przyjąć? Dowiedzmy się.

Ken niechętnie zgodził się na wizytę u brytyjskiego konsula; prawdopodobnie wyobrażał sobie, że urzędnik pomoże mi zachować rozsądek, skoro nie udało się to nawet jemu i moim rodzicom. Nie było trudno spotkać się z brytyjskim konsulem, który spokojnie i grzecznie wysłuchał mojej prośby. Ken i Anthony siedzieli w milczeniu, nie wtrącając się do rozmowy, którą z nim prowadziłam. Najwyraźniej konsul był zaintrygowany moją sprawą i w skupieniu oglądał notatnik, odwracając w zamyśleniu strony, kiedy referowałam mu swoją prośbę. Wysłuchał do końca, co miałam mu do powiedzenia.

- Rząd brytyjski nie ma w NRD swojego przedstawicielstwa dyplomatycznego - przypomniał mi, gdy zdał sobie sprawę z tego, że mam nadzieję tam pojechać. - Pani Haas, mam jak największe obawy, że nie będzie pani mogła się tam udać. Urodziła się pani w Breslau, obecnym Wrocławiu, ale w przedwojennych Prusach, o czym władze

NRD będą wiedziały. Wydaje się, że naprawdę wiedzą wszystko o każdym, kto przekracza granice tego państwa. Jeśli zechcą, mogą nie zezwolić pani na wyjazd stamtąd. Mogą panią aresztować na podstawie jakiegoś sfabrykowanego oskarżenia i zamknąć w więzieniu, nawet nas o tym nie informując. A jeśli to zrobią, będzie tam pani tkwić, a my po tej stronie granicy nie zdołamy pani pomóc. Prawdopodobnie nawet się nie dowiemy, dokąd panią zabrali. Poza tym nie może się pani tak po prostu pojawić w tym archiwum i oczekiwać, że poczęstują panią herbatą. Gdzie jest pani zaproszenie? Czy w ogóle pani je ma?

Mówił tak rozsądnie, argumentując w sposób tak bezapelacyjny, że poczułam wielki ucisk w żołądku. Może rzeczywiście nie zdołam tam pojechać? Już byłam gotowa się poddać i uprzejmie podziękować za wysłuchanie mnie, gdy usłyszałam silny i stanowczy głos siedzącego obok męża, spieszącego mi z pomocą niczym biały rycerz, którym zawsze był.

- Mamy list - oznajmił Ken i podał konsulowi kopię listu, który wysłałam do archiwum do Merseburga.

Poczułam przypływ optymizmu i wdzięczność wobec męża za to, że przemówił w moim imieniu, choć przecież jeszcze bardziej niż konsulowi zależało mu na zniechęceniu mnie do podjęcia realizacji misji, którą sobie wyznaczyłam.

- Ale to jest pani list z prośbą do nich o przysłanie zaproszenia - stwierdził konsul, rzuciwszy okiem na kartkę. - To nie to samo co zaproszenie.

- Zgadza się - oznajmił Ken i skinął głową, jakby to było oczywiste, ale nieistotne.

- Cały ten wyjazd do NRD jest stanowczo zbyt niebezpieczny - przestrzegł nas konsul, kręcąc głową i zwracając mu list.

Ken z powrotem wsunął kartkę do kieszeni.

Obowiązkiem konsula było powiedzieć to wszystko, aby się zabezpieczyć na wypadek, gdyby coś mi się stało, bo dopóki nie łamałam prawa, nie mógł mnie powstrzymać przed robieniem tego, co chciałam. Byłam obywatelką wolnego kraju i tak długo, jak znajdowałam się w Berlinie Zachodnim, przebywałam w enklawie wolności. Jeśli chciałam się narażać na niebezpieczeństwo, była to moja sprawa i nikogo innego. Nie będzie tak źle, pomyślałam. Uznałam, że nie mam wyboru, że muszę ignorować wszystko, co mi mówiono.

- No cóż, chciałabym spróbować - oznajmiłam spokojnie. - Jak więc mamy się za to zabrać?

Konsul robił, co mógł, aby zmienić moje nastawienie do wyjazdu do NRD, aż w końcu zdał sobie sprawę - jak musiał zdać sobie również Ken - że niczym nie może mnie odstraszyć i będzie lepiej, jeśli udzieli mi możliwie najlepszych rad w nadziei na zmniejszenie potencjalnego zagrożenia.

Zanim znowu zaczął mówić, westchnął ciężko.

- Pani Haas, gdy tylko przekroczą państwo granicę z NRD, proszę być bardzo, ale to bardzo ostrożnymi. Najpierw musicie się zgłosić do *Reisebüro* na Alexanderplatz, czyli do tak zwanego „biura turystycznego”. Jeśli jakimś cudem dadzą wam tam oficjalne zezwolenie na wyjazd do Merseburga, to wiedźcie, że miasto leży sześćdziesiąt pięć kilometrów od Berlina. Zezwolenie będzie ważne tylko jeden dzień i władze będą nalegały, aby-

ście przed godziną ósmą wieczorem tego samego dnia zgłosili się w *Checkpoint Charlie*, na przejściu granicznym dla cudzoziemców między Berlinem Wschodnim i Zachodnim. Kiedy znajdziecie się już z powrotem po zachodniej stronie, zgłoście to będącym na służbie francuskim, amerykańskim lub brytyjskim żołnierzom i powiedzcie im, że muszą poinformować mnie o waszym powrocie. Wówczas natychmiast skontaktują was ze mną. Uważajcie na siebie i powodzenia.

Przekroczenie granicy

Gdy wyszliśmy z konsulatu, ruszyłam szybkim krokiem, spoglądając przed siebie i nie odważając się spojrzeć Renowi w oczy. Wiedziałam, że stracił już nadzieję na wyperswadowanie mi wyprawy do NRD. Toteż gdy doszliśmy do samochodu, uściskałam go serdecznie i wyznałam mu, jak bardzo się cieszę ze wsparcia, którego mi udzielił w rozmowie z konsulem. Oczywiście nie znaczyło to, że nie będzie się na mnie boczył za to, że z powodu mojego uporu został wpędzony do narożnika.

Wiedziałam, że teraz, kiedy zaakceptował mój wyjazd do Merseburga, nie odstąpi mnie ani na krok i bardzo go za to kochałam. W żadnym wypadku nie pozwoliłby mi udać się tam samej.

Gdybyśmy wpadli w tarapaty, oczywiście też byłby moim najlepszym sprzymierzeńcem. Dowiódł tego wiele razy. Kiedy ostatecznie wyjeżdżał z hitlerowskich Niemiec, zna-

lazł się w pociągu wraz z wieloma innymi Żydami, którzy podobnie jak on uciekali przed reżimem nazistowskim. Pociąg zatrzymano przed granicą. Wsiedli do niego butni esesmani, którzy zażądali od pasażerów okazania dokumentów i kazali wysiąść wszystkim Żydom. Ken wiedział, że tego, kto wysiądzie, aresztują, a jeśli wraz z innymi zostanie zatrzymany, nie będzie już miał możliwości ucieczki. Zwrócił uwagę, że pasażerowie pokornie i grzecznie zachowują się wobec młodych tyranów z SS, postanowił więc spróbować innej taktyki.

Gdy esesmani wtargnęli do jego przedziału, spojrzął na nich gniewnie znad gazety, jakby poirytowany, że zakłócają mu spokój. Serce biło mu ze strachu jak oszalałe, ale warknął na nich i zażądał wyjaśnienia, dlaczego traktują go tak niegrzecznie, a następnie rozkazał im natychmiast wyjść z przedziału, aby mógł w spokoju dalej czytać gazetę. Zaskoczeni, że ktoś zachowuje się bardziej agresywnie od nich, i wskutek prania mózgu wdrożeni do tępego wykonywania rozkazów, esesmani poczuli się zbici z tropu. Wyszli z przedziału i zajęli się tymi, którzy nie podjęli żadnej walki, lecz ujawnili strach i pokorę, czego się po nich spodziewali.

Ken gapił się więc na gazetę, podczas gdy wszystkich innych Żydów wyprowadzono z pociągu. Dane mu było przekroczyć - do wtóru radośnie łoskoczących kół - granicę, za którą czekała go wolność. Odznaczał się odwagą i brawurą, których zdecydowanie potrzebowałam, aby wykonać postawione sobie zadanie. Musiałam mu jakoś pochlebić, żeby zrobił to, co chciałam. To, że udzielał mi tak wielkiego wsparcia, znaczyło dla

mnie bardzo wiele, a mogłam na nie liczyć nawet wtedy, gdy źle oceniał sytuację. Powiedziałam mu, że tak to u niego widzę. Nie należał do ludzi okazujących emocje. Jak wielu mężczyzn z jego pokolenia, w dodatku pochodzenia żydowskiego, raczej ich nie uzewnętrzniał. Ja również ukrywałam swoje emocje jak większość ludzi, którzy żyli przez jakiś czas w hitlerowskich Niemczech. Przy Kenie nauczyłam się ostrożności w ich okazywaniu. Mój mąż był pragmatykiem, który zawsze przedkładał wartość faktów nad wartość uczuć. Uważał, że w życiu trzeba zdążać naprzód i nie wywoływać wilka z lasu, jeśli chodzi o przeszłość. Rozumiałam, jak trudno było mu czasami zaakceptować mój punkt widzenia, i tym bardziej doceniałam, że towarzyszy mi w sprawie Emilie i Augusta. Dzięki wzajemnemu zrozumieniu w naszych stosunkach zawsze panowała równość, pomimo jego - chwilami nadmiernej - skłonności do zamykania się w sobie i do ostrożności. Jego entuzjazm, jeśli już go ogarnął, był niezmierny. Ken zawsze pędził przez życie bez względu na przeszkody. Rano wstaliśmy o świcie, by mieć jak najwięcej czasu po drugiej stronie muru berlińskiego, i wypożyczonym mercedesem, który prowadził Anthony, skierowaliśmy się do *Checkpoint Charlie*. Amerykański żołnierz uprzejmie poprosił nas, żebyśmy do niego podjechali, i sprawdził nasze paszporty. Byłam zdenerwowana, obawiając się, że nas zatrzyma i odeśle z powrotem, zanim zdążymy przejechać na drugą stronę. Po bardzo długim czasie, przynajmniej w moim odczuciu, oddał nam wreszcie dokumenty i skinieniem głowy dał znak, że możemy jechać. Ostrożnie przebyliśmy ziemię niczyją między Berlinem Zachodnim

i Wschodnim. Zmierzając w stronę kolejnego szlabanu, od razu zauważyliśmy zmiany w naszym otoczeniu. Uderzył nas tu widok licznych budynków o oknach zabitych deskami, gmachów, które ewidentnie popadały w ruinę, a także widok pęknięć asfaltu i wybojów w jezdni. Te ulice były kiedyś częścią pięknego, kwitającego miasta, w którym się wychowałam, podobnie jak te znajdujące się w sektorze zachodnim, skąd właśnie wyjechaliśmy - ale wyglądały jak wymarłe, jakby o nie nikt nie dbał, z braku, pieniędzy lub wskutek złej woli.

Pokonaliśmy ostatni szlaban, który oznaczał wjazd do wschodniej części miasta. Niemal natychmiast po przekroczeniu granicy kazano nam wysiąść i zgłosić się do rejestracji w pobliskim budynku.

Wykonaliśmy rozkaz posłusznie, nie robiąc najmniejszego zamieszania, i wróciliśmy do wypożyczonego mercedesa, żeby się udać do *Reiseburo* na Alexanderplatz, gdzie nasze przedsięwzięcie mogło łatwo się zakończyć. Nasz los spoczywał teraz w rękach jakiegoś małego urzędnika, od którego musieliśmy otrzymać zezwolenie na wyjazd do Merseburga i wjazd do Berlina Zachodniego. Zajął się tym Ken, który - kiedy już przyszło co do czego - nagle, tak jak się spodziewałam, znalazł się w swoim żywiole. Zaparkowaliśmy samochód i wysiedliśmy, świadomi tego, że obserwują nas uzbrojeni wschod-nioniemieccy funkcjonariusze straży granicznej o ponurych minach, pilnujący całego tego terenu.

- Nic nie mów - szepnął do mnie Ken, gdy weszliśmy do obskurnego biura.

Poinformował siedzącego za biurkiem mężczyznę, dokąd chcemy jechać, jakby to była najnormalniejsza rzecz

na świecie, i oznajmił, że nie wątpi w otrzymanie zezwolenia.

- Do Merseburga? - spytał arogancki młody urzędnik i spojrzał na nas z niedowierzaniem. - Macie zaproszenie?

- Ma się rozumieć - skłamał Ken, z taką pewnością siebie, że omal przekonał mnie, iż rzeczywiście je mamy. Machnął przed nosem urzędasza kopią listu, który napisałam do dyrekcji archiwum w Merseburgu, tak jak wcześniej u brytyjskiego konsula, i dodał: - Czekają tam na nas. - Udawał zniecierpliwionego przetrzymywaniem nas na granicy choćby przez kilka minut, bo „miał w Merseburgu ważne zadanie do wykonania”. Na koniec zapewnił: - Wszystko zostało załatwione. Mężczyzna zerknął na list, ale w przeciwieństwie do konsula nie zadał sobie trudu, żeby go przeczytać. Może pewność siebie Kena przekonała go, że istotnie jest to zaproszenie? Tak czy inaczej, bez cienia uśmiechu wypisał nam jednodniowe zezwolenie i przestrzegł, podobnie jak wcześniej konsul, co nam grozi, jeśli nie dotrzymamy warunków udzielenia zgody na wyjazd do Merseburga.

- Zostaniecie aresztowani - oznajmił, wręczając nam paszporty i list - jeśli dziś do godziny ósmej wieczorem nie opuścicie Berlina Wschodniego.

Nie ośmielając się nawet spojrzeć na siebie, zabraliśmy dokumenty i szybko wyszliśmy z biura, wciąż pamiętając, że wiele osób śledzi każdy nasz krok. Wsiedliśmy do samochodu i odjechaliśmy stamtąd, żeby przypadkiem urzędnik się nie rozmyślił i nie cofnął nam zezwolenia. Serce trzepotało mi w piersi jak ptak w klatce i czułam się skrupowana faktem, że zwracamy na siebie uwagę. Mercedes z plu-

szowymi siedzeniami na zagranicznych, zachodniobierlińskich numerach wyglądał w NRD absolutnie nie na miejscu, przyciągał spojrzenia niemal wszystkich, których mijaliśmy - zaciekawione, podejrzliwe lub otwarcie wrogie. Nikt nie zdobył się na uśmiech, co z różnych powodów wydawało się jedną z cech charakterystycznych mieszkańców Niemiec Wschodnich. Nie było szans, żebyśmy tego dnia pozostali niezauważeni: każdy urzędnik, który chciał znać każdy nasz krok, mógł zostać szczegółowo poinformowany.

Gdy jechaliśmy, wszędzie po drodze roztaczał się wokół nas posepny krajobraz. Samo miasto Merseburg bardzo ucierpiało w czasie wojny, tracąc około sześćdziesięciu pięciu procent mieszkańców. Wydawało się, że wszystkie zegary zatrzymały się tu przed trzydziestu laty, co wzmacniało dominującą na Zachodzie opinię, że tajemniczy blok wschodni jest czymś złowieszcym. Anthony tak zaciskał ręce na kierownicy, że aż mu pobiełały, ale skrupulatnie dostosowywał się do obowiązujących tu ograniczeń prędkości. Ostatnią rzeczą, jaką chcieliśmy zrobić, było dostarczenie wschodnioniemieckiej „ludowej policji” pretekstu do zatrzymania nas i zażądania dokumentów. Każda taka komplikacja mogła o cały dzień opóźnić nasz przyjazd do archiwum w Merseburgu, a nawet spowodować aresztowanie nas, przed czym przestrzegał konsul.

Godzinę po przekroczeniu *Checkpoint Charlie* zobaczyliśmy na horyzoncie wysokie białe mury średniowiecznego zamku.

- Tam mieści się archiwum - powiedział Ken.

Byłam podekscytowana tym widokiem. Może, ale tylko może, gdzieś za tymi posepnymi murami kryły się wszystkie tajemnice, do których chciałam uzyskać dostęp? Jeśli w tamtejszych aktach znajdowała się udokumentowana historia życia Augusta, Emilie i Charlotte, a taką miałam nadzieję, wystarczyłoby przekonać strażników archiwum do udostępnienia nam zbiorów. Pomimo wrogości, jaką okazało nam kilku urzędników, z którymi mieliśmy do czynienia, wciąż nie traciłam wiary, że w końcu nakłonimy kogoś do udzielenia nam pomocy, skoro do tej pory się nie poddaliśmy. Niemcy wschodni nie mogli być w stu procentach zgorzkniałymi i przestraszonymi ludzkimi automatami poddanymi praniu mózgu.

W murach zamku

Podjechaliśmy do budynekczku stojącego przy drodze, który wyglądał na wartownię zamku. Ken i ja wysiedliśmy z samochodu. Mąż demonstrował taką samą pewnością siebie jak w rozmowie ze wschodnioniemieckim urzędnikiem na granicy. Anthony pozostał za kierownicą. Spoglądał przed siebie, nie okazując żadnych emocji. Jego kamienna twarz miała maskować prawdę o naszej sytuacji.

- Czego chcecie? - spytała siedząca w wartowni młoda kobieta. - Po co tu przyjechaliście?

- Mamy spotkanie - odparłam.

- Z kim?

Ken odpowiedział jej wymownym milczeniem, udając oburzenie, że w ogóle ośmieliła się zaczepić nas w sprawie spotkania, które jakoby mieliśmy odbyć w zamku. Pokazał nasze brytyjskie paszporty, jakby to wszystko tłumaczyło.

- Och, już wiem - zaczęła strażniczka, najwyraźniej zadowolona, że może się wykazać sprawnością i znajomością systemu. - Chcecie się widzieć z *Frau Steglitz*.

- Tak - potwierdził Ken i skinął tylko głową, jakby sprawdzał tę kobietę i był pod wrażeniem jej odpowiedzi, ale wciąż powstrzymywał się przed grzecznym uśmiechem, na który zdobyłby się w zwykłej swobodnej rozmowie w Anglii. - Prawidłowa odpowiedź.

Strażniczka bez wahania zadzwoniła do niewidocznych „władz” w zamku, informując, że przed bramę przybyło troje Brytyjczyków na spotkanie z *Frau Steglitz*.

- *Gut* - oznajmiła oschłym tonem, ku naszemu bezbrzeżnemu zdumieniu, odkładając z trzaskiem słuchawkę.

Ken pomachał na Anthony'ego, żeby wysiadł z samochodu. Gdy syn dołączył do nas, strażniczka wpuściła nas na dziedziniec zamku przez małą boczną furtę w murze. Wstrzymałam oddech ze strachu, że gdy wciągnę powietrze do płuc, powodzenie może nas opuścić.

- Co dalej? - szepnęłam do Kena, ale milczał.

Podeszła do nas przedstawicielka władz, kolejna spotkana przez nas w Niemczech Wschodnich osoba o kamiennej twarzy. Wydawała się zakłopotana, taksując nas wzrokiem.

- Chodźcie ze mną - poleciała.

Wystrój zamku był ponury i surowy. Zastanawiałam się, jakie mroczne sekrety skrywają te gołe mury, gdy kobieta wprowadziła nas do jakiegoś pokoju.

- Jestem *Frau Steglitz* - przedstawiła się i spytała: - Po co tu przyjechaliście?

Nadal wydawała się zakłopotana naszym nagłym pojawieniem się w zamku. Była nastawiona konfrontacyjnie, nie dostrzegłam u niej żadnych oznak serdecznego stosunku do ludzi. Wszystko w jej wyglądzie - od krótko przyciętych włosów po sztywne ramiona - emanowało wrogością. Najwyraźniej była przekonana, że wciągnęliśmy ją w pułapkę i wtargnęliśmy do jej królestwa. Bez wątplenia w ciągu długiego już okresu zimnej wojny dostarczono jej tyle samo powodów do strachu przed obywatelami Zachodu, ile nam do obaw przed mieszkańcami państw Wschodu. I oto teraz Wschód spotkał się z Zachodem, a my naruszyliśmy wszelkie zasady, której jej wpojono jako niezwykle ważne.

- Jaką macie sprawę? - warknęła.

Ken pokazał jej nasze paszporty, nie zamierzając dać się zastraszyć. Zerknęła na nie, ale chyba nie wywarły na niej takiego wrażenia jak na strażnicze za murami zamku.

- Wysłałam list - powiedziałam głosem znacznie mniej pewnym niż wcześniej Ken.

- To jest Eve Haas - burknął Ken, przedstawiając mnie w nadziei, że gdy tylko wymieni moje nazwisko, Niemka okaże się skłonna do współpracy. - Napisaliśmy do pani z Londynu.

- Tak, wiem - potwierdziła, niezmiennie z tą samą kamienną twarzą. - Chodźcie ze mną.

Frau Steglitz zaprowadziła nas do innego, wyposażonego w podstawowe meble pokoju i skinieniem głowy kazała usiąść na chybotliwych, jak mi się wydawało, drewnianych krzesłach dla interesantów, podczas gdy sama zajęła

miejsce za biurkiem, stawiając się w pozycji osoby reprezentującej na tym spotkaniu władze. Zachowała się jak dyrektorka szkoły, która wezwała nas do siebie, traktując niczym uczniów mających się wytłumaczyć ze złego zachowania.

- A więc dostała pani mój list? - spytałam zdenerwowana.

- Tak - potwierdziła i skinęła głową, nadal nie ujawniając nic więcej.

- I jaka była pani odpowiedź? - odważyłam się spytać, przerywając nieprzyjemną ciszę, która zapadła po jej lakonicznej odpowiedzi.

- Odpowiedź znajduje się na poczcie. Otrzymacie ją, gdy wrócicie do Anglii - oznajmiła.

- Ale teraz jesteśmy tutaj - zwróciłam jej uwagę stanowczym tonem, podążając w ślady Kena, bo uważałam, że nie mam nic do stracenia, nawet jeśli przeciągam strunę. - Poszukuję informacji na temat mojej praprababki, która miała romans z księciem pruskim Augustem, i chcę sprawdzić, czy występuje ona w tym archiwum.

- Och, to jest absolutnie wykluczone - warknęła znowu. - Absolutnie nikomu nie wolno korzystać z tego archiwum. To jest zabronione. Przez cały czas otrzymujemy prośby o dostęp do akt od wybitnych amerykańskich profesorów i każdemu odmawiamy. Nikt z Zachodu nie może prowadzić tu badań. Po prostu nie wolno.

Wydawało się, iż sama myśl o tym, że odważamy się prosić ją o dostęp do archiwum, jest dla niej nie do przyjęcia. Skoro jednak przynajmniej dostaliśmy się do zamku, a *Frau Steglitz* nie sprawiała wrażenia osoby skłonnej

wezwać strażników, żeby nas stąd wyrzucili czy też aresztowali, postanowiłam wytrwać w swoich wysiłkach i dopiąć celu.

- Mieszkali razem przez wiele lat i mieli dziecko... Wydawało się, że rozwścieczyła ją sama wzmianka o dziecku, bo zaczęła krzyczeć.

- Dziecko?! - zagrzmiała, uderzając dłońmi o blat biurka, aż wszyscy się wzdrygnęliśmy na krzesłach.

- Nie wiem, dlaczego na was, mieszkańcach Zachodu, dzieci wywierają takie wrażenie. Ludzie cały czas mają dzieci. Przychodzą one na świat w każdej minucie czy sekundzie każdego dnia na całym świecie. Dlaczego zajmujecie się jednym dzieckiem? Bo kiedyś do was należało imperium, które teraz chcecie badać dzięki naszemu archiwum? Z pewnością jest to niemożliwe.

- A jak można sprawić, żeby stało się możliwe? - spytał Ken, który najwyraźniej nie poczuł się zastraszony z powodu jej wybuchu.

- Musicie otrzymać zezwolenie - odpowiedziała mu takim tonem, jakby z góry było to wykluczone i najwyraźniej w nadziei, że sam ton wystarczy, żebyśmy zakończyli ową niemądrą rozmowę.

Irytowaliśmy ją chyba ponad wszelką wytrzymałość.

- Jak możemy je otrzymać? - drażył nieustępliwie Ken.

- Och! - wykrzyknęła drwiąco. - Z ministerstwa. Minister osobiście musi wyrazić na to zgodę, a takie rzeczy się nie zdarzają.

- A gdzie znajduje się to ministerstwo? - spytał spokojnie mój mąż, jakby było to najbardziej naturalne pytanie na świecie.

- W Poczdamie! - wykrzyknęła triumfalnie, pewna, że teraz wreszcie zakończy tę rozmowę.
- Czy może pani podać nam adres? - spytał Ken stanowczym tonem.
- Nie macie zezwolenia, żeby tam jechać. To jest siedemdziesiąt kilometrów stąd, a zamykają o szesnastej. Będzie to dla was tylko strata czasu.

Gdy tak siedzieliśmy zdecydowani działać, *Frau Steglitz* milczała, jakby zastanawiała się nad tym, czy podanie nam adresu tego ministerstwa będzie dla niej korzystne. Być może pozbywając się ze swojego gabinetu trojga kłopotliwych cudzoziemców, mogła przekazać nas komuś innemu, żeby się z nami dalej męczył. Tak czy inaczej, coś musiało jej przyjść do głowy, bo bez słowa wstała z krzesła i wyszła z pokoju. Wymieniliśmy z Kenem spojrzenia, ale nie odważyliśmy się nic powiedzieć, czekając w wielkim napięciu na rozwój wypadków. Czyżby poszła po strażników, żeby się z nami rozprawili? Mijały kolejne minuty, a my nie wiedzieliśmy, co nas czeka. Ken spojrział na zegarek, lecz nic nie powiedział. Była już druga po południu. Zdumiało mnie, jak czas szybko mija, gdy człowiek ciągle czeka na zezwolenie, by móc coś zrobić.

Ku naszemu zaskoczeniu *Frau Steglitz* wróciła po pięciu minutach z karteczką, na której widniał napisany na maszynie adres ministerstwa. W podziękowaniu za tę uprzejmość każde z nas jedynie skinęło głową i podało jej rękę, bo uważaliśmy, że ta kobieta nie zrobiła dla nas nic ponad to, co wynikało z obowiązków urzędnika państwowego. Wyprowadziła nas z budynku i szybko stamtąd odeszliśmy. Nie mogłam uwierzyć w nasze szczęście.

Czułam ulgę, gdyż dziś zrobiliśmy decydujący krok naprzód.

- A więc nasz następny przystanek znajduje się w Poczdamie - stwierdziłam, gdy wsiedliśmy do samochodu.

Ken opracowywał nasz plan.

- Poczdam jest oddalony od Berlina o siedemdziesiąt kilometrów, ale w kierunku przeciwnym do tego, w którym pojechaliśmy z *Checkpoint Charlie* - uświadomił nam. - Nawet jeśli zdołamy dotrzeć tam przed zamknięciem ministerstwa, to jest całkiem możliwe, że nie zdążymy wrócić przed ósmą do Berlina.

Dla mnie ten wyjazd do NRD oznaczał jednak tak wielki przełom w poszukiwaniach, że nie mogłam znieść myśli

o konieczności zawrócenia i udania się do domu, z czym być może łączyła się bezpowrotna utrata możliwości otrzymania zezwolenia na ponowne odwiedzenie Merseburga. Nikt nie dał nam zezwolenia na tę dzisiejszą eskapadę

i musieliśmy się liczyć z tym, że nikt nie da go nam na ponowny wyjazd do NRD. Wydawało się, że musimy podjąć ryzyko teraz. Jak dotychczas branie ich przez zaskoczenie okazywało się dla nas korzystne.

- Musimy się dostać do Poczdamu najszybciej jak to możliwe - oznajmiłam, zanim Ken mógł znowu zaprotestować i oznajmić, jak jest to niebezpieczne. - Pędźmy tam!

Spojrzał na mnie i odwrócił się do Anthony'ego.

- W porządku - powiedział ponuro. - Jedziemy do Poczdamu.

Czarowanie ministra

Anthony niemal przez cały czas milczał. Skupiał się na prowadzeniu i starał się nie zderzyć z którymś ze zdezelowanych trabantów, które mijając nas, gwałtownie skręcały, bo ich kierowcy z otwartymi ustami gapili się na niecodziennego w tych stronach eleganckiego mercedesa. Zaczęłam myśleć o Emilie i wyjęłam z torebki jej portrecik. Zerknęłam na niego i ponowiłam przyrzeczenie, że odnajdę informacje na jej temat bez względu na to, gdzie zostały ukryte, i schowałam obrazek z powrotem do torebki. Wszyscy rozglądaliśmy się w poszukiwaniu patroli policyjnych, w obawie, że jeśli teraz któryś nas zatrzyma, z pewnością będzie to koniec naszej przygody. Mieliśmy świadomość, iż Anthony przekracza dozwoloną prędkość. Bardziej jednak niż obawa zatrzymania za zbyt szybką jazdę przerażała nas myśl, że w ministerstwie nie zastaniemy

już nikogo i nie zdążymy przed ósmą stawić się w *Checkpoint Charlie*.

- Co to za hałas? - spytałam w połowie drogi do Poczdamu, gdy do moich uszu dotarł jakiś warkot, który stawał się coraz głośniejszy. - Słyszać go nad nami. Co to jest?

- To helikopter - odpowiedział Anthony, zerkając w lusterko i zaciskając usta. - Leci nad nami od dobrej chwili, ale nie chciałem nic mówić, liczyłem, że zrezygnuje.

- Jedź dalej - poleciłam, uprzedzając protesty jego lub męża. - Jeśli chcieliby nas zatrzymać, już by to zrobili.

- Po prostu nas pilnują, żebyśmy nie pojechali tam, gdzie nie powinniśmy - uznał Ken.

Helikopter śledził nas jeszcze przez dziesięć minut, nim odleciał. Może pilot uznał, że stanowimy teraz problem dla kogoś innego? Prawie godzinę później wjechaliśmy na przedmieście Poczdamu.

Kiedyś było to słynne miasto, w którym rezydowali pruscy królowie, gdzie za panowania Fryderyka II pobudowano bajeczne pałace, usytuowane nad brzegami pięknych jezior. Znajdowało się tu również centrum nauki. Niestety, tego dnia Poczdam wyglądał tak, jakby znajdował się w strefie walk.

Wydawało się, że od czasu wojny żaden budynek nie został tu odbudowany i wyremontowany czy choćby pomalowany. Mury wciąż były podziurawione przez kule, a ziemię żłobiły kraterki po bombach, które tu kiedyś wybuchły, i wszędzie piętrzyły się worki z piaskiem. Wszystkie uszkodzone i odrapane budynki pokrywała warstwa sadzy przypominająca stary pył węglowy.

Gdy podjechaliśmy bliżej pod budynek, którego numer, jak nam się wydawało, odpowiadał podanemu w adresie,

zwolniliśmy. Wówczas jak spod ziemi wyrosli trzej ogromni żołnierze z kałasznikowami przewieszonymi przez ramię i ruszyli do nas, wykrzykując rozkazy i zmuszając nas do gwałtownego zahamowania.

- *Wychoditje iz maszyny, požalujsta!*

- O mój Boże - mruknął Ken. - Wjechaliśmy do rosyjskiego sektora.

Dowódca skinął na niego karabinem, żeby wysiadł z samochodu, a następnie warknął kolejny rozkaz.

- Dokumenty? - spytał Ken, sięgając ostrożnie do kieszeni po paszporty. - Oczywiście.

Anthony i ja zostaliśmy w samochodzie i z obawą obserwowaliśmy, jak Ken próbuje wytłumaczyć żołnierzom, czego chcemy. Spostrzegliśmy, że pokazuje im widniejący na karteczce adres, który otrzymaliśmy od *Frau Steglitz*, a jeden z nich wyciąga dłoń w kierunku pobliskiego budynku.

- Zaraz wracam! - zawołał do nas Ken i ruszył gdzieś z żołnierzami.

- Dokąd idziesz?! - zawołałam, zaniepokojona na myśl, że nas rozdzieli i przestraszona, że z powodu mojej impulsywności naraziłam życie całej naszej trójki na niebezpieczeństwo.

Co będzie, jeśli Ken zniknie w budynku i nigdy stamtąd nie wyjdzie? - zastanawiałam się. Co wtedy zrobimy? Chciałam z nim iść, choć kazał mi zostać w samochodzie, ale już wchodził po schodach budynku, do którego skierował go żołnierz.

W środku, jak się później dowiedziałam, omal nie wpadł do krateru po bombie, bo na całym tym terenie budynku

były uszkodzone. Odzyskawszy równowagę i przyzwyczajwszy oczy do mroku, zdołał znaleźć wschodnio-niemieckiego żołnierza, z którym mógł się porozumieć. Pokazał mu adres napisany na karteczce, zachowując się tak samo władczo, jak wtedy, gdy pokazał urzędnikowi list z rzekomym zaproszeniem.

Anthony i ja odetchnęliśmy z ulgą, kiedy obaj wyszli z budynku, a Ken pomachał na nas, żebyśmy wysiedli z samochodu i poszli z nimi. Każdy nasz ruch śledzili podejrzliwym wzrokiem stojący na straży rosyjscy żołnierze. Niemiec poprowadził nas parę metrów ulicą i gdy podeszliśmy z boku do budynku, ze znajdującego się tam okienka wystawił głowę kolejny urzędnik.

- Jaka macie sprawę? - spytał ze złością.

- Przyjechaliśmy, żeby spotkać się z kimś w sprawie zezwolenia na skorzystanie z zasobów archiwum w Merseburgu - oznajmił Ken, znowu pokazując nasze paszporty.

Nikt, kto słuchał jego stanowczego tonu, nie domyśliłby się, jak bardzo mój mąż się niepokoił.

Weszliśmy do przerażająco mrocznego budynku, jakby to była Europa z lat czterdziestych. Gdyby Rosjanie się połapali, że nie mamy nawet zezwolenia na pobyt w Poczdamie, byłibyśmy zdani na ich łaskę.

Mężczyzna siedzący w okienku wydawał się przyzwyczajony do tego, że nim pomiatają. Oddalił się drobnymi kroczkami, trzymając w ręce nasze paszporty, i zostawił nas pod czujnym okiem strażnika. Nie mieliśmy pojęcia, co się z nami stanie. Wrócił po kilku minutach, lecz z jego miny nie dało się wywnioskować, z jaką reakcją spotkał się nasz przyjazd.

- Minister przyjmie was zaraz - oznajmił.

Ken i ja spojrzeliśmy na siebie z niedowierzaniem. Byliśmy w szoku. Czy naprawdę nam się udało, zaledwie w ciągu jednego dnia, dotrzeć do władzy? Z trudem przyjmowaliśmy do wiadomości to, co się działo. Wszystko toczyło się tak szybko, że byliśmy wytrąceni z równowagi. Jeśli *Frau Steglitz* była straszna, to jaki mógł być ten mężczyzna? Szliśmy za naszym przewodnikiem po schodach, przyspieszając kroku. Zastanawiałam się, czy ministerstwo zostanie zaraz zamknięte, bo dochodziła czwarta.

- Tam - poinformował nas mężczyzna, zatrzymując się przed imponującymi drzwiami. - Wejdźcie. Ken przepuścił mnie, żebym wkroczyła do gabinetu ministra pierwsza. Ostrożnie wyszłam zza rogu prosto do innego świata. Tak olśniła mnie wspaniałość tego wnętrza, że nie zauważyłam znajdującego się tam mężczyzny.

- Witam państwa! - odezwał się przyjazny głos. - Proszę wejść i się rozgościć.

Tego się nie spodziewałam.

Minister stał przy wielkim i gustownym mahoniowym biurku, które znajdowało się na wprost okna wychodzącego na ogród pełen kwitnących teraz wiosennych kwiatów. W ciepłym i przyjemnym pokoju panowała atmosfera spokoju. Zaczesane do tyłu czarne włosy ministra błyszczały od brylantyny. Rozpromieniony, przywitał się z nami z przesadną grzecznością i poprosił, żebyśmy usiedli i odprężyli się w jego wspaniałym gabinecie.

- Czym mogę służyć? - spytał i usiadł na swoim krześle za biurkiem.

Był to chyba pierwszy uśmiechnięty człowiek, którego zobaczyliśmy od czasu wyjazdu z Berlina Zachodniego. Prawdopodobnie nie potrafiliśmy ukryć wdzięczności, byliśmy zaskoczeni tym wylewnym powitaniem.

- A zatem... - zaczął i spojrzał na mnie rozpromieniony - pani Haas, proszę mi powiedzieć, co panią tu sprowadza?

- Napisałam list do dyrekcji archiwum w Merseburgu z prośbą o udostępnienie mi znajdujących się tam akt, żebym mogła poszukać w nich informacji na temat swojej praprababki - wyjaśniłam. - Mieszkała przez wiele lat z pruskim księciem Augustem.

- Czy otrzymała pani odpowiedź na swój list?

- Nie.

- Obawiam się, że nigdy jej pani nie otrzyma - oświadczył, uśmiechając się przepraszająco. Dawał chyba do zrozumienia, że rozumie mnie doskonale i podziela moją frustrację, ale co można zrobić w obliczu tak sztywnego systemu? Następnie wyjaśnił: - Są bardzo krnąbrni. Powinni mi dostarczyć otrzymany od pani list, żebym coś postanowił, a tymczasem wrzucili go tam. - Wskazał dłonią kosz na śmieci.

W tym momencie stosunki polityczne na osi Zachód - Wschód nic dla mnie nie znaczyły, jakbyśmy byli sprzymierzeńcami we wspólnej straconej sprawie, dwojgiem ludzi rozmawiających ze sobą po prostu ze względu na obopólną sympatię. Straciłam czujność, ulegając czarowi ministra.

- Pani Haas, proszę skierować swoją prośbę bezpośrednio do mnie i uwzględnić w niej wszystko, co panią interesuje - zaproponowałam.

Wówczas poprosiłam Kena, żeby napisał ją w moim imieniu.

- Ma pan zachwycający ogród - powiedziałam. Podążając za moim wzrokiem, wyrztał przez okno.

- Wiosna to taka piękna pora roku, nieprawdaż? - stwierdził.

Większość osób, z którymi się zetknęliśmy, skupiała całą swoją uwagę na Kenie, a nie na mnie. Mój mąż ze względu na swój wiek i płeć przewodził przeciw naszej misji. Tymczasem minister wpatrywał się we mnie tak intensywnie, jakby w pokoju nie było poza nami nikogo. Jego usłużność i dworskie maniere odebrały mi chęć walki. Byłam przygotowana na większą podejrzliwość i agresywność i w żadnym wypadku nie spodziewałam się spotkać mężczyzny usposobionego do flirtu. Odczułam więc ulgę na myśl, że poznałam kogoś, kto zachowuje się jak nasz sprzymierzeniec. Wydawało się, że dla tego człowieka nic nie przedstawia zbyt wielkich trudności.

- Proszę pozwolić, że ujmę to wprost - zaczął, pochylając się w moją stronę i marszcząc brwi, aby pokazać, jak bardzo koncentruje się na tym, co mówi. - Przyjechała tu pani z Anglii, przeszła wszystkie kontrole graniczne i dotarła w głąb naszego kraju tylko po to, żeby odnaleźć w archiwach swoją praprababkę?

- Zgadza się - potwierdziłam. - Właśnie po to tu przyjechałam.

- Nie do wiary - skomentował, po czym, widząc, że znowu wyglądam przez okno, zapytał: - Jest pani ogrodniczką?

- Hm, owszem - odpowiedziałam nieco zaskoczona zmianą tematu.

Pochylił się w moją stronę jeszcze bardziej i rozmawiał tylko ze mną, całkowicie ignorując obecność Kena i Anthony'ego. Równie dobrze mogłoby ich nie być w jego gabinecie, bo patrzył jedynie na mnie. Staralam się nie dostrzegać coraz większej irytacji Kena, ale nieoczekiwanie minister znowu zmienił temat.

- Pani Haas, pomogę pani odnaleźć w archiwum pani praprababkę. Panie Haas, proszę dać mi tę prośbę. W ciągu dziesięciu dni otrzymają państwo oficjalne zezwolenie na korzystanie z naszych archiwów. Proszę być tego pewnym - oświadczył na koniec.

Ten człowiek miał dostęp do sekretów z przeszłości mojej rodziny, a być może nawet klucz do wyjaśnienia tego, co stało się przed ponad stu laty! Nadal jednak nie mogłam mieć nadziei, że kiedykolwiek odnajdę w archiwach Emilie i poznam jej życie z Augustem. Z gabinetu ministra wyszłam jednak lekkim krokiem, gdyż czułam, że duch praprababki zmusza mnie do działania.

Kilka minut po spotkaniu z ministrem znaleźliśmy się znowu w świecie rzeczywistym, na brudnej, podupadłej ulicy, i podążaliśmy do samochodu wśród wybojów, mijając rosyjskich żołnierzy. Czy przed chwilą śniłam? Czy wizyta u ministra naprawdę się zdarzyła? Wydawało się niemożliwe, że kilka metrów stąd znajduje się ta ministerialna oaza, bezpiecznie ukryta za zniszczonymi murami.

- Nie myśl, że otrzymasz zezwolenie tylko dlatego, że ten człowiek robił do ciebie słodkie oczy - mruknął Ken,

gdy w pośpiechu wszyscy troje wracaliśmy do samochodu. Powiedział to takim tonem, jakby ukłuła go zazdrość, i zaraz dodał: - Nie wierz w ani jedno jego słowo.

Udawałam, że zgadzam się ze swoim mężem, bo nie chciałam sprawiać wrażenia łatwowiernej czy też ukontentowanej zainteresowaniem okazanym mi przez ministra. Musiałam jednak wierzyć temu ostatniemu - w przeciwnym razie moje poszukiwania zbliżałyby się do kresu. Bez zezwolenia ministra na zapoznanie się z aktami kryjącymi w sobie wszelkie tajemnice, które tak desperacko chciałam poznać, mogłabym tylko marzyć o uzyskaniu do nich dostępu. Gdy pędziliśmy do granicy, milczałam w samochodzie, bo nie chciałam się wydać naiwną, ale przepelniał mnie optymizm. Nie mieściło mi się w głowie, ile zdołaliśmy załatwić w ciągu jednego dnia, i nie chciałam, żeby coś zepsuło mój doskonały nastrój. Szło nam tak dobrze, że w chwili gdy zobaczyliśmy *Checkpoint Charlie*, do dwudziestej, kiedy to najpóźniej musieliśmy się stawić w punkcie granicznym w Berlinie Wschodnim, mieliśmy jeszcze ponad godzinę. Westchnęłam z ulgą. Tęskniłam za komfortem naszego pokoju hotelowego w Berlinie Zachodnim i myślałam tylko o ciepłej kąpieli i zasłużonym obiedzie.

- Machają, żeby się zatrzymał - oznajmił Anthony, gdy zbliżyliśmy się do wschodnioniemieckich funkcjonariuszy straży granicznej, i znowu poczułam kamień na sercu, zwłaszcza że syn dodał: - Chcą, żebyśmy wysiedli.

Nie byliśmy już w ciepłym gabinecie ministra, gdzie przyjmowano nas gościnnie, lecz staliśmy przy ponurej drodze zasypywani pytaniami przez surowych i podejrzliwych funkcjonariuszy, na których nasze paszporty czy listy

zdawały się nie robić najmniejszego wrażenia. Przesłuchiwali nas drobiazgowo, pytając o wszystko, co tego dnia robiliśmy i widzieliśmy. Jeśli nawet zaimponowało im, że przyjął nas minister, to ich kamienne twarze o tym nie świadczyły. Traktowali nas tak, jakby chcieli nam wbić do głowy, abyśmy nie uważali się za kogoś szczególnego tylko dlatego, że wyjeżdżamy z ich kraju dobrym samochodem, spędziwszy dzień na rozmowach z ważnymi ludźmi. Z pewnością chcieli, abyśmy pamiętali, że to oni tu rządzą, a nie my. Mieli przecież karabiny i wolno im było aresztować nas, gdyby tylko uznali, że powinni to zrobić.

Gdy nie mogli już wymyślić żadnego powodu, aby nadal opóźnić nasz wyjazd z Berlina Wschodniego, skinęli, żebyśmy sobie pojechali i nie zaszczycili nas nawet spojrzeniem w oczy. Może uważali, że nie zasługujemy na to, aby okazać nam choćby pogardę? Ale gdy byliśmy już bezpieczni po zachodniej stronie, nie obchodziło nas, co myślą. Podjechawszy pod następny szlaban, poprosiliśmy zachodnich żołnierzy o poinformowanie brytyjskiego konsula, że wróciliśmy z NRD. To był niesamowity dzień. Czy jednak kiedykolwiek pozwolą się nam posunąć dalej w naszym poszukiwaniu prawdy?

Zniknięcie paszportów

W ciągu następnych dni w Londynie myślałam tylko o tym, czy minister dotrzyma słowa, czy też nie, bo zdaniem Kena uległam czarowi tego człowieka i jego łatwo złożonym obietnicom. Przez cały czas mój nastrój wahał się od optymizmu do pesymizmu. W jednej chwili przypominałam sobie, jak dobrze nam szło w naszych poszukiwaniach i nie widziałam powodu do braku wiary w dalsze powodzenie, a w drugiej zastanawiałam się, dlaczego właściwie minister, *Frau* Steglitz czy ktokolwiek inny w Niemczech Wschodnich miałoby zawracać sobie nami głowę, skoro już raz się nas pozbyli. Choć dostaliśmy się do zamku, w którym znajdowało się archiwum, a minister w gładkich słowach złożył nam ważną obietnicę, to wciąż nie znaleźliśmy nic na temat Augusta i Emilie, co było frustrujące. Nie pozostawało mi nic innego, jak wierzyć w pomyślny

dla nas obrót spraw. Minister przyrzekł, że w ciągu dziesięciu dni poznamy jego decyzję i w miarę, jak ten termin upływał, czekałam na nią w coraz trudniejszym do wytrzymania napięciu.

Codziennie rano i po południu sprawdzałam pocztę, lecz listu nie było, a gdy nadszedł dziesiąty dzień czekania, okropnie się niecierpliwiłam. Niestety, i tym razem nie zobaczyłam rano na wycieracze listu z NRD, co było dla mnie trudne do zniesienia. Ken, który nigdy nie przejawiał triumfalizmu, gdy się okazywało, że w jakiejś sprawie ma rację, nic nie powiedział, a ja nadrabiałam miną. Wiedział przecież, jakim smutkiem napawa mnie ten brak odpowiedzi. Szczęśliwie tego samego dnia po południu ze znajdującej się na drzwiach wejściowych skrzynki pocztowej wypadła na podłogę w holu pośledniej jakości koperta ze wschodnioniemieckimi znaczkami. Gdy ją otworzyłam, niemal straciłam oddech; musiałam przeczytać list kilka razy, aby mieć pewność, że go zrozumiałam.

- Co piszą, mamó? - spytał nasz drugi syn, Timothy, któremu najbardziej spośród trzech naszych męskich potomków udzielił się mój entuzjazm, jeśli chodzi o poszukiwanie prawdy o naszych przodkach, i któremu zależało na jej odkryciu niemal tak samo jak mnie.

- Nie mogę w to uwierzyć - odpowiedziałam mu po kolejnej lekturze listu, kiedy musiałam zasłaniać usta dłonią, żeby powstrzymać okrzyki radości.

- Co piszą? - powtórzył Timothy, niezwykle podekscytowany.

- Minister zapewnia nam nieograniczony dostęp do archiwów i zezwala na pobyt w NRD tak długo, jak długo będę-

dzie to konieczne, żeby przeprowadzić poszukiwania. Możemy pojechać tam wszędzie, dokąd zechcemy.

Pospieszyłam do Kena, aby mu przekazać wiadomość, a on oczywiście uznał, że źle wszystko rozumiałam, i wziął ode mnie list, aby go przeczytać samemu.

- To wspaniała wiadomość - stwierdził, przetykając głośno ślinę. - Doskonale. Chyba błędnie oceniłem tego człowieka.

Ken nadal odnosił się do moich poszukiwań z rezerwą i rozumiałam, jak trudno mu pogodzić się z faktem, że musimy spędzić za żelazną kurtyną więcej czasu, jeśli w ogóle będziemy mieć szansę odnalezienia informacji na temat Emilie. Teraz było mu nawet trudniej pogodzić się z tą perspektywą, zważywszy na to, że odpowiedź ministra przeszła nawet moje oczekiwania. Otrzymaliśmy zezwolenie na przebywanie w Niemczech Wschodnich tak długo, jak długo zechcemy, czyli, jak przypuszczalnie uważał minister, do chwili odnalezienia tego, czego szukałam na temat swojej praprababki Emilie Gottschalk. Oswoivszy się z tą myślą, Ken najwyraźniej bardzo się martwił, zwłaszcza gdy dłużej zastanowił się nad konsekwencjami zezwolenia. Wiedział doskonale, że chcę wykorzystać każdą sposobność, jaką mi stworzono, i przeszukam każdy kąt, jeśli tylko pomoże mi to osiągnąć cel.

Ja ze swej strony postanowiłam, że usunę każdą przeszkodę na swej drodze, i już pokazałam, że jest to deklaracja prawdziwa. Minister spełnił moją prośbę z nawiązką, ale co sobie pomyśli *Frau Steglitz*, kiedy pozna rezultat naszego niedopuszczalnego najazdu na Poczdam, po tym, jak wymusiliśmy na niej podanie adresu ministerstwa?

Czułam się podniesiona na duchu, bo wbrew radom, jakich udzielała mi ta kobieta oraz inne osoby, moja stanowczość i upór przyniosły nadzwyczajne skutki. I znowu zaczęłam się zastanawiać, czy nasze szczęście zawdzięczamy działaniu Emilie.

Ken robił to wszystko dla mnie i demonstrował swoją odwagę, nie starając się już wyperswadować mi realizacji celu, który sobie wyznaczyłam. Zdawałam sobie sprawę, że proszę go o wiele, ale powodowała mnie przemożna chęć poznania przeszłości mojej rodziny. Do podjęcia poszukiwań skłaniał mnie odziedziczony po Emilie notatnik i opowieści o naszych przodkach. Naprawdę uważałam, że Ken się ze mną zgodzi, iż warto je podjąć, skoro mamy realną szansę odnieść sukces i wrócić bezpiecznie do domu. Rozpoczęłam przygotowania do ponownego wyjazdu do Merseburga. Tydzień później tylko ja i Ken, bez Anthony'ego w roli przyzwoitki, przekroczyliśmy ponownie granicę w *Checkpoint Charlie*, uzbrojeni w „list żelazny” od ministra. Aby zmniejszyć obawy Kena, zgodziłam się spędzić w Niemczech Wschodnich tylko tydzień i wrócić z nim na Zachód bez oporów, jeśli w tym czasie nie znajdziemy żadnych informacji na temat mojego prapradziadka i mojej praprababki. W tym momencie mój optymizm był tak wielki, że tydzień wydawał mi się absolutnie wystarczający do poznania naszych rodzinnych sekretów, które kryły w sobie archiwa. Brytyjski konsul w Berlinie Zachodnim był tak samo jak my zdumiony, że minister udzielił nam stosownego zezwolenia. Skoro nawet dyrektor archiwum w Dahlem zachowywał

się tak defensywnie i nie przejawiał woli współpracy z nami, to trudno było wyobrazić sobie, dlaczego władze Niemiec Wschodnich miałyby nagle otworzyć na nasz widok ramiona, jeśli dotychczas nie otworzyły ich dla nikogo, choć o dostęp do archiwum w Merseburgu zabiegali wybitni zachodni profesorowie historii. Byłam po prostu wdzięczna losowi za wyrażenie przez ministra zgody na skorzystanie przez nas z zasobów tego archiwum i mocno się niecierpliwiłam, bo chciałam już rozpocząć poszukiwania.

Niestety, dysponowaliśmy wprawdzie listem od ministra, ale mogliśmy się spodziewać, że wschodniemieccy biurokraci i funkcjonariusze różnych służb mogą nam utrudniać wykonanie misji. Wynieśliśmy takie przeświadczenie z kontaktów, jakie mieliśmy z opryskliwymi funkcjonariuszami straży granicznej z NRD podczas wcześniejszego pobytu. I nasze przypuszczenia się sprawdziły. Okazali się oni bowiem tak samo podejrzliwi i agresywni jak poprzednim razem. W końcu jednak nie mieli wyboru, musieli nas przepuścić przez granicę.

Gdy tylko weszliśmy do hotelu w Halle, uderzyła nas panująca w tym budynku, zbudowanym w typowo komunistycznym stylu - bez nadania mu indywidualnych cech - ponura atmosfera.

Zatrzymaliśmy się tu, bo Halle dzieliło od Merseburga dwadzieścia minut jazdy samochodem.

Przywitała nas recepcjonistka niemal tak samo „czepialska” jak funkcjonariusze na granicy. Gdy tylko weszliśmy, kazała nam okazać paszporty, a w praktyce wyrwała nam je z rąk i zniknęła z nimi w pokoju obok.

Czekaliśmy, spodziewając się, że za chwilę je zwróci, po sprawdzeniu naszych szczegółowych danych, ale przez

dwadzieścia minut nikt się z nimi nie zjawiał. Czuliśmy się nieswojo: podczas pobytu za żelazną kurtyną nagle pozbawiono nas dokumentów tożsamości. Ken pomachał przed oczami drugiej z recepcjonistek listem od ministra, chcąc zademonstrować, że jesteśmy nie byle kim. Ta jednak również wyrwała z jego ręki list i natychmiast udała się do pokoju, w którym wcześniej zniknęła jej koleżanka z naszymi paszportami.

Gdy w końcu wróciła pierwsza z recepcjonistek, poprosiliśmy ją o zwrot paszportów.

- Musimy je zatrzymać - odparła, chyba zdziwiona, że wciąż stoimy przed recepcją. - Zostaną przekazane *Volkspolizei*.

- Ależ my otrzymaliśmy zezwolenie ministra na pobyt w NRD - zaprotestowałam. - Musimy mieć przy sobie dokumenty tożsamości. Dlaczego nie możemy ich odzyskać? W czym problem?

- Nie wolno wam opuszczać hotelu - oznajmiła, ignorując moje pytania. - Gdy paszporty tu wrócą, wówczas wyjdziecie na zewnątrz. Nie wcześniej.

Próbowaliśmy prosić ją o zwrot naszych dokumentów tożsamości. Niestety, wydawało się, że nie jest zdolna dłużej nas słuchać. Potraktowała nas jak powietrze i powróciła do swej papierkowej pracy, najwyraźniej komunikując w ten sposób, że nieodwołalnie skończyła z nami rozmowę. Zresztą żadnymi argumentami słownymi nic byśmy nie wskórali. Otrzymaliśmy jasne polecenie, choć nie znaleźliśmy kryjących się za nim powodów. Kazano nam pozostać w czterech ścianach tego przygnębiającego budynku dopóty, dopóki nie otrzymamy zezwolenia, aby stąd wyjść. Nie

mogliśmy więc zadzwonić do przyjaźnie do nas usposobionego ministra, żeby poprosić go o pomoc. Myśl o tym, że wychodzimy na dwór i zostajemy zatrzymani przez policję, bo nie możemy okazać jej naszych dokumentów tożsamości, była jeszcze mniej pociągająca niż owo internowanie w hotelu. W rzeczywistości mogliby równie dobrze nas aresztować, biorąc pod uwagę panujący tutaj brak swobody w zakresie poruszania się po mieście i kraju. Pozbawieni paszportów nie mogliśmy nawet wrócić do Berlina Zachodniego, żeby tam poczekać w komfortowych warunkach na wyjaśnienie naszej sytuacji na policji w NRD. Sprawa ta utwierdzała Kena w jego najgorszych obawach, ale milczał. Taki był.

Desperacko pragnęłam rozpocząć pracę w archiwum, a mogłam tylko siedzieć w hotelowym pokoju i czekać, nie mając pojęcia, co dzieje się za kulisami, i patrzeć, jak mijają kolejne godziny, a ja tracę cenny czas. To czekanie oczywiście nie polepszyło samopoczucia Kena w związku z dosłownym uwięzieniem nas w hotelu w państwie totalitarnym. Czy ktoś rzeczywiście zajmował się naszą sprawą, czy też odebrane nam paszporty leżały na biurku u kogoś, kto miał mnóstwo innych spraw do załatwienia? Nie mogliśmy się tego dowiedzieć, tak jak tego, kiedy przyjdzie kolej na rozpatrzenie naszej sprawy. Bycie zdany na czyjąś łaskę i niełaskę nie dawało poczucia komfortu.

W ciągu pierwszego dnia pobytu w hotelu w Halle czas włókł się nam niemiłosiernie. Ilekroć schodziliśmy do recepcji, aby spytać, jak długo jeszcze musimy czekać na zwrot paszportów, recepcjonistka wzruszała ramionami

i powracała do swoich zajęć, nawet nie siląc się na odpowiedź. Nasza złość nie odnosiła żadnych skutków. Tak minęło nam popołudnie. W końcu byliśmy zmuszeni zjeść niesmaczną kolację i położyć się spać. Nie mieliśmy pojęcia, czy rano będziemy mogli przystąpić do pracy w archiwum, czy też spędzimy w hotelu drugi dzień.

Nazajutrz sytuacja się powtórzyła. Czułam się tak, jakbyśmy znaleźli się w koszmarnej szarej strefie, w której nie istniało nic, co pozwoliłoby nam pozbyć się frustracji i nudy. Nie mieliśmy nic do roboty poza niekończącym się czekaniem na zwrot paszportów, obserwowaliśmy więc toczące się w hotelu życie, co nie było absorbującym zajęciem. Widząc w jadalni młodego kelnera, zastanawiałam się, jakie jest jego życie w tym opresyjnym państwie, w którym nikt nie miał poczucia humoru. Powiedział nam, że ma na imię Victor, wydawał się zadowolony z możliwości porozmawiania z kimś innym niż zwykle. Uchyliliśmy mu rąbka tajemnicy w naszej sprawie.

- To frustrujące, co? - skomentował. - Bądźcie wdzięczni losowi, że tu nie mieszkacie. Opowiedzieć wam kawał?

- Wolno wam w tym kraju opowiadać kawały? - zdziwił się Ken.

- Oczywiście takie jak ten są zakazane. - Victor uśmiechnął się figlarnie i zaczął opowiadać: - Rusek stoi po chleb w kolejce, która ciągnie się przez wiele kilometrów. W końcu odwraca się do kolegi i mówi: „Już dłużej nie stoję! Idę zabić Breżniewa!”. Po tych słowach wychodzi rozgniewany z kolejki, ale po jakimś czasie wraca. „Co się stało?”, pyta kolega. „Och, kolejka chętnych do zabicia Breżniewa jest jeszcze dłuższa!”, odpowiada ten.

Gdy skończył, Ken i ja roześmialiśmy się i w tym momencie zwróciliśmy uwagę, że dyrektor hotelu spogląda na nas z dezaprobatą. W tym hotelu śmiech był czymś niezwykłym i najwyraźniej do niego nie zachęcano. Victor również spostrzegł minę swojego szefa i zdał sobie sprawę, że nieco przeholował. Odszedł od nas w pośpiechu, mrużąc pod nosem, że ma pilną pracę do wykonania. Trzeciego dnia czekania uznaliśmy, że nie mamy nic do stracenia, jeśli urządzimy małą awanturę. Gdybyśmy nic nie zrobili, moglibyśmy tu postradać zmysły, a przede wszystkim do końca tygodnia nie wyszlibyśmy z hotelu. Udaliśmy się więc do recepcji, ale zanim zdążyliśmy cokolwiek powiedzieć, młoda recepcjonistka o obojętnym jak zwykle wyrazie twarzy wręczyła nam paszporty i list od ministra.

- Oto państwa dokumenty - oznajmiła. - Możecie teraz wyjść z hotelu. Przepraszamy za opóźnienie. Poczuliśmy taką ulgę, że wdzięczność, jaką okazaliśmy tej kobiecie za zwrot paszportów, była niemal żalonna. Ale recepcjonistka tylko spojrzała na nas pogardliwie i ostentacyjnie zajęła się swoją pracą, jakby w ten sposób dawała nam do zrozumienia, że możemy się oddalić. Wyszliśmy w pośpiechu z hotelu, zamierzając jak najszybciej zająć się pracą w archiwum i nie chcąc bardziej rozdrażnić recepcjonistki. Złamanie człowieka nie zajmowało reżimowi totalitarnemu wiele czasu, jeśli jego funkcjonariusze byli zdecydowani to zrobić. Wsiedliśmy do samochodu i pojechaliśmy do archiwum, przygotowani do następnej walki z przerażającą *Frau Steglitz*.

- Postępuj bardzo rozważnie, Evi - przestrzegł mnie Ken, gdy zbliżaliśmy się do zamku. - Pamiętaj, musimy

mieć tę kobietę po swojej stronie, jeśli chcemy, żeby cokolwiek nam pokazała. Jeśli uzna, że powinna nam powiedzieć, iż nie ma tu żadnych akt dotyczących księcia Augusta, to nie udowodnimy jej kłamstwa.

Oczywiście miał rację. Jeśli dyrektorka archiwum oświadczy, że nie ma dla nas żadnych informacji, to do końca tygodnia będziemy mogli się tylko pogapić na mury zamku. Musieliśmy znaleźć sposób, by zainteresować tę kobietę naszymi poszukiwaniami, żeby spodobała się jej przejawiana przez nas chęć poznania prawdy o konkretnych faktach historycznych.

Gdy tylko *Frau* Steglitz dowiedziała się, że przyjechaliśmy, bezzwłocznie wyszła nam na spotkanie. Było dla nas zdumiewające, że „gorgona”, którą spotkaliśmy ostatnim razem, nagle ustąpiła miejsca komuś całkowicie innemu. Dyrektorka archiwum w Merseburgu uśmiechała się bowiem i sprawiała wrażenie szczerze uradowanej naszą ponowną wizytą. Pozbyła się całej swej wcześniejszej agresji i defensywności. Czyżby sprawił to list ministra? Czy dawał jej przyzwolenie, żeby zachowywała się jak normalny człowiek i manifestowała radość z wykonywanej pracy? Przypuszczalnie teraz ta kobieta stała się przede wszystkim archiwistką, gdyż interesowała się historią i prowadzeniem badań, a my stwarzaliśmy jej wspaniałą okazję do zaspokojenia tych upodobań. Wydawało się, że wraz z paszportami wróciło do nas szczęście, przynajmniej na chwilę.

- Spodziewam się, że jest to miły dla państwa pobyt? - spytała rozpromieniona i zabrzmiało to tak szczerze, że nie mieliśmy serca mówić jej, jakie piekło nudy i niepewności przeżywaliśmy do dziś w hotelu. - Teraz chciałabym

przedstawić państwa naszemu archiwistcie *Herr* Waltmannowi. Będzie państwa obsługiwał podczas waszego pobytu w naszym archiwum.

Zaprowadziła nas do dużej czytelni o zniszczonej drewnianej podłodze. Pomieszczenie było skąpo umeblowane, wyposażone przede wszystkim w stoły i krzesła dla interesantów. Najbardziej uderzyła nas panująca tu martwa cisza. Kilku interesantów bezszelestnie kartkowało stosy dokumentów, ale nawet na nas nie spojrzeli, gdy weszliśmy. *Frau* Steglitz posadziła nas przy okrągłym stole w wydzielonej części czytelni i poszła po *Herr* Waltmanna. Nagle znowu stałam się nerwowa, bo co będzie, jeśli się okaże, że po całym wysiłku, jaki włożyłam w to, aby się tu dostać, nie znajdę w tym archiwum nic dla siebie? Co będzie, jeśli niemądrze coś sobie uroiłam i to ojciec miał rację? Nie wiedziałam, jak sobie poradzę z rozczarowaniem, jeśli spotka mnie ono w tym miejscu. Ale przecież nic nie mogłam zrobić. Musiałam po prostu iść dalej i mieć nadzieję...

Otwarcie archiwum

Herr Waltmann był schludnie ubranym mężczyzną po czterdziestce. Uprzedzająco grzeczny, wydawał się szczerze zainteresowany naszym przybyciem, choć zachowywał się z pewną rezerwą, co rozumiałam, biorąc pod uwagę stanowisko, jakie zajmował, i ogólną sytuację. Stawało się dla mnie coraz bardziej oczywiste, że każdy, kto miał tu do czynienia z osobami z Zachodu, musiał uważać, aby nie zostać posądzonym o zbyt przyjazny do nich stosunek. Niemniej jednak *Herr* Waltmann starannie przygotował nas do kwerendy w archiwum dotyczącej źródeł historycznych z okresu, gdy żyli interesujący mnie August i Emilie. Większość moich przodków mieszkała w Berlinie, w którym się wychowałam i skąd wyjechałam w 1934 roku, kiedy to Hitler utorował sobie drogę do władzy. I teraz, wraz z mężem, przebywałam oto w Niemczech Wschodnich, dwa-

dzieńca osiem lat po zwycięstwie aliantów nad złym człowiekiem, ba! potworem, który omal nie zniszczył Europy Zachodniej. Bycie z powrotem w części rodzinnego kraju, okupowanej teraz i podległej kolejnej władzy dyktatorskiej, oznaczało dla mnie jakąś przewrotność historii. Tym razem chodziło o dyktaturę komunistyczną, ze wszystkimi jej ograniczeniami, za których nieprzestrzeganie groziła kara, i z codziennymi zagrożeniami dla mieszkańców, trzymanych w szachu i rządzonych żelazną ręką, bez cienia demokracji.

Rozumiałam, że nie możemy oczekiwać natychmiastowej obsługi i błyskawicznego udostępnienia akt. Gdy oddawaliśmy się pod merytoryczną opiekę *Herr* Waltmanna, który był dla nas dość miły, mogliśmy mieć co najwyżej nadzieję, że potraktują nas tu jak najlepiej.

- Zobaczmy tylko to, co zechcą nam udostępnić -szepnął mi do ucha Ken, sprowadzając mnie w ten sposób na ziemię.

Nadal byliśmy zdani na łaskę i niełaskę reżimu totalitarnego, ale bez względu na to, co się działo za zamkniętymi drzwiami, byłam przygotowana na czekanie, jak długo będzie trzeba, żeby odkryć potrzebne mi dowody. Teraz także nie miało dla mnie znaczenia, czy otrzymam stosowne dokumenty za kilka minut, czy za kilka godzin. Przyzwyczyłam się do czekania. Poza tym było to chyba ostatnie miejsce na świecie, gdzie mogły się znajdować odpowiedzi na wszystkie pytania, które nie dawały mi spokoju i dręczyły mój umysł. Miałam pewność, że Ken i ja nie ruszymy się z miejsca dopóty, dopóki nie ukończę swojego zadania.

Herr Waltmann wrócił do czytelni po dwudziestu minutach. Przyniósł stertę pękatych teczek, starych i zniszczonych. Ale zamiast od razu położyć je na stole przed nami, jak oczekiwałam, zatrzymał się na moment obok.

- Jesteście pierwszymi osobami, które będą czytały te papiery. Nikt do nich nie zaglądał przez sto trzydzieści lat - oznajmił, autentycznie zachwycony. Po tych słowach z czcią położył zakurzone dokumenty na stole, a następnie odsunął się i wskazał je z dumą, dodając: - Należały do króla Prus i jego rodziny, to znaczy do Hohenzollernów, władców królestwa pruskiego, istniejącego, zanim powstały Niemcy.

- Czego one dotyczą? - spytałam, nieco onieśmielona wielkością tej sterty i świadoma, że jeśli chcę dotrzymać słowa danego Kenowi, na zapoznanie się z dokumentami mamy tylko cztery dni.

Od razu spostrzegłam, że papiery są zapisane przeważnie archaiczną i trudną niemczyzną, a pismo jest gęste i niełatwe do odcyfrowania. Lektura każdej strony wymagała wiele czasu, skoro w tych linijkach spodziewaliśmy się znaleźć wszelkie ewentualne wskazówki do rozwiązania mojej zagadki.

- Znajdziecie w tych teczkach informacje dotyczące życia księcia pruskiego Augusta - odpowiedział. Wypowiadając to zdanie, rzucił świat do moich stóp. Z dokumentów leżących na stole mógł przemówić do mnie mój prapradziadek, książę August. Ale czy znajdę w nich cokolwiek naprawdę dla mnie ważnego? Nikt do nich nie zaglądał przez ponad sto lat. Mój ojciec powiedział, że nie ma czego szukać, że nic się nie zachowało. Wyglądało jed-

nak na to, że w sprawie Augusta się pomylił. Czy pomylił się także w sprawie Emilie i naszych rodzinnych koneksji? Byłam zdecydowana dowiedzieć się tego.

- Dlaczego, do licha, przez sto trzydzieści lat nikt nie zaglądał do tych dokumentów? - zwróciłam się do Kena, z jakiegoś powodu oczekując, że potrafi mi odpowiedzieć na to pytanie, w jednej chwili prawidłowo wszystko zinterpretuje i rozwiąże zagadkę, gdyż zawsze wierzyłam w jego mądrość.

- Skąd mam to wiedzieć, Eve? - odpowiedział, zgodnie z tym, czego powinnam się spodziewać.

Herr Waltmann uprzejmie skinął głową i zostawił nas samych z teczkami. Z zapartym tchem, ostrożnie, sięgnęłam po te leżące na górze. Nie ulegało wątpliwości, że kartki papieru są bardzo stare. Niektóre były w tak złym stanie, wysuszone i pożółkłe, że mogły się rozkruszyć w palcach, czego się obawiałam. Podekscytowana zaczęłam w napięciu odwracać stronicę - i niemal w tej samej chwili odsunęłam się zaskoczona.

- Ken, to są dzienniki i notatki sporządzone ręką samego Augusta! - zawołałam, nie mogąc się opanować.

Miałam przed oczami tekst napisany charakterem pisma Augusta, takim samym, jaki widniał na początku notatnika Emilie. Zawierał liczne szczegółowe informacje na temat życia księcia.

Ken znał dziewiętnastowieczny niemiecki znacznie lepiej niż ja, ale ja wciąż mówiłam płynnie po niemiecku. Dzięki Bogu ojciec nalegał, abyśmy przez te wszystkie lata po przyjeździe do Anglii mówili w domu po niemiecku, toteż nigdy nie zapomniałam ojczystego języka. Mimo to w wypadku

drukowanego pisma gotyckiego - fraktury czy szwabachy, a zwłaszcza przy zindywidualizowanym piśmie odręcznym - czułam się bezpieczniej, gdy był przy mnie Ken. Czekałam niecierpliwie, żeby mi powiedział, co odkrył.

- Są bardzo skrupulatne - oznajmił z podziwem. - August opowiada o swoim życiu osobistym i o działaniach militarnych. - Odwrócił kolejne strony w stercie akt i dodał zachwycony: - Tu są listy, rachunki z jego pałaców i zapiski historyczne oraz wojskowe.

Byłam podekscytowana, widząc, że istnieją tak obszerne materiały, a mieliśmy otrzymać ich jeszcze więcej. Znaczyło to, że nie damy rady zapoznać się z nimi w ciągu kilku dni. Niestety, po tych wszystkich obietnicach, które złożyłam Kenowi, nie mogłam nawet myśleć o tym, żeby poprosić go o przedłużenie pobytu w NRD. To było wspaniałe osiągnięcie, że zaszliśmy tak daleko. Oglądałam akta, które spoczywały w ukryciu przez sto trzydzieści lat. Czy w końcu udowodnię, że mój ojciec się mylił? I jakie informacje na temat Augusta odnajdę? Czy ta wyprawa w głąb XIX wieku odsłoni jakieś fakty dotyczące mojej rodziny i przyniesie odpowiedź na pytanie, dlaczego Emilie, Charlotte i Augusta tak skutecznie wykreślono z przekazów historycznych? Wzięłam głęboki oddech, zapanowałam nad myślami i zaczęłam odwracać strony.

- Nie tylko dziennik, ale w ogóle większość tych dokumentów jest spisana odręcznym gotykiem - szepnęłam, nie chcąc przeszkadzać innym interesantom i obawiając się, że za głośne mówienie zostaniemy wyrzuceni z biblioteki, zanim zaczniemy poszukiwania. - Nie będzie łatwo.

- A zatem do roboty - odparł Ken, i zaczęliśmy czytać.

Mój prapradziadek - księżę pruski August

W miarę upływu czasu bardziej przywykliśmy zarówno do charakteru pisma księcia Augusta, jak i do staromodnego języka, zatem słowa wypełniające każdą stronę trafiały do nas coraz lepiej.

Przenieśliśmy się w czasy, kiedy Napoleon wyniósł siebie do godności cesarza Francji i króla Włoch.

Gdy segregowałam dokumenty, dostrzegłam ogrom tego, co mi się przydarzyło.

Księżę August był nie tylko moim krewnym i księciem z królewskiego rodu, arystokratą, który zakochał się w żydowskiej dziewczynie - choć to z tego powodu tu się znaleźliśmy - okazał się obrońcą królestwa Prus przed Napoleonem, gdy mały cesarz siał zniszczenie w Europie, pustosząc wszystkie tutejsze monarchie i zagrażając ich istnieniu. To było dla mnie zaskakujące odkrycie.

Monarchowie z rodu Hohenzollernów rządili pruskim imperium, całą grupą państw, z których ostatecznie powstały zjednoczone Niemcy. W tamtych czasach potężne imperia tworzyły Prusy, Austria, Anglia i Rosja. Wybuch wojny między nimi wydawał się stanowić naturalne i stałe zagrożenie. Miałam tyle informacji do przyswojenia i zrozumienia, że nie wiedziałam, od czego zacząć.

Co pewien czas któryś z pracowników archiwum częstował nas gorącą herbatą albo Ken lub ja szliśmy do toalety, ale poza tym nic nie odrywało nas od pracy. Tak pochłonęła nas lektura dokumentów historycznych, że nawet nie pomyśleliśmy o jedzeniu, dopóki wieczorem nie wróciliśmy do hotelu. Czuliśmy się zmęczeni i podekscytowani naszymi odkryciami i nie mogliśmy się doczekać, żeby z powrotem znaleźć się w archiwum i dowiedzieć się więcej.

Ten pierwszy dzień studiowania dokumentów niemal złał mi się z następnym, bo nie mogłam w nocy spać. Byłam tak przejęta, że z bólu pękała mi głowa. Kiedy rano znowu zjawiliśmy się w archiwum, szybko powróciłam do poznawania mężczyzny, który dwadzieścia pięć lat później miał zostać, jak uważałam, partnerem życiowym Emilie. Czy będzie dla niej kimś odpowiednim? - zastanawiałam się. Z pewnością był doskonałą partią. Wyobrażałam sobie, jak wyglądał. Miałam nadzieję, że odznaczał się fantazją i urodą mężczyzny z marzeń, i czułam się tak, jakbym to ja stanowiła obiekt jego zalotów, skądinąd absolutnie niezwykłych.

Papiery, które otrzymaliśmy, obejmowały okres w życiu księcia rozpoczynający się od wojen napoleońskich. Jak

się wydaje, rodzina sposobiła małego Augusta do sztuki wojennej i przywództwa politycznego. Przed dwudziestym pierwszym rokiem życia był już majorem. Za panowania Fryderyka II, jego stryja, Prusy stały się państwem, którego zaczęto się bać. Dobrze przygotowane do obrony, powiększone o ziemie oderwane siłą lub dzięki zabiegom dyplomatycznym od sąsiadów, dysponowały przewagą militarną nad wieloma innymi państwami, która zapewniała im wytchnienie od toczących się dookoła walk. Niestety, taka sytuacja nie trwała długo.

Mit rodzinny doprowadził mnie na trop tego potężnego księcia, który przed 1804 rokiem dowodził już batalionem grenadierów. Król Prus Fryderyk Wilhelm III musiał podjąć decyzję w sprawie postępowania z Napoleonem. Nie wiedząc, co począć z tak zdeterminowanym wrogiem, próbował stosować politykę ustępstw. Młody August natomiast nawoływał Prusaków do stawienia czoła Napoleonowi, zanim będzie za późno. W teczkach znajdowały się dokumenty z mnóstwem podpisów sławnych ludzi wspierających propozycję przedłożoną przez bratanka Fryderyka II królowi, żeby walczyć z Napoleonem, a nie ustępować mu. I nagle myślami znalazłam się w moim zagrożonym Berlinie. Kibicowałam Augustowi i niepokoiłam się o jego bezpieczeństwo. Jego dzieje pochłonęły mnie bez reszty. Francuzi stali się potęgą i w związku z tym August ogłosił wszem i wobec, że jeśli Prusacy nie uderzą na nich szybko, to wkrótce ta nowa potęga może ich obezwładnić. Nawet królowa, która była osobą wpływową, uważała, że ciągle bale i uroczystości urządzone na dworze pruskim powinny niezwłocznie

ustać. Stawką było przetrwanie państwa pruskiego i należało chwycić za broń.

- Spójrz na to - szepnęłam do Kena, podsuwając mu pod nos dokument, który wskazywał, że August i jego starszy brat Ludwik Ferdynand mieli dość ciągłego wahania się króla, z którym zamierzali się spotkać w Breslau (obecnie Wrocław), we wschodniej części królestwa Prus, w mieście, w którym się urodziłam! - Czy uwierzysz, że wręczają mu petycję, ultimatum, zmuszając go do podjęcia walki z Napoleonem?

Zastanawiałam się, ile Emilie wiedziała na temat tych wydarzeń, gdy poznała Augusta. Czy zniewoliły ją jego potęgą i odwagą, tak jak mnie teraz, gdy o tym wszystkim czytałam? Gdy się poznali, miał już za sobą długie i barwne życie, w którym był spełniony. W taki okres właśnie wkraczałam. Jak w związku z tym czuła się Emilie? Czy pochłonęło ją to wszystko tak samo jak mnie teraz? Czytając te wczesne dokumenty, miałam nadzieję, że znajdę jakąś wskazówkę dotyczącą przyszłości księcia, ale nie było w nich niczego, co mogłoby mi pomóc, ani też żadnej aluzji, która doprowadziłaby mnie do osoby, której poszukiwałam - Emilie Gottschalk.

Wciąż przebywałam w 1805 roku. Rosyjskiemu carowi w końcu udało się nakłonić króla Prus do przystąpienia do austriacko-rosyjskiego przymierza skierowanego przeciwko Francji, i w Prusach zarządzono mobilizację. Znajdowałam się na linii frontu, byłam świadkiem relacji z pierwszej ręki na temat ówczesnych wydarzeń, znanych mi z lekcji historii powszechnej, wydarzeń, które miały ukształtować sytuację Europy na następnych sto lat. Ten sojusz antyna-

poleoński został przypięczętowany uroczystym uściskiem dłoni nad grobem Fryderyka II. W końcu spełniło się *życzenie* księcia Augusta. Na następnych stronach dokumentów i kartach dziennika przenieśliśmy się na pola bitew, które wówczas rozgorzały. Nie było na nich śladu istnienia Emilie, lecz mimo to oszołomiła mnie żywa relacja księcia na temat wielkich historycznych wydarzeń, które rozwijały się na moich oczach.

Musiałam się przywracać do rzeczywistości, aby pamiętać, że dla mnie książę August jest nie tylko wielką postacią historyczną, lecz także przyszłym partnerem życiowym Emilie, mojej praprababki. Chciałam otrzymać więcej informacji na temat jego życia osobistego. Czy postępował honorowo? Czy był uwodzicielem, który zniewalał kobiety i łamał im serca? Na wiele pytań nie miałam odpowiedzi. Skoro to ktoś tak potężny, jak mógł tak po prostu zniknąć z kart historii, nie pozostawiając po sobie śladu? I co się stało z Charlotte, jego córką, jak uważaliśmy, że związku z Emilie? Mój ojciec i stryj Freddy byli tego pewni, że August spędził z Emilie w szczęśliwym związku jednaście ostatnich lat życia, ale gdzie znajdowały się na to dowody? Gdzie podziewały się dokumenty poświadczające ich związek?

Gdy czytałam o Ludwiku Ferdynandzie, wytwornym i słynnym z rozrzutności starszym bracie Augusta, obawiałam się najgorszego. Podążał na pole bitwy pod Saalfeld, żeby walczyć z Francuzami, na swym białym rumaku imieniem Slop. Miałam poczucie, że śledzę relację na bieżąco.

Ken zerknął na mnie, zaniepokojony moją miną.

- O co chodzi? - spytał, widząc, że zasłaniam usta dłonią.

Właśnie przeczytałam, że starszy brat Augusta został ugodzony w walce.

- Napoleon zabił Ludwika Ferdynanda! - zawołałam mimo woli i pozostali interesanci spojrzeli w moją stronę, a ktoś zaczął mnie uciszać.

- W którym roku? - spytał szeptem Ken.

- W 1806 - odpowiedziałam.

- Czyli - zaczął mój mąż, szybko obliczając w pamięci - August miał wtedy dwadzieścia siedem lat. Teraz Ken czytał i tłumaczył wraz ze mną, podekscytowany tak samo jak ja. Śmierć tak słynnego i czczonego żołnierza miała fatalny wpływ na morale pruskiej armii. Wydawała się groźną zapowiedzią tego, co jeszcze się wydarzy. Z relacji wynikało, że wszyscy żołnierze płakali, poruszeni tą śmiercią.

- Mój Boże! Przeprowadzili Słopa z siodłem zbroczonym krwią Ludwika Ferdynanda do Augusta - powiedział Ken. - Spójrz na ten fragment. August wygłasza porywającą mowę do żołnierzy, oznajmiając im, że los Prus spoczywa w jego, Augusta, rękach. Następnie wsiada na Słopa i rusza na pole bitwy, żeby pomścić śmierć brata. I zanim poprowadzi swoich żołnierzy do walki, porywa ich słowami: „Dziś mam do spełnienia także inny święty obowiązek, to znaczy muszę pomścić śmierć brata, który poległ w chwale za naszą umiłowaną ojczyznę! Grenadierzy i artylerzyści, przysięgnijcie mi, że zawsze będziecie za mną podążać, a ja ze swej strony zapewniam was, iż niezmiennie poprowadzę was tam, gdzie czeka honor i chwała!”.

Słuchając tłumaczonych mi przez Kena szeptem - aby nie przeszkadzać pozostałym czytelnikom - słów Augusta,

byłam po stronie księcia stojącego do walki z Napoleonem. Słyszałam w myślach okrzyki wiwatujących na jego cześć żołnierzy, u których została wyzwolona wierność dowódcy gotowego wraz z nimi narazić się na śmierć. Wyobrażałam sobie, jak oszalamiająco musiał wyglądać August w swoim czaku z pruskimi orłami i złotymi łańcuchami, które połyskiwały niczym wypolerowane guziki na jego ciemnoniebieskim mundurze. Cóż to był za budzący respekt widok, gdy trzymając nad głową błyszczącą szablę, książe mknął na pole bitwy na rumaku swego zabitego brata, niecierpliwiąc się, żeby dokonać zemsty i odnieść zwycięstwo.

Następnie pojawił się budzący przerażenie opis pola bitwy z całą jego grozą. Byłam świadkiem tego, jak August poprowadził natarcie wśród leżących wszędzie trupów, a w powietrzu unosił się dym i czuć było zapach prochu strzelniczego. Ten naprawdę waleczny żołnierz, mój przodek, gotów był umrzeć za Prusy; zmienił bieg historii. Czułam się z tego powodu dumna i głęboko poruszona.

Niestety, jeszcze nie było mu dane zwycięstwo. Pruską armią dowodził książe Brunszwiku-Bevern. Katastrofa nastąpiła, gdy kilka dni po śmierci Ludwika Ferdynanda książe ten został postrzelony w głowę w bitwie pod Jeną-Auerstedt, wskutek czego stracił wzrok i był nieprzytomny, a później zmarł na skutek odniesionych ran. Przyjechaliśmy z Kenem do Merseburga, żeby odnaleźć informacje na temat Emilie, i był to jedyny powód naszego tutaj pobytu. Ale teraz odnalazłam się w samym środku zaciętej wojny Prus z napoleońską Francją, wśród żołnierzy walczących wręcz, i mimo wszystko nie traciłam nadziei, że

mój prapradziadek pokona agresora, którego nieustępliwy atak na Prusy kosztował życie niezliczoną rzeszę żołnierzy. Król nie miał odpowiednich kwalifikacji, żeby przejąć dowództwo nad pruskim wojskiem, zatem dzielni pruscy generałowie walczyli sami tak długo, jak mogli, aż w końcu nie dali rady pokonać potęgi Francji i zostali pobici. August zdołał zmobilizować swych grenadierów do ostatniego natarcia, osłaniając tych, którzy się wycofywali, ale nie był w stanie nakłonić ich do powrotu na pole walki. Podjął wielką próbę, świadczącą o jego waleczności, lecz w tak trudnej sytuacji został w końcu pokonany w chaotycznej bitwie pod Prenzlau, toczonyj w błocie. Gdy wiadomość o klęsce dotarła do rodziny królewskiej, królowa natychmiast się spakowała i uciekła z Berlina, w ten sposób jeszcze bardziej podkopując wiarę Prusaków w siebie. Wyglądało na to, że pruskie imperium zbudowane przez Fryderyka II w końcu napotkało równego sobie rywala -napoleońską Francję.

Relacja Augusta była pasjonująca jak opowieść filmowa. Pomimo swojej zaciętości i determinacji został w końcu pojmany do niewoli. Miał wielkie szczęście, że nie poległ w walce. Zwycięzcy natychmiast pozbawili go Orderu Czarnego Orła i zegarka kieszonkowego, ale też zaraz mu je oddali, gdy tylko zdali sobie sprawę, z kim mają do czynienia. Kazali sobie jednak zapłacić za zwrot Słopa, który biegał oszalały ze strachu po bagnistym terenie, gdzie ostatecznie ugrzęźli grenadierzy z batalionu księcia.

Król wkrótce uciekł z kraju i wspaniały pałac Fryderyka Wielkiego, Charlottenburg w Berlinie, zajął Napoleon, wkroczywszy triumfalnie do miasta przez Bramę Branden-

burską. Księżę odmalował piórem żywy obraz ówczesnych zaciekłych i krwawych wojen, w których toczono walkę wręcz. Chcąc pomyślnie funkcjonować w tak okrutnym i przerażającym świecie, musiał być zarówno bardzo silny fizycznie, jak i odważny. Jego pojmanie okazało się wielkim sukcesem Napoleona.

I tak tego najcenniejszego jeńca wojennego, oblepionego błotem i rozczochranego, przyprowadzono przed oblicze Korsykanina. W jednym bucie, bo drugi ugrzął mu w bagnistym terenie, hardy księżę August stanął twarzą w twarz ze swym arcywrogiem, który czekał na niego w komnatach pałacu Fryderyka II. Zwycięzca i pokonany wyrównali rachunki. To musiał być niezwykle widok: wysoki Prusak stojący naprzeciwko małego Korsykanina. August uporczywie odmawiał odpowiedzi na zadawane mu pytania. Napoleon bez względu na to, co mógł sądzić na temat pruskiego księcia jako swego wroga, wyznał później, że był pod wielkim wrażeniem jego godności i niezłomnej wierności ojczyźnie okazanych w tym momencie klęski. Uświadomiwszy sobie, że księżę jest niezwykle popularny, francuski cesarz postanowił darować mu życie i umieścić go w areszcie domowym w Berlinie. Zdążył już złożyć wizytę rodzicom księcia w pałacu Bellevue, gdyż ojciec Augusta był znany z tego, że nadal zdecydowanie optował za sojuszem Francji z Prusami. Cesarz chciał zezwolić księciu na powrót na łono rodziny pod warunkiem, że ten będzie przestrzegał wprowadzonej specjalnie dla niego godziny policyjnej.

Augusta nie dało się jednak łatwo kontrolować; wykradł się w nocy ze swej siedziby, aby zgromadzić żołnierzy

i stworzyć armię. Gdy Napoleon dowiedział się o tym, kazał swoim oficerom wywlec go w Boże Narodzenie z łóżka i niepostrzeżenie pod osłoną nocy wywieźć z Prus do zamku w Nancy, we Francji, gdzie księżę miał pozostawać uwięziony. Zabrano wraz z nim jego wiernego sekretarza nazwiskiem Uhde i adiutanta Clausewitza. Przed wyjazdem August zażądał, aby poinformowano o całej sprawie jego matkę, w związku z czym obudzono ją w nocy, żeby zobaczyła przykrą dla niej scenę wyprowadzania syna z pałacu.

Napoleon oskarżył Augusta, że wraz z innymi pruskimi oficerami spiskuje przeciwko niemu, ale nadal gotów był darować mu życie. Później dowiedziałam się, jak wielkim szacunkiem cesarz Francuzów darzył tego upartego pruskiego żołnierza, który nie potrafił zbyt długo siedzieć cicho, gdy jego ukochany kraj znajdował się pod okupacją wrogich sił.

Zacząłam się zastanawiać, jak Ken i ja przebrniemy przez te wszystkie notatki i dokumenty, których sterty czekały na nas, gdy wychodziliśmy z archiwum tuż przed zamknięciem, ale nie chciałam pomiąć żadnej z gęsto zapisanych stron, żeby nie przeoczyć jakiegoś istotnego faktu czy wyznania. W końcu, gdy zaczęto rozważać możliwość zawarcia pokoju przez Francję i Prusy, Napoleon zezwolił Augustowi na prowadzenie życia towarzyskiego i do zamku w Nancy przybywały tłumnie młode damy, chcąc poznać równie jak one młodego księcia, przystojnego i pełnego energii. Nancy stało się miastem balów i przyjęć. Księżę przetańczył niejedną noc, ku niezadowoleniu swego przyjaciela i adiutanta, poważnego Clausewitza. Ale August był rów-

niez zainteresowany wspomaganie innych pruskich jeńców wojennych zgromadzonych w Nancy, których było tam pięć tysięcy i którzy nie cieszyli się takimi samymi jak on swobodami. Starał się zapewnić im wyżywienie i sprawiedliwe traktowanie, a zarazem w tajemnicy przygotowywał ich na chwilę, gdy będą mogli się przegrupować i ponownie utworzyć armię. Niestety, podejrzliwy cesarz przejrzał jego zamiary i rozkazał przenieść go do zamku w Soissons. Ale uwięzienie oznaczało dla księcia coś zupełnie innego niż dla zwykłego obywatela, toteż August i Clausewitz nadal mogli razem pracować i snuć plany zreformowania pruskiej armii po zawarciu pokoju przez Prusy i Francję. Po zwolnieniu z niewoli w 1807 roku, kiedy oba kraje podpisały w Paryżu traktat pokojowy, a August i Clausewitz czekali na zwrot paszportów, obaj otrzymali zaproszenie od madame de Stael, pisarki i osoby z towarzystwa. Zaprosiła ich do swego domu, do Chateau de Coppet, w neutralnej Szwajcarii, nad Jeziorem Genewskim, gdzie mieszkała po tym, jak Napoleon wygnał ją z Francji jako wielką buntowniczkę. W Chateau de Coppet August dał upust swoim namiętnościom. Poznał tam Juliette Recamier, jedną z ówczesnych francuskich piękności. Zakochał się w niej z wzajemnością i postanowili się pobrać. Napoleon także chciał zdobyć serce Juliette, ale go odtrąciła. Toteż teraz księżę stał się również jego konkurentem w miłości, co mogło pociągnąć za sobą fatalne konsekwencje.

Gdy później czytałam część listów, które pisali do siebie August i Juliette, odkryłam, że zmieniła ona zdanie i odeszła od niego. Ale jego miłość okazała się tak wielka, że był

tym zdruzgotany. Doznałam szoku, mogąc nagle poznać ludzką stronę wielkiego księcia wojownika i stwierdzić, że jest jak każdy inny człowiek bezbronny wobec bólu, jaki sprawia nieodwzajemniona miłość. Ciągłe się umawiał z Juliette, lecz ona nigdy nie zjawiała się na spotkaniu. Sądząc z odpowiedzi na jego listy, raczej zakończyła znajomość; nie odwzajemniała wielkiej namiętności Augusta. Z tego, co pisał książe, wynikało, że potrafił zakochać się bez pamięci. Stało się normą jego zachowania, że nikogo nie porzucał. Pamiętałam informację stryja Freddy'ego, że August był oddany Emilie przez ostatnich jedenaście lat swego życia.

Po powrocie do Berlina w 1808 roku książe awansował do stopnia generała brygady i głównego inspektora pruskiej artylerii. Z naruszeniem postanowień traktatu pokojowego zawartego przez Prusy i Francję obmyślił wraz z podległymi mu oficerami plan reorganizacji armii, dzięki powołaniu do niej i przeszkoleniu czterdziestu tysięcy rekrutów, a następnie odesłaniu ich do domu i powołaniu w tajemnicy następnych czterdziestu tysięcy. Wśród postanowień traktatu znajdował się bowiem zakaz powiększania armii pruskiej powyżej czterdziestu tysięcy żołnierzy. Miesiąc po miesiącu szkolono mężczyzn z obszaru imperium pruskiego, żeby byli przygotowani do wznowienia wojny. Ponadto August starannie studiował organizację i skład armii francuskiej, analizując tajemnice odnoszonych przez nią sukcesów militarnych, i zastosował te same zasady w wojsku pruskim. Pod nosem nieświadomych niczego Francuzów powstawała groźna nowoczesna armia.

Gdy w 1812 roku Napoleon na skutek błędnej decyzji dokonał inwazji na Rosję i musiał się stamtąd wycofać z powodu ostrej zimy oraz oporu armii rosyjskiej, w trakcie odwrotu stracił wielu żołnierzy, którzy utonęli podczas przepraw przez lodowate strumienie. August pisał o cesarzu Francuzów jako o „tym małym Korsykaninie”; było oczywiste, że pałali do siebie nienawiścią. W 1813 roku jako dowódca pruskiej artylerii stawiał czoło wycofującemu się z Rosji Napoleonowi na przedmieściach Lipska. Samodzielnie dowodząc armią, rozgromił Francuzów, dzięki czemu w tej kolejnej wojnie z Napoleonem nastąpił punkt zwrotny. Odczuwałam wielką dumę, czytając, że August jako jeden z pierwszych Prusaków otrzymał za waleczność i heroizm Krzyż Żelazny.

Zwycięzcy w tej wojnie: car rosyjski, cesarz austriacki i król pruski, nagrodzili Augusta za jego dokonania największym zdobytym wówczas francuskim działem, znanym jako *Le Drôle*. To było osobiste wyróżnienie i znak ich wdzięczności oraz podziwu dla księcia. Uradowany August przetransportował działo do Berlina, gdzie umieszczono je w zaszczytnym miejscu przed jego pałacem Bellevue. Stało tam ono przez sto trzydzieści dwa lata. Później Ken i ja dowiedzieliśmy się, będąc gośćmi rządu Niemiec i prywatnie zwiedzając pałac Bellevue, że pod koniec drugiej wojny światowej do Berlina przybył ciężarówką generał de Gaulle i zabrał działo do Paryża, gdzie od tamtego czasu się ono znajduje.

Oczywiście klęska pod Lipskiem nie oznaczała jeszcze końca Napoleona. Wciąż nie chciał się poddać, wycofując się do Francji, żeby znowu przegrupować siły. Wówczas

król pruski mianował Augusta swoim dowódcą we Francji i rozkazał mu dokonać napaści na ten kraj i pojmać Napoleona. W krwawych walkach wręcz żołnierze Augusta zdobyli wszystkie francuskie miasta-twierdze, a wtedy armia Napoleona, wyczerpana na skutek nieustępliwych szturmów Prusaków, wezwała księcia do zawarcia rozejmu.

Przez cały dzień *Herr Waltmann* przychodził do nas, sprawdzając, jak idzie nam praca, i za każdym razem z dumą przynosił nową stertę papierów. Uważałam, że muszę dobrze poznać człowieka, którego przeznaczeniem było spotkać Emilie i zakochać się w niej. Mój ojciec zdumiałby się, gdyby się dowiedział, że jego córka, której jako młodej dziewczynie powierzył notatnik księcia i towarzyszącą tym zapiskom opowieść rodzinną, przedziera się teraz przez mnóstwo dokumentów historycznych. Ale czy będzie mi kiedykolwiek dane dowiedzieć się czegoś o samej Emilie? - zastanawiałam się. Pod koniec dnia czuliśmy się z Kenem tak, jakby August przedstawił nas każdemu z członków swej znakomitej rodziny, wciąż jednak nie znaleźliśmy ani jednej wzmianki na temat Emilie czy kogokolwiek o nazwisku Gottschalk. Przeczytałam o dwóch morganatycznych małżeństwach księcia, najpierw z Friederike, z którą się rozwiódł, a następnie z Augustę, ale nic więcej poza notą, że ta ostatnia zmarła w 1833 roku, co znaczyło, że książę owdowiał wkrótce po tym, jak poznał Emilie. Znaleźliśmy też wzmiankę o Edwardzie, synu Augusta i jego pierwszej żony. Minęło więc dziesięć lat od śmierci drugiej żony księcia, która zmarła we Włoszech na raka, do zawarcia przez Augusta związku małżeńskiego z Emilie, na rok przed śmiercią jego samego. Stanowiło to potwierdzenie opowieści przekazy-

wanej z ust do ust w naszej rodzinie. Ale skoro ta opowieść była prawdziwa, to dlaczego nigdzie nie zostało odnotowane istnienie Emilie i jej córki Charlotte?

Gdy w końcu podnieśliśmy wzrok znad dokumentów, okazało się, że zostaliśmy w czytelni sami. Byliśmy tak pochłonięci lekturą opowieści o księciu Auguście, że nawet nie zauważyliśmy, jak inni interesanci stąd wyszli. Niechętnie oderwaliśmy oczy od dokumentów dotyczących rodziny Hohenzollernów i udaliśmy się w ponure okolice hotelu, w którym mieszkaliśmy. Mieliśmy za sobą fascynujący dzień w archiwum zamku, ale uświadomiliśmy sobie, że nie zbliżyliśmy się ani o krok do poznania postaci Emilie. Na szczęście był jeszcze następny dzień.

Victor, nasz zaprzyjaźniony młody kelner z jadalni hotelowej, niecierpliwie czekał na rozmowę z nami, kiedy rano zeszliśmy tam na śniadanie.

- Ja naprawdę chcę podróżować - szepnął, obsługując nas, i nerwowo rozejrzał się po sali. - Na urlop wolno nam wyjechać tylko na kilka tygodni nad Morze Czarne, a ja chcę się dostać na Zachód.

- Posłuchaj, Victor - zaczęłam, nie chcąc gasić jego entuzjazmu, ale postanawiając zmienić temat, zanim poprosi nas o przesmuglowanie go na Zachód czy o coś innego, co wpędzi nas w kłopoty w relacjach z tutejszymi władzami, i to teraz, gdy jakoś zdołaliśmy sprawić, że rozpatrzyły naszą prośbę przychylnie. - Bardzo mi smakuje tutejsze salami. Czy mógłbyś wystarać się dla mnie o tę kiełbasę, żebym mogła ją zabrać do Anglii?

- Ależ oczywiście! - potwierdził i uśmiechnął się szeroko, zadowolony, że może zrobić coś, co sprawi nam przyjemność. - Jutro przyniosę.

- Victor! - rozległ się w cichej jadalni głos dyrektora hotelu i nasz kelner oddalił się w poczuciu winy. Nie rozmawiał już z nami, a nawet na nas nie patrzył, gdy jedliśmy śniadanie i rozmawialiśmy o wszystkim, co poprzedniego dnia odkryliśmy w archiwum. Teraz Ken miał taką samą jak ja obsesję na punkcie losów Augusta, Emilie i Charlotte. Rozważaliśmy różne możliwe scenariusze, spośród których żaden nie wydawał się pasować do kilku faktów, które dotychczas poznaliśmy.

Gdy tylko zjedliśmy śniadanie, Victor zaczął sprzątać ze stołu, wciąż dyskretnie odwracając od nas wzrok. Pojechaliśmy do archiwum, gdzie już czekał na nas *Herr* Waltmann, który z zadowoleniem trzymał naręcze przeznaczonych dla nas teczek. Wydawało się, że teraz bardziej niż kiedykolwiek wcześniej zależy mu na odnalezieniu przez nas tego, czego szukaliśmy, i jest całą sprawą podekscytowany. Po dwóch dniach ustaliliśmy z nim sposób pracy i szybko zabraliśmy się do lektury. Kilka minut później wzięłam do ręki skrawek papieru, który nie wyglądał na nic szczególnego. Wpatrywałam się w niego przez chwilę, starając się ustalić, co to jest. Gdy nieoczekiwanie spostrzegłam interesujące nas nazwisko, serce zabiło mi mocniej.

- Gottschalk! - krzyknęłam, aż Ken się wzdrygnął, a inni czytelnicy spojrzeli na mnie z dezaprobatą. - Znalazłam nazwisko. To jest rachunek od krawca szyjącego dla księcia Augusta, a krawiec ten nazywa się Gottschalk. Musi istnieć jakiś związek między tym Gottschalkiem a Emilie. Jest tu nawet próbka czerwonego aksamitu, który ów Gottschalk zaproponował jako tkaninę odpowiednią na płaszcz dla Friederike, pierwszej żony Augusta, i rzeczywiście go z niej uszył. Mój ojciec powiedział, że ojciec Emilie był krawcem.

Pogładziłam miękki aksamit, który od stu pięćdziesięciu lat leżał wśród tych papierów, a wciąż wyglądał jak nowy, i starałam się wyobrazić sobie uszytą z niego suknię. Na portrecie pokazanym mi kiedyś przez stryja Freddy'ego Emilie ma na sobie piękną czerwoną suknię, choć nie sposób określić tkaniny, z jakiej ta suknia została uszyta. Czyż-

by również ta suknia wyszła spod igły krawca Gottschalka? Skoro płaszcz został uszyty dla pierwszej żony Augusta, znaczyło to, że księżę znał Gottschalka, gdy Emilie była małą dziewczynką, a może nawet przed jej urodzeniem. Ta myśl rodziła więcej pytań niż odpowiedzi.

- August miał więc żydowskiego krawca - stwierdził Ken. Wyjął mi z ręki delikatny papier i uważnie czytał, co jest na nim napisane.

- Znaleźliśmy rodzinę Gottschalków, ale gdzie jest Emilie? - zwróciłam się do niego.

- Przynajmniej wiemy tyle, że prawdopodobnie jej ojciec był krawcem Augusta - odparł Ken. - Albo też musiała być z tym krawcem spokrewniona. Mogła być jego siostrzenicą lub bratanicą czy też siostrą. Dowiedzenie się tego, kim był członek jej rodziny, to ogromny krok naprzód. Wszystko to zaczyna nabierać sensu.

- Tak bardzo chcę znaleźć zapisane gdzieś jej nazwisko - powiedziałam z westchnieniem. - Dlaczego nie ma go tu? Chcę zobaczyć nazwisko jej i nazwisko Augusta napisane atramentem jedno obok drugiego, aby się upewnić, że istotnie stanowili związek. Chcę też ustalić, z jakiego powodu ich córka Charlotte powiedziała mojemu ojcu i stryjowi Freddy'emu, że gdy miała pięć lat, jej życie nagle się zmieniło.

Podtrzymani na duchu przez to odkrycie powróciliśmy do naszej ciężkiej pracy z jeszcze większym niż dotychczas entuzjazmem, drobiazgowo studiując życie Augusta. Analizowaliśmy rachunki, które płacił za utrzymanie pałacu Bellevue, pałacu w Przelewicach (dawniej Prillwitz) i w Berlinie przy Wilhelmstrasse 65, dzięki czemu dowiedzieliśmy się,

jak te rezydencje były zarządzane. Nie zaskoczyło nas, że August miał liczny dwór. Poza majordomusem zatrudniał trzech adiutantów i dwóch sekretarzy, dwóch lokajów i lekarza osobistego, a ponadto dwóch kucharzy, kamerdynera i cukiernika, służących odpowiedzialnych wyłącznie za czyszczenie sreber i tych opiekujących się innymi cennymi obiektami - oraz odpowiednią liczbę pacholków, woźniców, pomywaczki i praczki, zarządców, pokojówki, członków eskorty, chłopców stajennych, kuchcików i ogrodników w każdym z pałaców. Listy zatrudnionych osób i posiadanych rzeczy wydawały się nie mieć końca.

Niekończące się szczegółowe spisy inwentarza świadczyły o wielkim bogactwie księcia i o tym, jak wystawne wydawał uczyty dla członków ówczesnych europejskich rodów królewskich i arystokratycznych. Odkryłam nawet niezwykle notę informującą o sprzeczce, jaką August miał ze swoim francuskim szefem kuchni, niejakim La Notte, w sprawie liczby bażantów wymaganych na jakiś szczególny obiad. Otóż La Notte dał księciu jasno do zrozumienia, nie pozostawiając mu co do tego żadnych złudzeń, że w tak krótkim czasie nie zdoła przyrządzić takiej liczby ptactwa. Wydawało się, że August po raz pierwszy trafił na godnego siebie przeciwnika i że swoje przyjemności traktował bardzo poważnie, w tym właśnie ucztowanie. Nie pojmowałam, jak ktoś, kogo każdy krok został opisany i zarchiwizowany, mógł całkowicie zniknąć z opracowań historycznych i dlatego wszystkie te materiały archiwalne od tak dawna spoczywały w ukryciu.

Księżę był również wielkim mecenasem sztuki; Ken i ja natknęliśmy się w papierach na informacje dotyczące słyn-

nego architekta i projektanta Karla Schinkla, kiedy August z myślą o swojej wygodzie zlecił mu przebudowę i powiększenie pałacu przy Wilhelmstrasse 65. Opisy i rysunki nie pozostawiały żadnych wątpliwości co do tego, jak wspaniały był to pałac: dwupiętrowy, o dziewiętnastu oknach na każdej kondygnacji i tak długi, że zdominował duży plac do połowy ulicy. Podjazd z ogrodzeniem z kutego żelaza prowadził do wyższej środkowej części, a dwa wysokie sklepione przejścia w skrzydłach bocznych kierowały na dziedzińce zamknięte przez mniejsze skrzydła z pomieszczeniami dla służby, z kuchniami i stajniami. Między skrzydłami znajdował się wspaniały ogród.

W materiałach, przez które się przedzieraliśmy, znajdowały się opisy lub rysunki wszystkich detali tej budowli oraz jej wystroju, podobnie jak innych pałaców. Biorąc pod uwagę fakt, jak skąpe okazały się informacje na temat księcia, na początku moich poszukiwań, teraz czułam się pochłonięta przez wydarzenia z jego życia i w pełni poznawałam ich koloryt. Byłam jak odurzona, pracując w szalonym tempie i starając się przeczytać i zrozumieć wszystko, co kładziono przede mną na stole, żebym mogła z całej masy nieważnych szczegółów wyłowić cenne dla mnie informacje, które powiększyłyby wiedzę na temat życia księcia z moją praprababką. Było tak, jakby wszystko, co charakteryzowało Augusta, zaczynało zapadać mi w duszę, niemal jakbym się w nim zakochała, w jego wielkopańskich przesadnych gestach, które łączyły się ze starannym planowaniem każdego drobiazgu.

August dysponował taką potęgą i bogactwem, co zawsze stanowi mieszankę wybuchową, że dzięki temu miał

władzę, która z pewnością czasami budziła lęk króla. Oczywiście władza królewska była władzą absolutną, ale człowiek taki jak August, o tak cenionych dokonaniach wojennych, mógł sprawić kłopot każdemu.

Z dokumentów wynikało, że książę był także wielkim miłośnikiem malarstwa i rzeźby. Kunsztownie ozdobiona sala balowa w pałacu przy Wilhelmstrasse 65 stanowiła świadectwo jego wysokiej pozycji w europejskich wyższych sferach. Trudno sobie wyobrazić wspanialszą w tym czasie salę balową.

I wtedy, kiedy najmniej się tego spodziewałam, wszystko, na co miałam nadzieję, wszystko, co sobie wyobrażałam, stało się możliwe! Gdy zagłębiałam się w lekturze dzienników Augusta śledziłam jego gorączkową aktywność, rachunki i wydatki przeznaczane na utrzymanie dworu, niespodziewanie nadszedł *Herr* Waltmann i położył przede mną na stole kolejną grubą teczkę, na której widok aż się wzdrygnęłam. Nigdy nie zapomnę, co poczułam, gdy zdałam sobie sprawę, co to jest.

Na pierwszy rzut oka teczka wyglądała tak samo jak wiele innych, przez których zawartość już się przedarliśmy, wypełniona dokumentami, ale gdy zajrzałam do środka, serce mi mocniej zabiło.

- Nie wierzę własnym oczom! - zawołałam.

- Co to jest? - spytał Ken zaskoczony moim okrzykiem.

- To Emilie. To musi być ona. Och, niech to będzie ona. Widniejąca tu informacja głosi: „Książę pruski August i jego życie z Emilie von Ostrowską”. Ta kobieta nie nazywa się zatem Gottschalk i nie jest córką krawca. To von Ostrowska. Arystokratka.

Odnalezienie Emilie

Czułam narastające napięcie i przyływ emocji. Na zewnętrznej stronie okładki z numerem spostrzegłam jakieś oznakowanie. Nazwiska znajdowały się w środku, obok siebie, nareszcie w tym samym zdaniu, o czym od tak dawna marzyłam. Ken wziął mnie za rękę, zobaczywszy, że jestem zbита z tropu, i zerknął do teczki. Spoglądał na tekst sprzed ponad stu lat.

- Evi, to musi być twoja Emilie - oznajmił. - Księżę August zmarł w 1843 roku, a twój ojciec powiedział, że spędziła z nim jedenaście ostatnich lat jego życia. Tu jest dowód. To wszystko, czego potrzebowałam. - Przesunął palcem po datach: „1832-1843”, które widniały pod nazwiskami. Poczułam ulgę, ale wciąż nie rozumiałam, dlaczego przy Emilie widniało nazwisko von Ostrowska, a nie Gottschalk. Nagle przyszła mi do głowy pewna myśl.

- Czy to jest nowe nazwisko, które nadał jej król, kiedy wyszła za mąż za Augusta? Była przecież Żydówką. Musiała zmienić nazwisko, żeby zostać zaakceptowaną przez wyższe sfery - powiedziałam. Ken milczał, najwyraźniej zbity z tropu tak samo jak ja.

Słyszałam w myślach głos ojca. Miałam pewność, że dzięki mnie doświadczyłby wszystkich tych emocji, które przeżywałam teraz. Choć nie chciał, żebym prowadziła poszukiwania, to bez wątpienia byłby uszczęśliwiony moim odkryciem i dumny ze swej córki oraz z tego, co osiągnęła.

- Znalazłam ją - powiedziałam do Kena. - Naprawdę znalazłam moją Emilie. Jestem tym tak podekscytowana.

Chciałam na chwilę zapomnieć o tym, jak zagmatwało mi obraz inne nazwisko Emilie, i nieco dłużej rozkoszować się swoim odkryciem. Chciałam krzyczeć z radości na cały świat. Wszystko, co głosiła rodzinna opowieść, było prawdą. Emilie rzeczywiście istniała. Ale czy na podstawie zawartości tej teczki poznam całą historię? - zastanawiałam się. Szczerze w to wierzyłam. Odwróciłam następną stronę i w końcu spotkałam swoją praprababkę. Ulegając nastrojowi chwili, wyjęłam z torebki notatnik i otworzyłam go na stronie, na której August napisał słowa: „piękna właścicielka tego kajetu jest mi droższa nad życie - August, twój protektor”.

W ciągu ostatnich kilku dni dobrze poznałam charakter pisma księcia, poszukując w teczkach interesujących mnie informacji. Teraz w końcu miałam znaleźć wszystko, czego szukałam od tak dawna, i rozwiązać wszelkie zagadki. Trochę się bałam odwrócić kolejną stronę, aby nie stwierdzić,

że jakieś kluczowe dokumenty usunięto lub ocenzurowano, ale po chwili otworzyłam teczkę. Ken zaglądał do niej, stojąc z tyłu i pochylając się nade mną. Słyszałam bicie własnego serca.

„*Frau von Ostrowska*” - napisał August na dwóch różnych teczkach.

- Ken - powiedziała i podekscytowana wzięłam go za rękę. - To jest dowód, że ożenił się z Emilie. Spójrz na to.

Czytając, próbowałam sobie wyobrazić opisywaną scenę i przenieść się w czasie. Wiedziałam, jak silny był w państwie pruskim antysemityzm, łatwo więc mogłam sobie uzmysłwić, jaką degradację oznaczał dla króla fakt, że jeden z jego bliskich krewnych zadawał się z dziewczyną z ludu, córką krawca, która w dodatku była Żydówką. Wyglądało na to, że Emilie otrzymała tytuł szlachecki w celu ukrycia jej pochodzenia. Co August musiał zrobić, żeby przekonać króla do takiego ustępstwa? Wiedzieliśmy z papierów, które dotyczyły polityki króla, że zdecydowanie korzystał on z rad księcia von Sayn-Wittgensteina, jego prawej ręki i człowieka wywierającego wielki wpływ na wszelkie decyzje podejmowane na dworze królewskim. Wittgenstein słynął ze swych antysemitycznych poglądów, jak dowiedziałam się później, i niemal na pewno był przeciwny małżeństwu. Czyżby król nagrodził w ten sposób Augusta za jego mężną walkę i za pokonanie Napoleona? Nagle przypomniałam sobie moją matkę, która tamtego ranka 1940 roku powiedziała mi w naszej kuchni, że August ożenił się z Emilie bez pozwolenia króla. Czy dlatego, że był taki niepokonany i dominujący, że nawet król nie miał nad nim władzy?

Już wcześniej odkryliśmy, że August jawnie wspomagał Żydów, zanim jeszcze poznał Emilie Gottschalk. Na podstawie jego wcześniejszych papierów poznaliśmy historię żydowskiego żołnierza Meno Burga, który z powodu swej religii nie mógł służyć w żadnym innym pułku poza tym pozostającym pod dowództwem księcia. Odmowę przyjęcia go argumentowano tym, że nie chciał złożyć przysięgi na Biblię, ale w rzeczywistości powodem był antysemityzm. Postawa Augusta stanowiła dla nas prawdziwą rewelację, dobrze odzwierciedlała jego charakter i poczucie sprawiedliwości. Wydaje się, że stanowił dla Żydów światło przewodnie, przeciwstawiając się antysemityzmowi w czasie, kiedy Żydzi nie byli mile widziani w armii. Zdecydowanie chciał mieć tego człowieka w artylerii, wiedząc, że to bardzo dobry oficer. Kazał mu więc złożyć przysięgę na lufę karabinu, w obecności rabina trzymającego w rękach Torę. W wyznaniu, które odkryłam, August ujawnia, jak bardzo nie znosi przesądów. Później poprosił króla o wyrażenie zgody na awansowanie Burga, jako jednego z pierwszych Żydów w armii pruskiej, do stopnia majora. Ostatecznie August wypromował go na stanowisko dyrektora Akademii Wojskowej w Berlinie. Sam król się temu sprzeciwił, zgodnie z generalnie antysemickim nastawieniem dominującym w tym czasie w Prusach, ale August ze względu na odniesione zwycięstwa miał jednak mocną pozycję, i monarcha czuł się zmuszony mu ustąpić.

- Wygląda na to, że do tego czasu August przysporzył sobie wrogów na dworze królewskim - stwierdził Ken, przeczytawszy tę historię. - Może dlatego król rozkazał, żeby po śmierci księcia wszystkie jego papiery znalazły się

pod kluczem, i nalegał na wymazanie imienia tego arystokraty z opracowań historycznych? W tym czasie najbardziej zaufanym doradcą króla był przecież książę Wittgenstein, który w panującej wówczas w Prusach antysemitycznej atmosferze nigdy nie faworyzowałby Żyda. Musiał nienawidzić Burga i nie aprobować Augusta w roli jego obrońcy.

Dla tej rangi członka rodziny królewskiej co August jeszcze większe ryzyko łączyło się z podtrzymywaniem jawnego związku z żydowską dziewczyną. Ale z tego, co dotychczas przeczytaliśmy na jego temat, wynikało, że w swoich wyborach zawsze kierował się tym, czego chciał.

- August nie należał do osób, które musiały prosić króla o przychyłność dla Meno Burga - ciągnął Ken. - Poza tym miał silną pozycję ze względu na swą popularność wśród żołnierzy i sukcesy odniesione w wojnie z Napoleonem. Mimo to napotkał duże trudności, jeśli chodzi o przekonanie króla do słuszności awansowania Meno Burga. Dlatego wydaje się niewiarygodne, żeby zdołał go nakłonić do nobilitacji córki skromnego żydowskiego krawca.

W swoich spekulacjach ciągle kręciliśmy się w kółko. W końcu otworzyłam teczkę i zaczęłam czytać znajdujące się w niej papiery. Przez chwilę nie mogłam zrozumieć tekstu, bo opowiadał zupełnie inną historię niż ta, którą ułożyliśmy sobie w naszych głowach od czasu, kiedy odkryliśmy, że krawiec Augusta nazywał się Gottschalk.

Wszystko, co dotyczyło Emilie, nadal spowijała tajemnica. Okazało się, że nazwisko Ostrowska nie zostało jej nadane wraz z tytułem, lecz było nazwiskiem rodowym. Jak to możliwe? - zastanawiałam się. Czytałam dalej,

chcąc się tego dowiedzieć. Jak się wydawało, ojciec Emilie nie był żadnym żydowskim krawcem i nie nazywał się Gottschalk. Z akt wynikało bowiem, że chodzi o majora Adama von Ostrowskiego, ustosunkowanego polskiego arystokratę. Ten wysoki rangą wojskowy, który wcześniej służył w pułku księcia von Oriena, był jednym z zaufanych ludzi króla. Jego syn Hermann, brat Emilie, również okazał się wysokiej rangi oficerem w armii królewskiej.

Skoro powiedziano mi kiedyś, że Emilie pochodziła ze skromnej żydowskiej rodziny, poczyniliśmy z Kenem wiele założeń, które, jak się teraz zorientowaliśmy, były całkowicie błędne. Ostrowscy należeli do rodzin wpływowych i liczących się, dlaczego więc Hohenzollernowie uczynili z życia Emilie tajemnicę? Dlaczego niemal bez śladu usunęli ją z kart historii? Teraz wszystkie nasze teorie, że stało się to z powodu antysemityzmu, wydawały się całkowicie błędne. Musiało się wydarzyć coś, co sprawiło, że skazano ją na zapomnienie.

Matka von Ostrowskiej, jak się później dowiedzieliśmy, umarła, gdy Emilie była małą dziewczynką, w związku z czym prawdopodobnie późniejszą wybrankę serca Augusta łączyła bliższa więź z ojcem niż większość dziewczynek z jej klasy społecznej. Król mógł osobiście znać małą Emilie. Ale nie tylko jej ojciec był polskim majorem w królewskiej armii Prus, lecz także, jak wspomniałam, brat Hermann okazał się wysoko odznaczonym oficerem tej armii. Gdybyśmy tego nie odkryli, moglibyśmy być przekonani, że Emilie przyjęła nowe nazwisko, aby ukryć swoje żydowskie pochodzenie. Teraz jednak wiedzieliśmy, że nie była córką skromnego żydowskiego krawca, lecz pochodziła

z bardzo dystyngowanej polskiej rodziny. Zastanawiało więc nas, jak do tego doszło, że rzeczywiste pochodzenie Emilie zostało tak starannie ukryte. I jak to się stało, że Charlotte, córka Augusta i Emilie, zaczęła nosić nazwisko Gottschalk, skoro żadne z nich nie miało nic wspólnego z tą żydowską rodziną? Oczywiście istniał związek między Augustem i Isadorem Gottschalkiem, skoro ten, jak wiedzieliśmy, był krawcem księcia. Mieliśmy na to dowód w postaci owego kawałka kosztownego aksamitu i rachunku przedłożonego księciu przez Gottschalka. Mój ojciec i stryj Freddy ani przez moment nie wątpili, że ojciec Emilie był żydowskim krawcem, bo od nich to wiedziałam. Ta nowa informacja świadczyła jednak o tym, że się mylili. I tak pojawiła się przede mną jeszcze większa zagadka do rozwiązania. Zdawałam sobie sprawę z tego, że od chwili przybycia do archiwum w Merseburgu ani o krok nie zbliżyłam się do jej rozwiązania.

- A więc Emilie nie była w najmniejszym stopniu Żydówką - stwierdził Ken, gdy po cichu opowiedziałam mu o tym, co przeczytałam. - Znaczy to, że również nie była nią Charlotte. Oboje myśleliśmy o tym samym, bo znaczyło to ponadto, że córka Charlotte, czyli moja babcia Anna, też nie była Żydówką, a niemal na pewno jako Żydówka zginęła z rąk nazistów.

- Nie była - zgodziłam się z Kenem, starając się podobnie jak on złożyć te wszystkie fragmenty informacji w całość.

- Mimo to naziści doprowadzili do śmierci Anny - Ken powiedział głośno to, o czym pomyślałam. - A skoro tak,

to uśmiercili potomkinię w linii prostej pruskiej rodziny królewskiej, rodziny o znaczeniu historycznym, którą Hitler darzył największym szacunkiem. Twierdził przecież, że wzoruje się na Fryderyku II. Kiedy popełniał w swoim bunkrze samobójstwo, wisiał tam portret tego monarchy. Dlaczego więc wyżsi dowódcy nazistowscy dopuścili do tego, żeby Anna zginęła? Jak mogło dojść do takiej tragedii? Dlaczego, żeby uratować życie, nie powiedziała nazistom, kim jest?

- Bo naziści uważali, podobnie jak ona sama, że jest z pochodzenia Gottschalk - powiedziałam na to, myśląc głośno. - Tak, jak dotychczas i my uważaliśmy. Sądzieli, że Anna to Żydówka, a ona była przekonana, podobnie jak mój ojciec, że nie ma dowodów na jej pruskie pochodzenie. Anna przez cały czas mogła żyć w przekonaniu, że jej babka była Żydówką Gottschalk, zanim została żoną księcia Augusta.

Zaczęły mi drżeć dłonie i stary papier nieco szeleścił w moich palcach. Dlaczego mój ojciec i wszyscy przed nim twierdzili, że Emilie była znana jako z domu Gottschalk? I gdzie w całej tej historii znajdowało się miejsce dla Charlotte, córki Emilie? Stanowiła teraz brakujące ogniwo między Emilie i Anną, była córką tej pierwszej i matką drugiej. Co się stało, że doszło do tej strasznej sytuacji, z powodu której, prawdopodobnie, moja babcia zginęła w tragicznych okolicznościach - a przecież wszystko mogło się potoczyć inaczej?

Wyjście na bal

Znowu kręciliśmy się w kółko, nie mogąc znaleźć odpowiedzi na nasze pytania, ale chwilowo odłożyliśmy na bok wszelkie spekulacje i czytaliśmy dokumenty, zdając sobie sprawę z tego, jak mało mamy czasu. Byłam podekscytowana odkryciem, że w rzeczywistości moją praprababką była Emilie von Ostrowska, i w archiwum w Merseburgu błyskawicznie przeniosłam się w czasy, kiedy rozpoczął się jej niezwykle romans z Augustem.

W ówczesnym Berlinie musiało krążyć mnóstwo opowieści o wydawanych przez Augusta balach. I zapewne dużo plotkowano o zapraszanych przez księcia na te bale córkach oficerów i ładnych młodych berliniankach. To August wprowadził na tamtejsze sale balowe walca i zapraszał publiczność do oglądania tańca na parkiecie. La Notte, je-

go słynny szef kuchni, przygotowywał na takie okazje doskonały bufet.

Wyobrażałam sobie tam siebie. Był rok 1832, a ja znajdowałam się we wspaniałej sali balowej pałacu Augusta, na jednym z największych balów, jakie wydał. Przybyłam tam w chwili, gdy się już poznali, do owego ośrodka berlińskiego życia towarzyskiego, bajkowego pałacu księcia przy Wilhelmstrasse, zaprojektowanego przez Karla Schinkla, słynnego architekta i malarza. Tam poznałam młodą *Fraulein* Ostrowską.

To mogła być pierwsza sytuacja towarzyska w życiu wyższych sfer, w której uczestniczyła Emilie. Jak dowiedzieliśmy się z lektury obszernego opisu przygotowań do tego balu, poczynionych na dworze Augusta, chodziło o olśniewające wydarzenie. Reprezentacyjną klatkę schodową zdobiła bogata dekoracja kwiatowa, a w ogromnych oknach sali balowej rolety z białego jedwabiu były opuszczone. Salę tę oświetlały świece umieszczone w trzech kryształowych żyrandolach, których światło odbijało się w lustrzanych ścianach przedzielonych filarami z lazurytu. Pod ścianami stały sofy o karmazynowym obiciu, a otwarte podwójne mahoniowe drzwi ukazywały widok wielkiej jadalni, gdzie armia służących kończyła nakrywać okrągłe stoliki, przy których później goście mieli zjeść kolację. Biel stolików i krzeseł podkreślała fiolet ścian. Stoły i niskie kredensy stały również w przyległych komnatach, żeby dla nikogo nie zabrakło miejsca, zastawione srebrami należącymi do rodziny królewskiej i tymi, które stanowiły własność Augusta. W Pokoju Błękitnym ściany pokrywał połyskujący niebieski jedwab w złote gwiazdki, a sofy i krzesła mia-

ły tu obicia z białego jedwabiu. Z kolei ściany sali recepcyjnej zdoił karmazynowy adamaszek, a w oknach widniały ciężkie białe zasłony.

Wyobraziłam sobie tłumy gości przechodzących z pokoju do pokoju i sączących alkohole z misternie zdobionych kieliszków. W jednej z komnat wisiał portret naturalnej wielkości ukazujący damę, o której już czytaliśmy, słynną piękność Juliette Recamier, jedną z nielicznych kobiet darzonych przez księcia uczuciem przez wiele lat, choć odrzuciła jego zaloty. Na widok portretu większość osób z tego wytwornego towarzystwa musiała się dyskretnie uśmiechnąć, bo znała pogłoski krążące na temat związku księcia z Juliette.

Trudno sobie wyobrazić, żeby na młodej dziewczynie nie zrobił wrażenia tak sławny mężczyzna wydający bal w swym olśniewającym pałacu. Książę August był nie tylko jednym z najbogatszych ludzi w historii Europy, lecz także bohaterem wojennym i mężczyzną ekspansywnym. W dzisiejszych czasach stanowiłby odpowiednik któregoś z najsłynniejszych hollywoodzkich gwiazdorów o ugruntowanej pozycji, który zwrócił uwagę na zafascynowaną światkiem filmowym młodzieńką aktoreczkę, będącą po raz pierwszy na przyjęciu dla dorosłych.

Wyobraziłam sobie, jak niepokoi się major von Ostrowski, widząc swą piękną córkę uszczęśliwioną tańcem z przystojnym księciem, potężnym i sławnym, wówczas niewiele po pięćdziesiątce, który żenił się już dwukrotnie. Podobno Emilie zainteresowała Augusta tak samo jak on ją. Zapewne więc jej ojciec widział, jak wielkie wrażenie wywarł na niej książę. W jego oczach Emilie nadal musia-

ła być dzieckiem i nagle sytuacja kazała mu dostrzec w niej kobietę, która może zawrócić w głowie niebezpiecznemu i ekscytującemu człowiekowi; ba, w zasadzie księżę mógł zażądać dla siebie wszystkiego! Czy major żałował, że pozwolił Emilie wybrać się na ten bal? Gdybym znalazła się na jego miejscu, nie mogłabym teraz z ręką na sercu powiedzieć, że taka myśl by mnie nie naszała. Wyobraziłam sobie także, jak bardzo niezadowolony był król na myśl o tym, że córka podległego mu majora została uwiedziona przez człowieka, którego stylu życia nie aprobował bez względu na to, jak bardzo podziwiał jego umiejętności żołnierza i dowódcy. Być może gdyby Emilie miała matkę, której mogłaby się poradzić, zostałaby przez nią przekonana do bardziej ostrożnego postępowania i nie ofiarowałaby uczucia i życia mężczyźnie o tak barwnej i bogatej biografii. Jest jednak mało prawdopodobne, żeby wojskowy potrafił bez kłopotu poradzić coś piętnastoletniej córce w tak delikatnej sprawie osobistej, w sytuacji gdy w grę wchodził księżę z rodu Hohenzollernów.

Dowiedziawszy się więcej, Ken i ja szybko zdaliśmy sobie sprawę, że Emilie zakochała się w Augustynie niemal w chwili, gdy poprosił ją tej nocy do tańca w sali balowej, oświetlonej setkami świec. Było także oczywiste, że księżę zadurzył się w młodej dziewczynie tak samo jak ona w nim, choć w obu wypadkach stało się to z innych powodów. August był miłośnikiem rozkoszy życia, w tym pięknych kobiet, i to kolejny powód, dla którego nie lubiły go bardziej konserwatywne osoby z królewskiego dworu, takie jak Wittgenstein. Wydawało się, że od chwili, gdy zobaczył

Emilie, nie potrafił zostawić jej w spokoju, choć od początku musiał wiedzieć, że dla młodej dziewczyny związek z nim będzie pełen komplikacji. Zapewne był przyzwyczajony do tego, że zawsze dostaje to, czego chce. Można sądzić, że nie minęło dużo czasu od ich spotkania na balu, kiedy w Berlinie zaczęto rozmawiać o romansie tych dwojga. Wiadomości rozchodziły się szybko i w mieście przez cały czas huczało od plotek, w szczególności na temat członków rodziny królewskiej. Po przedłużających się negocjacjach z majorem von Ostrowskim książe August obwieścił światu, że żeni się z Emilie.

W aktach zachowała się relacja księcia Wilhelma, syna króla Fryderyka Wilhelma III, z której dowiedzieliśmy się, że w dniu ogłoszenia zaręczyn Emilie wyszła z domu w pięknej białej sukni i w wianku z białych lilii, wyglądając w każdym calu jak księżniczka. Zawieziono ją do Augusta w złoconym powozie, który po nią przysłał. Przed jego domem przy Jägerstrasse, prywatną, znajdującą się na uboczu rezydencją, zebrał się tłumek gapiów, żeby zobaczyć przejeżdżającą Emilie. Ludziom musiało się wydawać, że dziewczynę czeka życie z bajki. Nadal nie mogłam więc zrozumieć, dlaczego ta romantyczna i pełna dramatyzmu historia została ukryta w podziemiach zamku w Merseburgu, a w mojej rodzinie mówiło się o niej szeptem. Z pewnością w okresie, gdy się działa, dużo na jej temat rozmawiano i pisano.

Ostatnią rzeczą, którą miałam zrobić dziś wieczorem, było powiadomienie naszych synów, że odnaleźliśmy Emilie. Ale ponieważ z NRD było bardzo trudno się dodzwonić do Londynu, z dumą napisałam im o wszystkim na

kartce pocztowej. Wiedziałam, jak będą tą wiadomością podekscytowani.

Myślałam, jak często dotychczas, o mojej babuni Annie. Wydawało się, że jej straszny los został przypieczętowany w dniu ślubu Emilie i Augusta przed ponad stu laty w dziewiętnastowiecznych Prusach. Czy gdy Anna umierała z woli nazistów, wiedziała, kim naprawdę była jej babka? Nie mogła wiedzieć, skoro, jak się wydawało, nie wiedzieli tego mój ojciec i stryj Freddy. Wzdrygnęłam się na samą myśl o tym, bo stało się dla mnie jasne, że Anna w żaden sposób nie mogła uratować życia, kiedy przyszli po nią naziści.

Widząc, że martwię się pod wpływem scen, które zawładnęły moją wyobraźnią, Ken wziął mnie delikatnie za rękę, dając mi znak, że czas wrócić na noc do hotelu.

Zamachowiec w patacu i zniknięcie Victora

Książę August był inteligentnym człowiekiem, a im więcej o nim czytałam, tym lepiej zdawałam sobie sprawę ze złożoności jego charakteru. Człowiek z zasadami, dowiódł swego przyjaznego stosunku do Żydów, nie zgadzając się w sprawie swojego oficera Meno Burga z królem i stając w jego obronie. Był również nieszablonowym reformatorem, a pod wieloma względami „nową miotłą” Prus. Inaczej niż pozostali członkowie rodziny królewskiej był otwarty na nowe idee i z nadzieją patrzył w przyszłość. Rozumiałam, dlaczego Emilie pociągał taki przedsiębiorczy mężczyzna, który potrafił zagrać komuś na nosie i przeciwstawić się konwencji, kiedy uważał to za słuszne.

Nie stanowiło dla mnie zaskoczenia, że taki człowiek jak August ma wrogów, a może nawet świadomie ich sobie przy-

sparza, jeśli jest o czymś mocno przekonany. Żył *przecież* w społeczeństwie, w którym władza i możliwość sprawowania kontroli znaczyły wszystko. Emilie na skutek swej niewinności i wielkiego uczucia, jakim darzyła Augusta, znalazła się w sytuacji niemożliwej dla niej do przewidzenia. Książę natomiast musiał wiedzieć aż nadto dobrze, jakie czyhają na nich oboje niebezpieczeństwa, i od chwili, gdy ślubowali sobie, że będą ze sobą do końca życia, miał niemal paranoiczną obsesję na punkcie bezpieczeństwa swej młodej żony.

- Rozumiem wszystko, Ken - powiedziałam, myśląc głośno. - Emilie to miłość jego życia, osoba bardzo mu droga, i jeśli był wielkim wizjonerem, który nigdy nie obawiał się odważnie głosić swoich przekonań, to miał wrogów, którzy chcieli go rozsierdzić, wyrządzając jej krzywdę.

Ilekczo August wyjeżdżał, aby wypełniać swoje obowiązki inspektora artylerii w armii pruskiej, Emilie przebywała w towarzystwie siostry Heleny. Czytając jego dzienniki, zdałam sobie sprawę, że niemal przez cały czas objeżdżał Prusy. Kiedy przebywał z Emilie, stale czuwał nad jej bezpieczeństwem, posyłając swych adiutantów, żeby sprawdzili, czy w ogrodzie nie ma nikogo podejrzanego, zanim pozwolił wybrance swego serca pójść tam na spacer. Nieproszonych gości natychmiast odprawiano, nie pozwalając im na widzenie się z Emilie, w szczególności gdy przebywała w pałacu w Przelewicach.

Kto, zastanawiałam się, był głównym podejrzanym, kto się krył za tymi zagrożeniami dla Augusta i Emilie? Według mnie był nim sam król Fryderyk Wilhelm III.

- Oczywiście Emilie stanowiła dla króla problem - powiedziałam do Kena, znowu myśląc głośno podczas kola-

cji, co zdarzało mi się często. - Z akt wynika, że nigdy nie wymienia się jej jako uczestniczki różnych wydarzeń, w których brał udział August. Gdy ojciec pokazał mi notatnik księcia, matka oznajmiła, że August zawarł z Emilie małżeństwo morganatyczne. Czy to dlatego nie bywał na różnych oficjalnych uroczystościach? Sądzę, że wiem, dlaczego mieszkała we wspaniałym domu Augusta przy Jägerstrasse, który zakupił dla nich obojga jako prywatną rezydencję. Dlaczego traktowano ją inaczej niż jego dwie pierwsze żony? Wszystko to sugeruje, że August musiał się ożenić z Emilie bez pozwolenia króla, że ich związek był zakazany. Ale z jakiego, u licha, powodu miałoby tak być? Borykałam się z odkryciem, że Emilie była córką majora Adama von Ostrowskiego, i starałam się przyzwyczaić do faktu, że nasz rodzinny folklor nie ma oparcia w rzeczywistości. Akceptowałam to, że moją praprababką była nie--Żydówka Emilie von Ostrowska. Łączyła ją z moim pra-pradziadkiem, jak się wydawało, zakazana miłość, ale wyglądało na coś oczywistego, że moja złota para nie chciała się rozstać, bez względu na to, jak bardzo wrogowie próbowali zastraszyć ich oboje. August nie obawiał się stawić czoło wszelkim zagrożeniom, jeśli chodzi o własne bezpieczeństwo, w wypadku swej młodej żony był natomiast, jak się zdaje, boleśnie świadomy jej bezbronności podczas długich miesięcy jego pobytu poza domem.

Najbliższym i najbardziej zaufanym adiutantem księcia był jego sekretarz Uhde, który pełnił również funkcję członka Tajnej Rady Augusta. Książę nalegał, żeby Uhde zawsze był u boku Emilie, kiedy on sam nie mógł, zwłaszcza gdy wyjeżdżała do pałacu w Przelewicach, gdzie, jak

się zdaje, uważał, że zagrożenie dla jej życia jest największe. Pałac znajdował się około stu kilometrów od Berlina, w pustej okolicy, w której często odbywały się polowania. Materiały zgromadzone w archiwum dały mi zdumiewający wgląd w to, z jaką troską książe czuwał nad każdym ruchem młodej żony. Był jej protektorem. Realizował obietnicę, którą złożył jej, gdy w notatniku przekazanym mi przez ojca napisał cytowane wyżej przeze mnie pamiętne słowa. Gdy lekarz zasugerował, że Emilie powinna się udać do uzdrowiska, aby wzmocnić swoje zdrowie, książe zaproponował żonie wyjazd do Interlaken, co wymagało przekroczenia granic kilku państw. Nie mógł Emilie towarzyszyć, nakazał więc Uhdemu, żeby pojechał wraz z nią, jej siostrą i służącymi. Niepokojąc się o bezpieczeństwo młodziutkiej, bezbronnej kobiety, August sporządził listę zaleceń na czas podróży tak długą, że liczyła ona aż dwadzieścia stron. Gdy je czytałam, byłam poruszona faktem, że tak bardzo kochał Emilie i troszczył się o nią. Zarazem wyobrażałam sobie, jak czasami musiała się czuć przytłoczona i ograniczona w swym zachowaniu na skutek wielkiej miłości tego mężczyzny, który chciał chronić każdą chwilę jej życia, nawet z oddali.

„Ktoś powinien być u boku takiej młodej damy jak *Frau* von Ostrowska, do której Jego Wysokość jest bardzo czule przywiązany”, przeczytałam w tym dokumencie. „Ktoś, kto będzie zwracał uwagę na wszystko, co jest wymagane dla jej dobrego fizycznego i moralnego samopoczucia, ktoś, kto zapewni, że biorąc pod uwagę wysokie koszty takiej podróży, pieniądze będą wydawane ekonomicznie”.

Następnie książę szczegółowo opisuje, jakie działania należy poczynić w zakresie opieki medycznej nad Emilie, gdyby ta zachorowała w czasie podróży, i jak należy postępować z pieniędzmi oraz prowadzić rachunki. „Aby zabezpieczyć paszporty i pieniądze na podróż, trzeba w czasie postojów w gospodach trzymać je w kasie ogniotrwałej, która ma być przykręcona do podłogi w kolejnych zajmowanych pokojach za pomocą znajdującej się w tej kasie śruby”.

Zaprzężony w cztery konie pocztowe, które należało wymieniać na każdym postoju, powóz miał wyjeżdżać rano najwcześniej jak to było możliwe, ale nigdy, gdy panował jeszcze mrok, i pod żadnym pozorem foryś nie mógł zostawiać pojazdu bez nadzoru. Za wypożyczenie koni pocztowych trzeba było płacić pruską walutą, a powóz smarować co najmniej trzy razy dziennie. Na drodze kamienistej miał jechać wolniej. Do Emilie należała decyzja o tym, jak długo będą podróżowali każdego dnia.

Grupa miała też w czasie południowego gorąca robić przerwę na odpoczynek. Ponadto książę nakazał im wystrzegać się dróg i terenów, gdzie można było się spodziewać „cholery, rozbójników, powodzi i innych niebezpiecznych sytuacji”. Uhde miał sprawdzać gospody i prywatne kwatery, w celu upewnienia się, że jest tam czysto i schludnie, zanim do środka wejdzie Emilie. Na końcu książę powierzył temu oficjalnemu towarzyszowi podróży swej wybranki specjalny obowiązek:

Jeśli wydarzy się lub mogłoby się wydarzyć coś szkodliwego dla reputacji Frau von

Ostrowskiej czy coś, co naruszyłoby zasady przyzwoitości, Uhde powinien zgłosić najostrożniejszy sprzeciw i zrobić wszystko, żeby posłuchano jego rady w celu usunięcia zagrożenia, które już się pojawiło lub właśnie się pojawia.

Oprócz tego wszystkiego Uhde musiał zagwarantować, że Emilie nie będzie składała żadnych wizyt i nie przyjmie nikogo, a także nie weźmie udziału w żadnym publicznym wydarzeniu zorganizowanym w uzdrowisku, z wyjątkiem sytuacji, kiedy okaże się to nieuniknione. Miała tylko „odwiedzać takie miejsca publiczne, w których młodej damie wypada się pokazywać” i gdzie mogła uniknąć zawierania znajomości, zwłaszcza z „młodszymi osobami”.

Wydaje się prawdopodobne, że książę, świadom wielkiej różnicy wieku między nim i Emilie, był o nią zazdrosny, zwłaszcza gdyby pojawiała się w towarzystwie młodszych od niego i być może przystojniejszych mężczyzn. Sugerował, że gdyby tęskniła za kontaktami z ludźmi, Uhde powinien zapewnić jej takowe. Do obowiązków tego ostatniego należało także pisanie dla księcia cotygodniowych sprawozdań z przebiegu podróży. Jeśli adiutant księcia nie znalazłby na to czasu, to miał prosić Emilie o wyręczenie go. Najwyraźniej August był przekonany, że związek z nim stanowi zagrożenie dla życia tej młodziutkiej kobiety.

Skoro wbrew temu, co początkowo zakładaliśmy, Emilie nie była Żydówką, a w rzeczywistości pochodziła z polskiej arystokratycznej rodziny, trudno zrozumieć, dlaczego ktoś, z wyjątkiem członków samej tej rodziny i króla, miał-

by się tak zapalczywie sprzeciwiać związkowi dziewczyny z księciem Augustem, nie mówiąc już o chęci zaatakowania jej czy zamordowania. Jeśli oczywiście zapędy te nie brały się z poczucia zagrożenia, jakie to małżeństwo mogło ewentualnie stanowić dla Korony i sukcesji. Czy było możliwe, aby z powodu tego rodzaju zagrożenia August zakładał, że król i jego otoczenie chętnie pozbyliby się Emilie?

Za każdym razem, gdy Ken i ja znajdowaliśmy odpowiedź na jakieś pytanie, pojawiały się dwa następne. Nie mieliśmy innego wyjścia, jak czytać i nie tracić nadziei, że przedzierając się przez sterty dokumentów, znajdziemy więcej wskazówek do rozwiązania zagadki związku Emilie i Augusta.

Tamtego dnia po kilku godzinach lektury przeżyłam kolejny szok.

- O Boże! - wykrzyknęłam znowu, czytając i równocześnie mówiąc, tak byłam podekscytowana znalezionymi informacjami. - Próbowali otruć Emilie. Tu jest to napisane. Gdy August wyjechał, a ona przebywała na lotnisku w Przelewicach, ktoś dolał do jej kieliszka z winem spirytusu skażonego metanolem.

August zawsze uważał, że w tym pałacu czyha na nią więcej niebezpieczeństw niż w którymkolwiek innym, i jego obawy się potwierdziły. To był przerażający moment i bardzo się o nią martwiłam, czytając, że służący przywieźli do niej doktora Bareza, osobistego lekarza Augusta, a książe pospieszył do Przelewic, gdy tylko doniesiono mu o wszystkim; przerwał inspekcję wojsk, aby być z Emilie w tej trudnej chwili. Czytałam ten fragment w szalonym tempie, desperacko chcąc się dowiedzieć, czy Emilie prze-

żyła zamach. Bałam się, że stracę ją taką młodą. Wyobrażałam sobie, jaką udrękę przeżywał August w drodze do domu, jaką bezsilną złość, bo jego najgorsze obawy się potwierdziły. Nie wiedział, czy zastanie Emilie martwą i czy zdąży jeszcze zapewnić ją przed jej śmiercią o swej wielkiej miłości. Zapewne z tego powodu czas włókł mu się niemiłosiernie.

Gdy znalazłam relacje, że przeżyła próbę zamachu na życie i odzyskała siły, zanim powóz męża przemknął z turkotem przez bramę dziedzińca pałacu w Przelewicach, poczułam taką ulgę, że omal nie krzyknęłam z radości. Emilie była z Augustem już sześć lat, co chyba stanowiło dowód, że ich relacje są czymś więcej niż tylko zadurzeniem. Być może dlatego ktoś usiłował ją uśmiercić. Czy było możliwe, że w początkowym okresie wrogowie zakładali, iż związek ten nie przetrwa? A kiedy uświadomili sobie swoją pomyłkę, to uznali, że muszą podjąć inne kroki, aby położyć kres tej miłości? Nadal jednak nie rozumiałam, dlaczego ktoś miał tak skrajnie negatywny stosunek do małżeństwa wybitnego mężczyzny i młodej kobiety z dobrej rodziny, że chciał pozbawić tę kobietę życia. Czy to w tym czasie Emilie była w ciąży i nosiła pod sercem Charlotte? Daty się zgadzały. Myśląc o Charlotte, zastanawiałam się, dlaczego po jej narodzinach Emilie i August nie mieli już więcej dzieci. Gdy spytałam o to Kena, udzielił mi dogmatycznej odpowiedzi.

- Nie jestem tym zaskoczony, że powstrzymywali się przed wydaniem na świat potomstwa - oznajmił.
- To oczywiste, że po prostu mieli za dużo spraw na głowie. Bo

gdyby pozwolili sobie na dziecko, to jakie groziłoby mu niebezpieczeństwo? Wydaje się nieprawdopodobne, żeby zamierzali mieć dziecko.

Jednakże wydali na świat potomkinię, bo chyba niedługo po tej próbie zamachu na jej życie Emilie wydała na świat moją prababkę Charlotte, w bardzo, jak się wydaje, niebezpiecznej sytuacji. Czy było to dziecko zaplanowane? Wiemy, że August nie bał się nikogo, igrał z niebezpieczeństwem, a nawet witał je z zadowoleniem, jeśli tylko mógł dowieść, że nie myli się w tej czy innej sprawie. Był bowiem tak zdecydowany w swoim postępowaniu, że potrafił się obronić przed każdą próbą zniszczenia go. Potwierdził to, stając twarzą w twarz z Napoleonem. Stanowiło to dla niego ostateczną próbę charakteru. Tym razem jednak sytuacja wydawała się inna, gdyż nie chodziło o jego życie, lecz o życie żony i dziecka.

- Do tego czasu August starał się nie dopuścić, żeby Emilie zaszła w ciążę - orzekł Ken. - Sześć lat to dostatecznie długo, żeby mieć dziecko, a poza tym bardzo się kochali i z pewnością bardzo pragnęli potomstwa.

Bez względu na to, jak bardzo August chciał zostać z Emilie w Przelewicach i chronić ją po takiej gehennie jak zamach na życie, jego obowiązki księcia z rodziny królewskiej i żołnierza uniemożliwiły mu to. Nie minęło wiele czasu, zanim nastąpiła druga próba uśmiercenia Emilie. Sposobność ku temu nadarzyła się, gdy książę znowu przebywał poza domem, tym razem na okręcie w pobliżu Turcji. Ta druga próba zamachu na życie Emilie miała miejsce podczas jej powrotu w asyście Uhdego z Przelewic do Berlina. Otóż żonę Augusta zaatakowano wówczas w powo-

zie. W archiwum znajdował się obrazowy opis tego zdarzenia: konie stanęły dęba i rżały, gdy woźnica okładał je batem, bo chciał uciec napastnikom. Sprawa ataku została zgłoszona na policję. Gdy czytałam tę relację, serce podeszło mi do gardła. Czułam się tak, jakbym to ja sama przeżywała ten dramat, i z trudem oddychałam, dopóki nie znalazłam potwierdzenia, że Emilie jakoś zdołała wyjść z tej opresji cało.

Do końca kolejnego dnia pobytu w archiwum dowiedzieliśmy się o mojej rodzinie więcej, niż mogłam marzyć, kiedy rozpoczynałam te poszukiwania, co bardzo mnie uradowało. Niestety, w tym samym czasie w naszych głowach zrodziło się mnóstwo nowych pytań. Dlatego chciałam tu pracować aż do czasu znalezienia odpowiedzi na nie wszystkie. Gdyby archiwum nie zamykano na noc, nie wiem, czy Ken zdołałby oderwać mnie od stołu w czytelnicy, gdzie pewnie w końcu zasnąłabym z głową w papierach. Oczywiście nie miałam wyboru, musiałam wyjść wraz ze wszystkimi innymi interesantami z chwilą, gdy pracownicy archiwum kończyli pracę. Ale mętlik w mojej głowie jeszcze się powiększył w związku z tym, czego się dziś dowiedziałam.

Gdy wróciliśmy do hotelu, okazało się, że przy stoliku w jadalni obsługuje nas nowy kelner.

- Gdzie jest Victor? - spytałam tego nowego. - Nie obsługuje dziś wieczorem?

- On już tu nie pracuje - odpowiedział, unikając mojego spojrzenia i najwyraźniej nie chcąc podać żadnych szczegółów.

- Obserwują nas - powiedział cicho Ken, gdy kelner odszedł od naszego stolika.

Byłam zbyt zajęta własnymi myślami o tym, co dziś odkryliśmy, żeby móc potraktować jego sugestię poważnie. Wiedząc, jak obawia się pobytu za żelazną kurtyną, uznałam, że prawdopodobnie po prostu to sobie wyobraża. W czasie posiłku podekscytowana mówiłam o Auguście i Emilie i o możliwych scenariuszach, które mogły doprowadzić do tego, co w końcu spotkało biedną Annę. Jeśli Ken nadal myślał o Victorze, to dobrze zrobił, że tego nie ujawnił i uzewnętrzniał tylko swoją fascynację utrapieniami i troskami moich przodków.

Po obiedzie udaliśmy się do pokoju hotelowego, zmęczeni po długim dniu pracy, i stwierdziliśmy, że ktoś powiesił nam na ścianie maskotkę kominiarza.

- Spójrz, Ken! - powiedziałam niewinnie. - Jaki uroczy. Słyszałam, że kominiarz przynosi szczęście.

- Czyżby? - oznajmił wymijająco mój mąż. Podeszedł do maskotki, żeby móc uważnie ją obejrzeć bez dotykania.

Po chwili odwrócił się do mnie i położył palec na ustach, a następnie wziął kartkę papieru i napisał na niej: urządzenie podsłuchowe.

- Naprawdę tak uważasz? - spytałam, zastanawiając się, czy przypadkiem nie ma lekkiej paranoi, kiedy, jak się wydawało, wszystko szło nam tak dobrze i każdy był dla nas tak pomocny.

- Nie jest tu tak jak u nas, co?! - niemal krzyknął do mnie, w sposób zastanawiający zmieniając temat.

- Przez cały czas, odkąd tu jestem, nie widziałem na stole w jadalni żadnych owoców!

Po tych słowach znowu położył palec na ustach, żebym go przypadkiem nie spytała, o czym, u licha, mówi tak głośno. Poszliśmy spać, nie mówiąc nic, co mogłoby przysporzyć nam kłopotów. Z powodu jego podejrzeń poczułam się nieswojo, ale po chwili znowu zaczęłam myśleć o tajemnicach Emilie i jej córki Charlotte, która nagle znikła. Nie mieliśmy tu nic do roboty poza zastanawianiem się nad tym, co danego dnia odkryliśmy w archiwum, starając się brać pod uwagę różne możliwe wyjaśnienia tego samego faktu i próbując wyobrazić sobie siebie w sytuacji Augusta i Emilie.

Książę nie potrafił się oprzeć urokowi żadnej ładnej kobiety, którą poznał. Mimo to bez wątpienia z Emilie łączyło go silne uczucie. Najwyraźniej gotowa była narażać swe życie na niebezpieczeństwo, żeby móc pozostać z tym człowiekiem. W każdym okresie ich znajomości łatwo mogła go zostawić, lecz nigdy tego nie zrobiła. Gdyby pochodziła z biednej rodziny i była córką skromnego żydowskiego krawca, jak początkowo sądziliśmy, to moglibyśmy podejrzewać, że naraża się na niebezpieczeństwo, aby zyskać materialne zabezpieczenie i przywileje łącznie się z posiadaniem wielkiego bogactwa.

Teraz jednak wiedzieliśmy, że pochodziła z bogatej rodziny i miała wystarczający majątek.

Wydawało się zatem nieprawdopodobne, że dla czegokolwiek, co August by jej ofiarował, gotowa byłaby ponieść takie ofiary. Gdyby poślubiła arystokratę równego jej stanem, mogłaby prowadzić w pełni jawne i beztroskie życie, swobodnie poruszać się w towarzystwie, mając tyle pieniędzy, ile by chciała i nie narażając się przy tym na groźbę utraty życia i na wrogość dworu królewskiego. Je-

dyne możliwe wytłumaczenie długotrwałego związku Emilie i Augusta stanowi łącząca ich wielka miłość.

Gdzie zatem zostało odnotowane przyjście na świat i istnienie Charlotte? Skąd mieliśmy się dowiedzieć, co przydarzyło się mojej prababce, co tak radykalnie odmieniło jej życie, gdy miała pięć lat, zgodnie z tym, co wyznała mojemu ojcu i stryjowi? Gdy w końcu poczułam senność, pozostawałam z tymi samymi myślami, które od dawna nie dawały mi spokoju.

Kiedy rano zeszliśmy do jadalni na śniadanie, Ken uśmiechnął się triumfalnie na widok stojących na niektórych stołach misek z owocami. Wytrąciło mnie to z równowagi, choć w grę mógł wchodzić zwykły zbieg okoliczności.

- A widzisz? - szepnął zadowolony z siebie mój mąż. - Podsluchiwali nas. Nie możemy tu być niczego pewni, Eve, i nie wolno nam ani na chwilę zapomnieć, gdzie jesteśmy.

Nie miałam nic do dodania. Ken udowodnił, że miał rację. Był coraz bardziej zdenerwowany naszym pobytem w kraju totalitarnym. Zależało mu, żeby tak szybko jak to tylko możliwe zabrać mnie stąd z powrotem na Zachód, gdzie mogliśmy się czuć bezpiecznie. Mnie natomiast tak wciągnęła historia Emilie i Augusta, że chciałam tu zostać dopóty, dopóki nie wydobędę z akt nawet najdrobniejszej interesującej mnie informacji. Martwiły mnie jednak wydarzenia zaistniałe w naszym hotelu.

Pomniejszałam ich znaczenie w rozmowie z Kenem, ale fakt, że założono w naszym pokoju podsłuch, uświadomił mi, że pora stąd wyjechać. To miejsce naprawdę okazało się niebezpieczne,

i nie było czymś dobrym i słusznym prosić Kena o przedłużenie naszego pobytu w Merseburgu. Następnego dnia rano usiedliśmy przy stole w czytelni zaraz po otwarciu archiwum, by nie tracić ani chwili cennego czasu, którego tak niewiele nam już zostało. Teraz w papierach zaczęło się częściej pojawiać nazwisko lekarza Augusta, lecz to nie Emilie budziła troskę doktora Bareza, tylko sam książę. Lekarz napisał, że martwi się „rzężeniem” Augusta. Książę skończył już sześćdziesiąt lat, a żył pełnią życia i był bardzo aktywny. Prawdopodobnie za bardzo eksploatował organizm i niezbyt liczył się ze swoim wiekiem.

Zastanawiałam się, jakie leki stosowano w połowie XIX wieku na schorzenia dróg oddechowych, ale raczej nie mieli ich zbyt wiele. Lekarz zalecał księciu odpoczynek i rezygnację z części wyjazdów. Niestety, jak relacjonował, August nie chciał o tym słyszeć i tracił cierpliwość na samą myśl o porzuceniu swoich dotychczasowych obowiązków. Oznajmił lekarzowi, że jeśli ma z ich powodu umrzeć, to niech tak się stanie. Nietrudno sobie wyobrazić bezceremonialne znieczcierpliwienie takiego człowieka wszystkim, co kojarzyło mu się z łagodnością czy defetyzmem. Przekonał mnie swoim zachowaniem, że będzie walczył o wszystko do upadłego. Nie tylko kochał życie, ale także się nie oszczędzał. Przyszło mi do głowy, że człowiek, którego tak dobrze poznałam w ciągu ostatnich kilku dni, niemal na pewno przekonał samego siebie, iż jest nie do zdarcia. Prawdopodobnie nie liczył się z własną śmiercią. Może dlatego zdołał przeżyć Napoleona, który nieustannie gonił za zwycięstwami na polu bitwy? Choć był bez szans,

zniósł wszystkie ciosy, jakie zadał mu cesarz Francuzów. Może gdy odrzucił wszelkie porady doktora Bareza, po prostu wyobrażał sobie siebie jako dwudziestosiedmioletniego, bardzo męskiego oficera, którym kiedyś był, wypełniając swe obowiązki wobec ukochanych Prus?

W tym momencie natrafiłam na dokument, który mnie całkowicie zaskoczył, napęłnił smutkiem i wzbudził we mnie jak najgorsze przeczucia. Rano 19 lipca 1843 roku księżę August zmarł.

Wiadomość o czyjejś śmierci zawsze szokuje, nawet jeśli się wie, że ten ktoś chorował. Śmierć Augusta przyjąłam bardzo źle, o czym powiedziałam Kenowi. Byłam wstrząśnięta tym wydarzeniem sprzed ponad stu trzydziestu lat, jakby teraz zmarł jakiś mój bliski krewny. Należało już ono do historii, którą właśnie poznawałam z lektury dokumentów z epoki, lecz poczułam coś więcej niż tylko żal z powodu odejścia prapradziadka i wielkie współczucie dla młodej bezbronnej wdowy, którą zostawił. August zawładnął moim życiem. Niepokojąco szybko mój związek z nim się pogłębiał, choć pierwszego dnia pobytu w archiwum w Merseburgu nie wiedziałam o nim prawie nic. Gdy znalazłam oficjalne papiery, w których opisano, co się stało, dowiedziałam się, że księżę przygotowywał się do

inspekcji swego wojska po niespokojnej nocy i jego serce po prostu nie wytrzymało napięcia. Doktor Barez dokonał sekcji zwłok, aby ustalić przyczynę zgonu, i stwierdził, że wszystkie organy wewnętrzne były zdrowe. Ciało Augusta nadal odznaczało się nietypową w tym wieku tężyzną i muskulaturą, a jego brązowe włosy tylko gdzieniegdzie przyprószyła siwizna. Niestety, w jego płucach i drogach oddechowych zgromadziła się flegma, co mogło świadczyć o zapaleniu płuc, które w końcu uniemożliwiło mu oddychanie. Czułam się tak, jakby to mnie osierocił, i uważałam, że tak samo jak mój ojciec oszukiwał swój organizm, będąc w podeszłym wieku.

- Co z biedną Emilie? - szepnęłam do Kena. - Gdzie ona jest? Jak sobie poradzi bez takiego protektora? Jak twoim zdaniem dowiedziała się o jego śmierci?

Czytając dokumenty, dowiedzieliśmy się i tego. Emilie oczekiwała na Augusta w uzdrowiskowym Marienbadzie, bo miał wziąć urlop od obowiązków i przyjechać tam do ukochanej. Wydawało się, że było to bezpieczne miejsce, gdyż Uhde jej nie towarzyszył. I to on przyjechał powozem, którym, jak musiała się spodziewać, miał przybyć do niej August, żeby mogli spędzić razem kilka szczęśliwych dni. W chwili, gdy zobaczyła, że Uhde z poważną miną wysiada z powozu sam, domyśliła się, że stało się coś złego. Musiała doznać wielkiego szoku, gdy zakomunikował jej tę tragiczną wiadomość. Wstrząsnęła mną cała ta sytuacja, nie mogłam pojąć, co się stało. Serce mi się krajało na myśl o Emilie. Nie było jej przy śmierci Augusta ani też na jego pogrzebie, jak przeczytałam w relacji znalezionej w teczce.

- Ken, skoro Emilie nie pozwolono towarzyszyć Augustowi, gdy pełnił oficjalne funkcje, to znaczy, że zakazano jej także uczestniczenia w jego pogrzebie - powiedziałam.

Wyobrażałam sobie, jak musiała być tym zdruzgotana w tak trudnym dla niej okresie. Odszedł człowiek, któremu poświęciła życie, i zostawił ją z małą córeczką Charlotte. Jakże pragnęłam dodać jej otuchy, objąć ją mocno i wyrazić współczucie z powodu poniesionej straty. Wyobrażałam sobie tę niepokieszoną samotną osobę, skupioną na sobie w obronie przed ciekawskimi spojrzeniami, bojkotowaną przez króla i przypuszczalnie przez całą rodzinę królewską, jak w milczeniu stoi na trasie przemarszu wspaniałego konduktu pogrzebowego. Czułam jej rozpacz, bezbronnej istoty tkwiącej tam w deszczu, gdy mijał ją kondukt z trumną mężczyzny, którego kochała od jedenastu lat, kobiety niepewnej swego i córki losu. A obok niej przechodzili bezwzględni i potężni Hohenzollernowie, którzy nigdy jej nie zaakceptowali. Kroczyli za trumną jej męża, demonstrując cały swój przepych i wy-tworność.

Zgodnie z oficjalnymi relacjami znajdującymi się w teczkach przewóz trumny z ciałem Augusta do Berlina zajął dwa dni i według świadków odbywał się w deszczu, tak iż pochodnie dymiły, a flagi delegacji zbierających się w miastach leżących na trasie konduktu mokły, podobnie jak mundury żołnierzy z garnizonów, którzy zjawili się, żeby po raz ostatni oddać zmarłemu cześć. W Bramie Stralau czekał na kondukt żałobny dowódca Berlina, a następnie

trumnę ze wszystkimi honorami wojskowymi przewieziono do pałacu Bellevue, gdzie postawiono ją na katafalku. Dziesięć dni później, w ciepły letni dzień, odbyło się w katedrze berlińskiej uroczyste złożenie zwłok księcia do grobu. Znowu ulicami przeszedł imponujący kondukt: karawan ciągnęło osiem koni okrytych kirem, a za karawanem szedł mistrz ceremonii pogrzebowej - Wilhelm Radziwiłł, siostrzeniec Augusta, za nim zaś księżęta z rodziny królewskiej.

W czasie nabożeństwa mowę pogrzebową wygłosił dworski kaznodzieja, doktor Ehrenberg, wychwalając wielkie dokonania wojenne Augusta, jego poświęcenie w wypełnianiu obowiązków, prostolinijność troskę o rodzinę.

- Jego błędy nie uniknęły napomnienia! - ciągnął Ehrenberg. - I rzadko napomnienie osądziło człowieka bardziej surowo niż tego, który zawsze zatrzymywał dla siebie wszystko, czego zapragnął! Wygłaszane nad ciałem błogosławieństwo zagłuszył huk dział i salwy wystrzałów z karabinów żołnierzy piechoty, a gdy uczestnicy pogrzebu wyszli z kościoła, zabiły dzwony. „Straciłem w nim ojca”, powiedział Meno Burg, którego los August w niemałym stopniu ukształtował. Berlińscy Żydzi opłakiwali stratę swojego „drogiego przyjaciela”. Trumna została złożona w krypcie, gdzie spoczęła obok trumien z ciałami rodziców i braci Augusta.

Później król wydał ostre napomnienie skierowane do doktora Ehrenberga za to, że ośmielił się mówić publicznie w taki sposób o członku rodziny królewskiej. Jest jednak pewne, że prywatnie zarówno on, jak i inni członkowie ro-

dziny królewskiej zgadzali się z kaznodzieją. August rzeczywiście „zatrzymywał dla siebie wszystko, czego zapragnął”, czy to były wspaniałe pałace, czy piękne młode kobiety. Kaznodzieja odpowiedział królowi, że ze względu na swe przywiązanie do księcia miał na myśli słowa: „nie sądźcie, abyście nie byli sądzeni”, i dyskretnie pozwolono, aby sprawa ucichła. Berlińczycy na ulicy żartowali jednak, że święty Piotr musi zaprowadzić jedenaście tysięcy dziewic w bezpieczne miejsce, zanim odważy się otworzyć księciu bramy raj. Najwyraźniej powszechnie uważano go za kobieciarza, ale, jak się wydaje, nie zmniejszyło to jego popularności.

Prusacy byli zszokowani, gdy się dowiedzieli, że majątek Augusta, zgodnie z tym jak oceniano jego wielkość w znajdujących się w archiwum w Merseburgu papierach, wynosił od ośmiu do dziesięciu milionów talarów. Szeroko pisano o tym, że książę był najbogatszym człowiekiem w Prusach. Trudno sobie wyobrazić, jak ktoś mógł być dla Emilie tak niezycziwy, dla osoby, która sama wydawała się życzliwa i opiekuńcza. Raczej nikt nie miał wątpliwości co do tego, że August był miłością jej życia. Ale był także jej protektorem, który teraz nie żył. Oczywiście Uhde pozostał jej sprzymierzeńcem i nadal miała protektora w osobie ojca, gdyby go potrzebowała, ale na królewskim dworze znajdowali się jej potężni wrogowie, zwłaszcza zaś książę Wittgenstein, który nigdy nie zapomniał o tym, że August awansował Meno Burga na jednego z pierwszych żydowskich majorów w pruskiej armii. Wydaje się prawdopodob-

ne, że król Fryderyk Wilhem IV, który panował dopiero od trzech lat, choć zbliżał się do pięćdziesiątki, nie czuł się całkowicie pewny swej pozycji i postrzegał Emilie jako zagrożenie. Być może potomkowie Augusta z jego dwóch poprzednich małżeństw również działali przeciwko niej, wspólnie z królem, człowiekiem ostrożnym i konserwatywnym, choć nie tak reakcyjnym jak jego ojciec. Augusta nie łączyły z nim dobre stosunki. W rzeczywistości nigdy nie utrzymywał zbyt bliskich stosunków z całą rodziną króla, lecz pozostawał w stałych kontaktach z dworem królewskim tylko dzięki obowiązkowemu uczestnictwu we wszelkich oficjalnych uroczystościach, takich jak parady, przyjęcia, inauguracje i przeglądy wojsk.

Gdy czytaliśmy dokumenty, stało się dla nas oczywiste, że od śmierci Augusta sytuacja Emilie bardzo się pogorszyła. Iście królewski dwór księcia, złożony ze służących, dworzan i przyjaciół, przejął syn Augusta i jego pierwszej żony, Edward von Waldenburg. Wydawało się, że Emilie pozostała sama. Jakby tych nieszczęść było mało dla biednej młodej kobiety, odkryliśmy, że jej ojciec, który był dobrze po siedemdziesiątce i od jakiegoś czasu czuł się coraz gorzej, zmarł nagle na atak serca. Emilie musiała się czuć tym wszystkim zdruzgotana, bo najwyraźniej los sprzysiągł się przeciwko niej. Jej dotychczasowy świat runął ostatecznie, gdy zgodnie z tym, co wyczytaliśmy w innym dokumencie, kilka tygodni później zmarł Uhde. W okresie związku z Augustem Emilie nie wolno było mieć przyjaciół i sprzymierzeńców spoza jego grona, nie miała więc teraz nikogo, kto mógł-

by jej pomóc lub doradzić, jak najlepiej negocjować z rodziną królewską i z osobami z dworu zmarłego męża. Została zupełnie sama, bez jakiegokolwiek ochrony, wraz z Charlotte, we wrogim jej świecie. Ponadto jacyś potężni ludzie tak bardzo pragnęli jej śmierci, że już zademonstrowali wolę wynajęcia osobników, którzy mieli pozbawić ją życia. Wiedziała o tym na podstawie dwóch podjętych już prób dokonania na nią zamachu.

Gdy znalazłam informację o tym, jak August uwielbiał baraszkować, „bawiąc się ze swoimi dziećmi”, przypomniały mi się słowa mojego ojca i stryja Freddy'ego relacjonujące opowieści ich babki Charlotte o wielkim upodobaniu jej ojca „księcia” do szalonych zabaw - z nią w roli głównej - na podłodze w ich berlińskim mieszkaniu. Charlotte powiedziała im też, że w rzeczywistości jest księżną i jeździ tylko pierwszą klasą oraz że jej życie całkowicie się zmieniło, gdy miała około pięciu lat. Dokonałam stosownych obliczeń i ustaliłam, że kiedy Emilie spotkała ta życiowa katastrofa, jej córka rzeczywiście miała około pięciu lat, czyli daty się zgadzały. Niestety, choć wiedziałam, że Charlotte istniała, nie mogłam znaleźć żadnego potwierdzenia tego faktu w dokumentach ani też jakichkolwiek informacji o tym, co tak radykalnie odmieniło życie dziewczynki, a o czym wciąż pamiętała, gdy była starszą kobietą i babką. Zdobyłam tyle fantastycznych szczegółowych danych na temat wspólnego życia Augusta i Emilie, że byłam zupełnie zbita z tropu brakiem jakiegokolwiek wzmianki na temat Charlotte.

August nie żył. Opuścił nas, lecz pomimo wielkiego żalu musiałam zapanować nad uczuciami i zaakceptować ten

fakt. Nie było mi jednak łatwo tak po prostu przestać myśleć o księciu i znowu podjąć dalsze poszukiwania. Jak mogło do tego dojść? August był dla Emilie wszystkim i po tylu latach, które minęły od ich związku, starałam się zdystansować wobec emocjonalnego wstrząsu wywołanego we mnie przez jego śmierć, wstrząsu, który mógł nie zostawić w mojej psychice miejsca na inne uczucia. Musiałam się skoncentrować i dokończyć pracę w archiwum, bo po to tu przyjechałam. Nie mogliśmy pozostawać w Niemczech Wschodnich w nieskończoność, pomimo okazanej mi przez ministra wspaniałomyślności. Poza tym mieliśmy poczucie uwięzienia w murach zamku, gdzie znajdowało się archiwum, i z dnia na dzień panująca tam atmosfera stawała się coraz duszniejsza. Spędzanie całych dni z nosami w papierach było niezdrowym, a wręcz odurzającym zajęciem.

Ken zdawał sobie sprawę z mojego stanu emocjonalnego i wiedział, jak mogę się z tego stanu otrząsnąć.

- Wiara przenosi góry - powiedział. - Przyjechaliśmy tu, żeby wykonać konkretną pracę, Eve, i na razie wszystko jest w porządku.

W naszym świecie zawsze robiliśmy najlepszy użytek z tego, co mieliśmy. Poznawanie życia nauczyło nas, że należy myśleć i zachowywać się tylko w jeden sposób, a mianowicie przyjmując postawę umożliwiającą przetrwanie. Kiedy sytuacja staje się trudna, należy po prostu iść naprzód i mieć pozytywne nastawienie. Bez względu na powody, dla których Emilie znalazła się nagle w ciężkim położeniu, i na ostateczne rezultaty naszych poszukiwań poznanie życia Augusta pozwoliło mi dowiedzieć się wiele

o moim własnym. Spotkanie prapradziadka tutaj, w tej czytelni, wywarło wpływ na całe moje dalsze życie.

Czytałam informacje na temat wydarzeń, które miały miejsce w sierpniu 1843 roku, czyli dwa miesiące po śmierci księcia, gdy natknęłam się na list, z którego powodu zaniemówiłam.

Pokorna prośba

Chciałam przyciągnąć uwagę Kena do tego, co znalazłam, ale nie potrafiłam znaleźć słów. Przedłużałam moment zapoznawania się z tym, co w tej chwili czytałam, wyobrażając sobie, jak pogrążona w żalu po stracie męża Emilie chwyta za gęsie pióro i pisze list, który teraz miałam przed oczami. Końcówka pióra musiała być gruba, gdyż po tylu latach atrament nie wyblakł. Emilie kierowała list do króla Prus. Drżącymi dłońmi, z czcią, wyjęłam kartkę z teczki. W charakterze pisma uderzyła mnie elegancja i subtelność, a budowa zdań świadczyła o doskonałym opanowaniu niemieckiej gramatyki. Charakter pisma Emilie bardzo przypominał mi charakter pisma mojej babuni Anny.

Emilie prosiła monarchę o zmiłowanie.

Pokornie proszę Jego Królewską Mość, żeby mi pozwolił być znaną pod nazwiskiem „Frau von Ostrowska”, jak przez lata, które spędziłam z księciem Augustem. Spełnienie tej najpokorniejszej prośby jest czymś najwyższej wagi dla całej mojej przyszłości. Potwierdzam swój błąd młodości i wielkie cierpienie, na jakie się skazałam w latach mojego życia z księciem, gdyż o losie piętnastoletniej, pozbawionej matki dziewczyny zdecydowały jej upodobanie i wynikający z młodego wieku brak doświadczenia. Instykt mówi mi, że nie potrzebuję się bronić, bo nigdy nie zeszłam z drogi cnoty. Teraz jedyne pocieszenie znajduję w czczeniu pamięci człowieka, dla którego poświęciłam wszystko, bo kochałam go w dziewczęcym uniesieniu. Żarliwie wierzę, że dzięki spełnieniu tej prośby świat osądzi mnie pobożnie...

Przeczytawszy ten list, pojęłam, że skoro po śmierci księcia Emilie nie wolno było określać siebie mianem *Frau* (pani) i uważać za wdowę po Augustcie, oznaczało to trudną dla niej do zniesienia degradację społeczną. Dostrzegałam namiętność tej kobiety i jej jestestwo. Znałam i rozumiałam tę młodą osobę. Wiedziałam, jak się czuła, co straciła i jakim musiała stawić czoło niebezpieczeństwu. Stałam się nią i potrafiłam wyobrazić sobie siebie piszącą ten list i z zapartym tchem oczekującą na odpowiedź.

Z pewnością jej decyzjami kierowała miłość, a nie chęć wzbogacenia.

- Ken, znalazłam istotny dokument - powiedziałam w końcu do męża. - Emilie zanosi do króla prośbę. Wie, że bez jego zgody na to, o co go prosi, ona i Charlotte znajdą się w wielkim niebezpieczeństwie. To rozpaczliwy list. Oczywiście ta kobieta jest przerażona, bezbronna i całkowicie zdana na łaskę króla, który ma w takich sprawach władzę absolutną. Jeśli nie będzie nadal znana jako żona księcia Augusta, to zmiana jej pozycji społecznej w poważnym stopniu wpłynie na życie matki i córki. Jestem tego pewna.

Wysłuchawszy mnie, Ken w milczeniu wyciągnął rękę, żebym mu podała list, a jak to zrobiłam, od razu zagłębił się w lekturze.

Gdy czytał, powróciłam do przeglądania zawartości teczek w poszukiwaniu odpowiedzi króla. W wielkim napięciu zastanawiałam się nad różnymi sprawami. Czy na przykład król przynajmniej rzucił tej kobiecie linę ratunkową, okazując jej życzliwość, kiedy znalazła się w potrzebie? Nie wydawało się, żeby tak się stało. Nie ustawałam w poszukiwaniach i w końcu znalazłam to, czego szukałam. Dokument wyglądał niepozornie. Niewiele widniało na nim słów. Być może dlatego omal nie umknął mojej uwagi. To była odpowiedź, choć nie taka, jaką z pewnością Emilie spodziewała się otrzymać. Ta krótka nota oznaczała druzgocące odrzucenie prośby, miała ogromne znaczenie dla przyszłości młodej niepocieszonej kobiety, która uczciwie i z pasją napisała o Auguście, jak „kochała go w dziewczęcym uniesieniu”. Notę napisał i podpisał książkę

Wittgenstein. Było to jawne ostrzeżenie. Niemal nie mogłam uwierzyć w okrucieństwo tonu tej odpowiedzi. Zawierała tylko kilka słów odpowiedzi na wiele mówiącą prośbę Emilie o litość.

Twoja prośba nie jest brana pod uwagę przez Jego Królewską Mość.

Odrzucenie tak istotnej prośby musiało zniszczyć Emilie. Musiało oznaczać zawalenie się w jednej chwili całego jej dotychczasowego życia. Jednym zdaniem potwierdzało, że Emilie nie jest szanowaną wdową po księciu Augustie i wyłącznie ona odpowiada za wychowanie ich dziecka. Ten ostatni ślad jej związku z Augustem błyskawicznie podważono i zniszczono. Po jedenastu latach życia z księciem z królewskiego rodu została nagle przez wszystkich odrzucona. Zagłębiłam się w lekturze, chcąc się dowiedzieć, co było dalej. Co Emilie zrobiła? Dokąd się udała? Do kogo zwróciła się o pomoc? I gdzie znajdowała się jej córka Charlotte?

Nie mogłam nic znaleźć. Natrafiłam w papierach na jakąś czarną dziurę. Przeglądaliśmy zawartość teczek przez cały tydzień i nasz pobyt w Niemczech Wschodnich dobiegał końca. List Emilie do króla stanowił punkt kulminacyjny naszych poszukiwań, ale nie dowiedzieliśmy się, co dalej się wydarzyło. Zdołaliśmy odnaleźć Emilie i zdobyć informacje dotyczące tego, jak poznała księcia Augusta, oraz uzyskać wgląd w niektóre fakty z ich życia, ale coś o olbrzymim znaczeniu musiało się wydarzyć po śmierci Augusta i znalazło finał w zniknięciu mojej biednej babci

w Europie w okresie Holokaustu. Przyjechaliśmy do Merseburga przekonani, że Emilie, a tym samym i Charlotte, była Żydówką. Tymczasem wydarzenia, które odkryliśmy, tylko powiększyły zagadkę dotyczącą pochodzenia mojej rodziny. Ledwie mogłam znieść myśl, że muszę wyjechać, zanim przeczytam wszystkie dokumenty znajdujące się w teczkach, dotyczące księcia Augusta. Jak bardzo chciałam przedłużyć nasz pobyt w Merseburgu!

- Znalazłaś swoją praprababkę - przypomniał mi Ken, kiedy mu powiedziałam, ile jeszcze chciałabym się dowiedzieć. - Przyjechałaś tu właśnie po to.

Rozważałam zaistniałą sytuację. Uzbrojeni w te wszystkie dokumenty i dowody, które odkryliśmy, być może mieliśmy szansę dowiedzenia się czegoś więcej w archiwach na Zachodzie. Czułam, że nadszedł czas wyjazdu, i skinęłam głową na znak, iż wyrażam na to zgodę, tłumiąc w sobie chęć zostania w Merseburgu dłużej. Mieliśmy dziś wieczorem wrócić na Zachód, a do zamknięcia archiwum pozostało kilka godzin. Musiałam znaleźć sposób dostępu do tutejszych materiałów w dłuższym czasie, abym mogła się zapoznać z nimi należycie. Przez cały tydzień naszej pracy zaznaczałam dokumenty, które zamierzałam przeanalizować dokładniej, z dala od tej czytelnicy, gdzie pracowaliśmy w napięciu, czując, że przez cały czas jesteśmy śledzeni. Chciałam zabrać na Zachód możliwie jak najwięcej kopii akt i pokazać je wszystkim, którzy mi pomagali, gdy rozpoczynałam poszukiwania, i tak samo jak ja ponieśli wtedy fiasko. Poza tym miały one wielkie znaczenie osobiste dla mnie i dla członków mojej rodziny. To były jedne ze świadectw, których odnalezienie zajęło mi całe życie.

- Ile dokumentów zaznaczyłam? - spytałam *Herr* Waltmanna, gdy przyszedł do nas, żeby zapytać, czy może jeszcze coś dla nas zrobić.

- Dwieście siedemdziesiąt pięć - odpowiedział z kamienną twarzą, oczywiście odnotowywał codziennie ich liczbę, i spytał: - Czy poza tym jest coś, co możemy dla pani zrobić, pani Haas?

- *Herr* Waltmann - zaczęłam, uśmiechając się najbardziej uroczo, jak potrafiłam - tak bardzo pan mi pomógł. Naprawdę jestem wdzięczna za wszelką udzieloną mi pomoc. Znaczy ona dla mnie bardzo dużo. Chcemy zabrać ze sobą kopie tych zaznaczonych dokumentów. Czy mógłby pan to załatwić?

- Och nie, pani Hass - odpowiedział bez wahania. - To nie będzie możliwe.

Pewność, z jaką mi to oznajmił, odebrałam jak policzek. Byłam zdruzgotana, gdy pomyślałam, że nie będę mogła zabrać dowodów, które chciałam w domu przeanalizować.

- Może będziemy mogli wykonać mikrofiszki i wysłać je pani - ciągnął, dostrzegając zawód, jaki poczułam, i rozbudzając moje nadzieje. - Pójdę się dowiedzieć.

Byłam pewna, że sam nie udzieli mi odpowiedzi, i tak też się stało. Popędził do *Frau* Steglitz.

Niewątpliwie przesadzałam, bo przecież zakrawało na cud, że otrzymaliśmy dostęp do tylu dokumentów, do ilu chcieliśmy. Ale nie mieliśmy nic do stracenia, a ja naprawdę potrzebowałam tych kopii w Anglii. To otwarte podejście i proszenie o coś, czego chcieliśmy, sprawdziło się już wcześniej, więc może sprawdzi się znowu. Zagłębiłam się w lekturze, czekając na powrót archiwisty.

Po chwili przyszła do nas dyrektorka archiwum. Miała tę samą surową minę co podczas pierwszego spotkania, gdy zjawiliśmy się u niej bez zezwolenia na korzystanie z archiwum. Wyglądało to naprawdę tak, jakbym nadużyła jej cierpliwości, zgłaszając nowe żądania, podczas gdy ona uważała, że minister był bardziej niż wspaniałomyślny, idąc nam tak na rękę. Nie wiedziała, jak sobie poradzić z taką prośbą, przeobraziła się więc znowu w agresywną osobę, jaką była, gdy po raz pierwszy zjawiliśmy się tu niezapowiedziani.

- Chcecie kopie? - spytała, z niedowierzaniem unosząc brwi, że mam czelność prosić o tak wiele. - To niemożliwe.

Zrobiło mi się ciężko na sercu. To, że pozwolono mi tak się zagłębić w archiwalnych materiałach, przeszło moje najśmielsze oczekiwania, ale nie chciałam zostawiać poszukiwań teraz, kiedy byłam tak bliska odkrycia, co się stało z Emilie i Charlotte po śmierci Augusta. W historii mojej rodziny wciąż istniała olbrzymia tajemnicza luka. Jeśli wszystkie dokumenty powędrują z powrotem do archiwum, to kto wie, kiedy ci ludzie znowu pozwolą mi do nich zajrzeć - jeśli w ogóle?

- *Frau Steglitz*, w tych teczkach jest zamknięte całe moje życie - zaczęłam ją prosić. - To historia mojej babki, moja i moich dzieci. Nigdy nie oczekiwałam, że ogarnę ją w ciągu kilku dni. Jest znacznie więcej faktów, których jeszcze nie ustaliłam.

- Możemy wykonać dla pani mikrofiszki - oznajmiła, ustępując zaskakująco szybko, jak mi się wydawało, i znowu rozbudzając mój optymizm, jak przed paroma minutami-

mi archiwista. - Przyślemy je pani do Anglii. Oczywiście za opłatą.

Starłam się nie ujawnić, jak jestem podekscytowana tą ofertą. Zorientowałam się już, że nie opłaca się okazywać tej kobiecie zbyt wielkiej wdzięczności, aby nie wprawiać jej w zakłopotanie. Nie obchodziło mnie, ile będzie to kosztować. Zaszedłszy tak daleko, byłam skłonna zapłacić jej tyle, ile zażąda.

- Dziękuję - powiedziałam najspokojniej, jak potrafiłam. - To miło z pani strony.

Skinęła głową, przyjmując podziękowanie, i wyszła z czytelni, podczas gdy my wyjaśnialiśmy z *Herr* Waltman-nem szczegóły. Gdy i on wyszedł, wzięłam kolejną teczkę i zaczęłam czytać znajdujące się w niej papiery. Chciałam wykorzystać do maksimum czas, jaki nam jeszcze został, i wkrótce pochłonęła mnie lektura.

- *Herr* Haas, czy można pana prosić na chwilę? - spytał ktoś, stając w drzwiach.

Zakładając, że chcą go spytać o szczegóły dotyczące wysyłki mikrofiszek i o sposób zapłaty za tę usługę, nawet nie podniosłam wzroku znad dokumentów. Po prostu czytałam, podczas gdy on wyszedł, żeby porozmawiać z kimś, kto wywołał go z czytelni. Chciałam przed wyjściem przeczytać jak najwięcej.

Po dziesięciu minutach zdałam sobie sprawę, że Ken jeszcze nie wrócił, i zaczęłam się zastanawiać, co go zatrzymało. Kartkowałam zawartość teczki przez następnych dziesięć minut, aż w końcu nie mogłam powstrzymać ciekawości i podeszłam do drzwi, żeby zobaczyć, gdzie on jest. W tym momencie zobaczyłam go na korytarzu, zmierzającego w moją stronę. Był śmiertelnie blady.

- Gdzie byłeś? - spytałam. - Dobrze się czujesz?

Nie powiedział nic, tylko wziął mnie za rękę i zaprowadził w kąt sali, gdzie siedzieliśmy. Przysunął usta do mojego ucha i rozglądał się po czytelnicy, jakby bał się czegoś lub kogoś. Był tak wstrząśnięty, że musiało chodzić o coś poważnego. Przeszył mnie dreszcz. Czyżby zmienili zdanie w sprawie udostępnienia nam materiałów? Albo może sta-

ło się jeszcze coś gorszego? Czy to możliwe, że nie pozwolą nam wrócić na Zachód?

- Właśnie miałem spotkanie z *Frau* Steglitz i z jakimś mężczyzną spoza archiwum - szepnął. - Zaproponowali mi szpiegowanie na rzecz NRD i chcieli, abym zaczął od Waszyngtonu, gdy się tam udam. Oznajmili, że nie musimy nic płacić za mikrofizyki, jeśli im pomożemy. Powiedziałem na to, że nie wybieram się do Waszyngtonu, ale nie dali mi po tych słowach spokoju. Wiedzą wszystko o mojej przeszłości: w jakich krajach byłem i jakie mam kontakty biznesowe; wszystko.

- Co miałbyś im dostarczyć z Waszyngtonu? - spytałam zszokowana, czując się tak, jakbym oglądała scenę z filmu

o Jamesie Bondzie. Gdyby nie mina mojego męża, uważałabym, że mnie nabiera.

- Chcą, żebym wy dostał dla nich dokumenty wywiadu z Ośrodka Badań Kosmicznych.

Oświadczyłem, że nigdy nie miałem z tym Ośrodkiem do czynienia i nie mogę im pomóc, bo się tam nie wybieram. Ale chyba nawet mnie nie słuchali. Wiedzą, jak bardzo chcemy mieć te kopie, uważają więc, że w zamian za nie mogą zażądać od nas wszystkiego. Odpowiadałem „nie” na każdą ich ofertę. Niestety, po prostu mnie ignorowali.

W ostatnich miesiącach starałam się przekonać Kena, że przesadza, mówiąc o niebezpieczeństwach, na jakie się narażamy, udając się do NRD, ale teraz nawet ja dostrzegłam, w jak poważnej znajdujemy się sytuacji. Człowiek może zacząć się bać, gdy trafi do państwa totalitarnego i odmówi szpiegowania na jego rzecz. Nasz los spoczywał wyłącznie w rękach przedstawicieli władz tego państwa.

Jeśli zechcą nas teraz aresztować, to nie będziemy mogli w związku z tym nic zrobić, nie znajdziemy nikogo, do kogo moglibyśmy się zwrócić po ochronę czy sprawiedliwość. Teraz w ogóle nie było już kwestii przedłużania naszego pobytu w NRD. Musieliśmy możliwie jak najszybciej przekroczyć granicę.

Spojrzałam na zegarek. Była trzecia po południu.

- Do zamknięcia archiwum pozostały dwie godziny - powiedziałam, myśląc o teczkach, które leżały na stole, a jeszcze nie zdążyłam do nich zajrzeć. - Uratujmy, co się jeszcze da, na wypadek, gdyby nie pozwolili nam już więcej skorzystać z tego archiwum, i wyjedźmy.

Poblady Ken skinął głową i z zaciśniętymi ustami zabrał się do pracy. Przeglądaliśmy te czki, jakby nic się nie stało. Wyteżałam umysł, chcąc się skupić na lekturze, ale przez cały czas byłam świadoma, jak upływa minuta za minutą. Starłam się uwolnić umysł od wszystkiego, co przeszkadzało mi w przyswojeniu sobie jak największej porcji wiedzy, zanim będzie na to za późno. I próbowałam zatracić się w świecie Augusta i Emilie, jak sądziłam, po raz ostatni, desperacko odsuwając od siebie wszystko inne. Nadal roztrzęsiony z powodu tego, co go spotkało, Ken próbował robić to samo.

- *Herr Haas, Frau Haas* - usłyszeliśmy po dwóch godzinach czyjś nieznajomy głos. Gdy przestraszona uniosłam głowę, zobaczyłam stojącą w drzwiach i kiwającą na nas młodą kobietę, której nigdy dotąd nie widzieliśmy. Kobieta oznajmiła: - Zanim państwo wyjadą, dyrektorka chciałaby zaprosić Państwa na herbatę.

Spojrzelismy na siebie zdenerwowani i wstalismy jak niegrzeczni uczniowie, wezwani przez wladze szkoly, zeby ich za cos zbesztac. Czy w gabinecie dyrektorki chciano dac nam do zrozumienia, ze wyświadczając przyslugę komus takiemu jak my, maja prawo oczekiwać za nią wdzieczności? Albo moze zamierzali nam powiedziec, ze jesli nie zgodzimy się zrobic tego, czego od nas chcą, to zostaniemy aresztowani? Czy akceptując tak szybko ich gošcinnošć, nie podpisalismy przypadkiem paktu z diabłem, za co teraz bedziemy musielismy słono zapłacic? Pamiętalam, jak bardzo angielski konsul w Berlinie Zachodnim odradzalam nam wyjazd do NRD, przestrzeglam nas, ze Wielka Brytania nie utrzymuje z tym państwem stosunków dyplomatycznych. Jego przesłanie bylo całkiem jasne: jesli po drugiej stronie granicy popadniemy w klopoty, nie bedzie moglam nam w żaden sposob pomoc. Podazalismy w milczeniu do gabinetu dyrektorki, zastanawiając się nad różnymi sprawami. Czas strasznie nam się dlužyl. Oboje myšleliśmy o tym samym. Nie zamierzalismy okazać strachu. Czy mielismy dziś wieczorem przekroczyć granicę, czy tez oglądac wnetrze więziennej celi? Czy znajda powód, zeby nas zatrzymac w NRD, dopóki Ken nie zgodzi się dla nich pracowac? Czy znowu zostaniemy schwytani w hotelu w pułapkę i bedziemy musielismy w nieskończonošć czekać na pozwolenie wyjazdu z tego kraju? Desperacko starałam się przewidziec, jaki bedzie najbardziej prawdopodobny skutek spotkania, na ktore się udawalismy. Szlismy jak na egzekucję, podazając za tą mlodą kobieta do gabinetu *Frau Steglitz*.

Dyrektorka przywitała nas z promiennym uśmiechem, najwyraźniej uradowana, że może jeszcze się z nami spotkać. Wydawało się, że już zapomniała o swojej złości na mnie, gdy poprosiłam ją o kopie dokumentów, a także o odmowie Kena szpiegowania na rzecz NRD. Tempo, w jakim zmieniał się jej nastrój, mogło wytrącić z równowagi. Nie dało się odgadnąć, co ta kobieta naprawdę myśli, gdy witała nas u siebie. Był tam również *Hen Waltmann*, ale wyglądał dziwnie nieswojo w tej sytuacji towarzyskiej z szefową i uparcie wpatrywał się w podłogę. Nie spostrzeżliśmy natomiast mężczyzny, który spotkał się z Kenem. Rozpłynął się, jakby nigdy się tu nie zjawił.

- Proszę wejść! Proszę wejść! - zapraszała nas dyrektorka. - Proszę usiąść i poczęstować się herbatą! Bardzo się cieszę, że przez cały tydzień tak dobrze szły państwu poszukiwania!

Wyglądało na to, że stara się prowadzić zwykłą uprzejmą rozmowę przy herbacie. Na stole stał nieskazitelny serwis do herbaty, w którego skład wchodził między innymi piękny srebrny czajniczek, nieprzypominający niczego, co widziałam w tym budynku w ciągu spędzonego tu tygodnia. Gdyby przed dwoma godzinami nie próbowali nakłonić Kena do szpiegowania na rzecz NRD, odnieśliśmy wrażenie, że *Frau Steglitz* uważa nas za swych gości honorowych i naprawdę jest jej smutno z powodu naszego dzisiejszego wyjazdu. Uznalibyśmy, że chce ładnie się z nami pożegnać. Teraz jednak wiedzieliśmy, że w tym świecie nie robi się niczego bez ukrytego motywu.

Tryskająca doskonałym humorem gospodyni nalała wszystkim herbaty do filiżanek, szczebiocząc radośnie.

- Być może nie byłam zbyt przyjaźnie nastawiona, gdy państwo zjawili się tu po raz pierwszy - oznajmiła. - Ale musicie zrozumieć, że od czterdziestu lat nie spotkaliśmy w tym miejscu takich ludzi jak wy.

Nie chcieliśmy powiedzieć niczego, co mogłoby doprowadzić do ponownego zerwania naszych kontaktów w sytuacji, gdy nadal potrzebowałam tylu informacji z tego archiwum i tak bardzo zależało nam na powrocie dziś do bezpiecznego Berlina Zachodniego. Nie podjęliśmy więc tematu oferty szpiegowskiej, którą Ken otrzymał przed dwoma godzinami, i przy herbacie rozmawialiśmy z dyrektorką archiwum grzecznie, tak jak ona z nami, i podobnie jak ona udając, że nic się nie stało. Gdy *Frau Steglitz* paplała, jakbyśmy byli starymi przyjaciółmi, po raz pierwszy poczułam do niej sympatię, choć oczywiście nie potrafiłam tej kobiecie ufać, bo w każdej chwili mogła się znowu zwrócić przeciwko nam. Rozumiałam doskonale, że życie w systemie komunistycznym z góry ukształtowało jej początkowe nastawienie do nas i naszej wizyty. Poprosiliśmy ją o przysługę, której nie mogła wykonać, i być może naraziliśmy z tego powodu na reprimendę ze strony zwierzchników. Nie powinno dziwić, że zachowywała się tak defensywnie. Wszędzie spotykała nas taka reakcja, poczynając od funkcjonariuszy straży granicznej, a na nieszczęsnym Victorze kończąc - kelnerze, którego nagle zabrano z hotelowej jadalni, chroniąc go w ten sposób przed naszym złym wpływem. Rozmowa przy herbacie pozostała serdeczna i powierzchowna do samego końca, kiedy musieliśmy się pożegnać i wsiąść do samochodu, żeby wrócić na Zachód.

- Evi, nie miej złudzeń - przestrzegł mnie Ken, kiedy w końcu ruszyliśmy w drogę. - Spędziliśmy tu wystarczająco dużo czasu.

Ze smutkiem żegnałam Augusta i Emilie, poznawszy ich tak dobrze, jak uważałam, ale z wielu powodów czułam ulgę, że wracam do domu. Ken miał rację: z naszym pobylem na Wschodzie nieodłącznie wiązało się poczucie, że w każdej chwili wszystko może się tu obrócić przeciwko nam i nie znajdzie się nikt, do kogo będziemy mogli się zwrócić o pomoc, gdyby nagle nas aresztowano na podstawie sfabrykowanego oskarżenia. Teraz, gdy wiedzieliśmy, co planują, przekonałam się, że mój mąż słusznie twierdził, iż nie możemy tu liczyć na niczyją przyjaźń, lecz przez cały czas musimy zachowywać czujność, bo w grę może wchodzić wyłącznie stwarzanie określonych pozorów i podejmowanie kroków adekwatnych do realizacji nieznanego nam celu.

Pierwszego dnia naszego pobytu w tym kraju, kiedy Ken tak desperacko blefował, chcąc ukryć swoje lęki i sam fakt, że nie mieliśmy oficjalnego zezwolenia na przyjazd, przyjął nas minister. Czy od chwili, gdy weszliśmy do jego gabinetu, wiedział on, że chce zwerbować Kena na zagranicznego agenta NRD? Wszystko to wydawało mi się zbyt absurdalne, aby mogło być prawdziwe. Starłam się odepchnąć od siebie takie myśli i zachować wiarę w ludzką szczerłość. Bardzo chciałam, żeby wszystko układało się zgodnie z moimi wyobrażeniami i pragnieniami. Potrzebowałam wiary w to, że minister jest życzliwym i niezakłama-nym człowiekiem, który tak samo jak ja miał przecież praprababkę, i że pomógł mi wyłącznie z ludzkich względów.

Analizowałam w myślach każdy szczegół naszej rozmowy. Po otrzymaniu naszego pierwszego listu, w którym prosiłam dyrekcję archiwum w Merseburgu o wyrażenie zgody na dostęp do tamtejszych akt, władze NRD miały czas, aby nas sprawdzić. Czy już wówczas dowiedziały się wszystkiego o prowadzonych przez Kena interesach?

Miałam teraz chwilę czasu, żeby się zastanowić nad wszystkim. Uznałam za możliwe, że tego pierwszego dnia wszystko wyreżyserowali. Czyżby *Frau* Steglitz albo ktoś starszy od niej rangą, komu o wszystkim doniosła, skontaktował się z ministrem, kiedy przybyliśmy do Merseburga, i ów człowiek kazał podać jej nam jego adres? Tłumaczyłoby to, dlaczego nieoczekiwanie przyniosła nam karteczkę z napisanym na niej adresem, podczas gdy kilka minut wcześniej wydawała się taka nieżyczliwa. Próbowałam siebie przekonać, że się nas pozbyła, bo zawracaliśmy jej głowę, a przynajmniej tak się wydawało. Ale przecież przestrzegła nas, że nie wolno nam jechać do Poczdamu. Skoro tak, to dlaczego podała nam adres? Na trasie śledził nas ktoś siedzący w helikopterze. Może wtedy władze podejrzewały, że jesteśmy szpiegami i że cała opowieść o mojej rodzinie jest po prostu wymysłem służącym jako pretekst, aby dostać się do archiwum? Ken powiedział wówczas, że nie ufa ministrowi i nie wierzy w jego obietnice. Ale nie mogłam się zgodzić z tym, że minister od początku wciąga nas w pułapkę. Nadal uważałam, że szczerze pragnął nam pomóc, bo bardzo chciałam, aby była to prawda. Ale czy była?

Z pewnością od początku pobytu władze pozwoliły nam zobaczyć na tyle dużo dokumentów, żebyśmy desperacko

pragnęli ujrzeć jeszcze więcej, zanim przedstawiły Kenowi ofertę szpiegowania; chwila, w której dowiedziały się, jak bardzo zależy mi na kopiach części akt, była idealna do jej złożenia. Jeśli podsłuchiowano nas w hotelu, to bez wątpienia wiedziano, jak bardzo pragnę zakończyć poszukiwania i jak bardzo Ken chce się poświęcić, żeby mi pomóc otrzymać to, co chcę. Czekano do ostatniej chwili, aby zatrzaskać pułapkę. Ale teraz snucie owych domysłów nie miało sensu. Naszym priorytetem musiało być dostanie się na Zachód.

Tym razem granica, do której zmierzaliśmy, znajdowała się poza Berlinem, w Drewitz. Gdy zbliżyliśmy się tam wśród innych samochodów, wschodniemiecki funkcjonariusz straży granicznej pomachał na nas i kazał nam się zatrzymać. Wyglądało na to, że się nas spodziewał. Poczulałam przyspieszone bicie serca i zaczęłam oddychać głęboko, by zachować spokój.

- *Aussteigen!* (Wysiadać) - ryknął wściekle.

Zrobiliśmy, co kazał, i kilku, funkcjonariuszy zaczęło przeszukiwać nasz samochód tak metodycznie, jakby wykonywali rutynową, doskonale opanowaną czynność. Nie odzywali się do nas słowem, tak iż równie dobrze moglibyśmy być niewidzialni lub co najmniej nie zasługiwać na ich uwagę. Ten, który kazał nam zjechać na pobocze, stał przy nas z kamienną twarzą. Może miał nadzieję, że się złamiemy i przyznamy do kradzieży czegoś z archiwum lub damy znak, iż są bliscy znalezienia rzeczy, których szukają w naszym samochodzie? Serce wciąż biło mi zbyt mocno, ale nie z powodu nieczystego sumienia, bo nie przewoziliśmy przez granicę nawet obiecane nam przez Victora sala-

mi, lecz ze strachu, że znajdą coś, o czym nie mamy pojęcia. W takiej sytuacji, w jakiej my znajdowaliśmy się w NRD, nigdy nie było wiadomo, co ktoś może nam podrzucić. Żołnierze wydawali się absolutnie pewni, że próbujemy coś ukryć, jakby ktoś udzielił im poufnych informacji, ale my nie wiedzieliśmy o niczym.

Co będzie, jeśli władze NRD postanowiły zatrzymać nas w tym kraju? Wydawało się całkiem możliwe, że jacyś ludzie podrzucili do naszego samochodu wartościowy dokument z archiwum. Mieli mnóstwo czasu na zrobienie czegoś, co chcieli, kiedy byliśmy zajęci w czytelni lekturą, a potem popijaliśmy z *Frau Steglitz* herbatę. Może temu służyła ta farsa z zaproszeniem nas na pogawędkę, gwarantująca, że nie pójdziemy od razu do samochodu i że będą mieli czas, aby ukryć w nim coś, z powodu czego zechcą nas aresztować? Kręciło mi się w głowie, gdy próbowałam się domyślić, co się stanie. Jeśli aresztują nas za szpiegostwo lub za kradzież czegokolwiek, to od razu zostaniemy zamknięci w więzieniu i nie będziemy mieli żadnej możliwości udowodnienia, że jesteśmy niewinni. Nie pomoże nam też nikt z Zachodu.

Być może jednak, powiedziałam sobie, nikt nie uknuł przeciwko nam żadnego spisku. Może po prostu ktoś się obawiał, że będziemy próbowali przesznułować jakieś papiery z archiwum, skoro wiadomo, jak bardzo mi na nich zależy. Prawdopodobnie *Frau Steglitz* zatelefonowała na granicę i zwróciła się do funkcjonariuszy o przeszukanie nas na wszelki wypadek. Z chwilą, kiedy stwierdzą, że niczego nie przewozimy, będą musieli nam pozwolić przejechać. Po prostu do zakończenia kontroli należy zachować

zimną krew. Zerknęłam na Kena. Był blady, ale zdołał zachować pozory, że traktuje to wszystko absolutnie beznamiętnie.

Skończywszy przeszukiwanie samochodu, funkcjonariusze skierowali uwagę na nas, najwyraźniej uspokojeni, że niczego nie znaleźli.

- Otworzyć torebkę - rozkazał mi jeden z nich. Gdy to zrobiłam i podałam mu ją, niedbale przeszukał zawartość, wyjął schowane tam zdjęcie i spytał: - Kto to?

- To stare zdjęcie mojej matki - rzuciłam mu w twarz, oburzona jego niegrzecznym zachowaniem i naruszeniem mojej prywatności. Zaczęłam odzyskiwać pewność siebie.

Zadowoleni, że niczego nie ukradliśmy, z wyraźną niechęcią kazali nam wsiąść do samochodu i odjechać. Spojrzeliśmy na siebie z ulgą, wolno oddalając się od tego miejsca. Wydawało się, że jesteśmy już bezpieczni, przynajmniej chwilowo. Wciąż jeszcze miałam przed sobą długą drogę w moich poszukiwaniach, ale gdy przejeżdżaliśmy obok zachodnioniemieckiej straży granicznej, ogarnęła mnie dziwna euforia na myśl, jak wiele zdołaliśmy osiągnąć w ostatnich tygodniach w obliczu wszelkich stawianych na naszej drodze przeszkód.

Następnego dnia, po długim nocnym śnie, odlecieliśmy do Anglii, podekscytowani na myśl, że wkrótce opowiemy o wszystkim naszym synom. Gdy w końcu przekroczyliśmy próg domu w Highgate, poczułam, jak dobrze jest być u siebie, bez względu na to, jak bardzo chciałam przebywać w czytelni w Merseburgu, dopóki nie wyciągnę z tamtejszego archiwum każdej możliwej informacji. Teraz musiałam tylko cierpliwie czekać na przysłanie mikrofilmów.

Miałam już za sobą czekanie na list od ministra i wiedziałam, jakie to denerwujące, ale było to o wiele lepsze niż siedzenie we wschodnioniemieckim więzieniu. Uważałam, że w końcu zbliżyłam się do rozwikłania zagadki pochodzenia Anny. Przyrzekłam sobie, że nigdy o niej nie zapomnę, i czułam się podniesiona na duchu na myśl o tym, że aby tego dowieść, uczyniłam tak wiele. Staralam się przez jakiś czas nie myśleć o Emilie, Auguście i Charlotte i zająć umysł innymi sprawami, ale okazało się to niemożliwe. Osiągnęłam wielką determinację w poszukiwaniu prawdy o nich i czułam, że jeśli nie przyślą mi z NRD zamówionych mikrofilmów, muszę znaleźć inny sposób, by znaleźć odpowiedź na nurtujące mnie pytania.

Enerdowski blef

Po dziesięciu dniach oczekiwania na przesyłkę z Merseburga i udawania, że nic się nie stało, gdy kolejnego ranka czy popołudnia nie pojawiała się ona w naszym domu, otrzymałam list z archiwum, tak jak wcześniej list od ministra z zezwoleniem na przyjazd do NRD. Z trwogą podniosłam z wycieraczki kopertę, zerkając na nią ukradkowo w nadziei, że w środku mogą być mikrofiszki, ale straciłam złudzenia co do tego, zanim jeszcze zajrzałam do środka. Gdy ostrożnie otwierałam kopertę, nie chcąc uszkodzić zawartości, i wyjmowałam list, a następnie czytałam go na głos, cały czas stał obok mnie Ken.

*Zamówione przez Panią mikrofiszki dwustu siedemdziesięciu pięciu dokumentów są już gotowe.
Zostaną wysłane Pani natychmiast*

po otrzymaniu przez nas dokumentów z Waszyngtonu.

W środku nie było faktury za moje *zlecenie*. Nie wiedziałam, czy śmiać się z ich żalosnej próby zwerbowania Kena do tej *mission impossible*, czy też płakać z powodu rozczarowania kolejnym opóźnieniem w rozwiązaniu zagadki losów moich przodków. Niemcy z NRD postanowili chyba zignorować odmowę Kena wyjazdu w roli szpiega tego kraju z tajną misją do Waszyngtonu i działać tak, jakby mój mąż miał do tej misji przystąpić. Być może uważali, że nie potrafimy się oprzeć ich ofercie przekazania nam informacji w zamian za wykonanie zadania, które chcieli mu powierzyć, i z chwilą gdy te informacje otrzymamy, zdobędą nad Kenem władzę: każą mu robić wszystko, co zechcą.

- To może oznaczać katastrofę - stwierdziłam po namyśle, uświadomiwszy sobie, jak sprawa jest poważna. - Próbują schwytać nas w pułapkę, Ken. Musimy donieść o tym władzom. Powinniśmy natychmiast udać się do Ministerstwa Spraw Zagranicznych i wyjaśnić, co się stało.

W tamtych czasach władze traktowały bardzo poważnie zagrożenie, jakie stanowił komunizm dla zachodniego stylu życia. Związek Radziecki postrzegano jako supermocarstwo i nikt sobie nie wyobrażał, że za piętnaście lat cała ta fasadowa potęga rozpadnie się w proch. W gazetach ciągle ukazywały się artykuły o mordowanych na całym świecie agentach, a bestsellerowe powieści szpiegowskie Johna le Carre uchodziły za wierne przedstawienie ówczesnej działalności agenturalnej. Nasz powrót do Londynu nie

oznaczał, że znaleźliśmy się poza zasięgiem wywiadu NRD, jeśli jego przedstawiciele postanowiliby tu nas odszukać.

Wówczas zachodnie rządy traktowały wywiady państw Europy Wschodniej znacznie poważniej niż obecnie. Komunistów postrzegały tak samo, jak teraz postrzegają terrorystów. Bez kłopotu nakłoniliśmy więc osobę w ministerstwie, która odebrała nasz telefon, do bezzwłocznego spotkania. Umówiła się z nami w Whitehall następnego dnia rano. Mężczyzna, który nas przyjął, górował nad nami wzrostem niczym wieża. Po raz pierwszy w życiu widziałam kogoś o tak wielkich stopach i tak długich palcach u rąk. Mógł mieć około czterdziestu pięciu lat. Przedstawił się jako James Howard. - Jestem „szefem wydziału” - oznajmił, gdy usiedliśmy w jego gabinecie. - Czym mogę państwu służyć?

Zrelacjonowałam mu naszą historię najlepiej, jak potrafiłam. Miałam mu tyle do przekazania, ale przez cały czas zastanawiałam się, czy to, co mówię, brzmi wiarygodnie. Słuchał mnie z uwagą, odruchowo stukając ołówkiem w blat biurka, gdy wniesiono herbatę.

- Są bardzo niesforni - skomentował, gdy skończyłam i wyjęłam z torebki otrzymany poprzedniego dnia z NRD list, a wcześniej pokręcił tylko głową, kiedy doszłam do punktu kulminacyjnego opowieści.

W moim odczuciu słowa te pasowały bardziej do uczniów przyłapanych na paleniu papierosów za szopą na rowery niż do funkcjonariuszy wschodnioniemieckiej straży granicznej.

- Tak nie można się zachowywać - ciągnął. - Znaleźliście się w niebezpieczeństwie i w beznadziejnej sytuacji.

Jak wiecie, nie utrzymujemy z NRD stosunków dyplomatycznych, musimy więc być delikatni w kontaktach z tym państwem. Czy nadal potrzebuje pani tych dokumentów i chce pani utrzymywać relacje z osobami z archiwum w Merseburgu?

- O tak - potwierdziłam skwapliwie. - Bardzo chcę. Naprawdę potrzebuję tych dokumentów i muszę mieć możliwość prowadzenia rozmowy z *Herr Waltmannem* przez telefon, ilekroć będę chciała coś sprawdzić. Jeśli stracę do nich dostęp, będzie to dla mnie oznaczało kompletną katastrofę.

Ze zrozumieniem skinął głową.

- Proszę zostawić to nam. I proszę się nie niepokoić. Załatwimy to pani - zapewnił.

Gorąco podziękowaliśmy wielkiemu szefowi siatki szpiegowskiej i wyszliśmy.

- Ken, jestem pod wrażeniem - oznajmiłam na dworze. - Czy powinnam? Jak oni mogą to załatwić? Wschodni Niemcy nie są w żaden sposób zobligowani do udzielenia mi pomocy. Mogą nawet zaprzeczyć istnieniu jakichkolwiek dokumentów, nieprawdaż?

- Ci ludzie dobrze wiedzą, co robić, Evi - zapewnił mnie mąż.

- Ale przecież nie utrzymujemy z NRD stosunków dyplomatycznych.

- Musimy czekać i pozwolić im działać - powiedział na to. - Rozpoczęła się znowu gra na przetrzymanie.

Z ulgą przyjąłm zaangażowanie w moją sprawę Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Czułam się całkowicie bezbronna, gdy byliśmy na wschodzie Niemiec, zasadniczo

zdani tylko na siebie. W Londynie natomiast nie chciałam przez cały czas oglądać się przez ramię. Teraz czułam, że zdobyliśmy jakąś ochronę, choć nie wiedziałam, w jaki sposób Foreign Office zdoła osiągnąć taki skutek, skoro Anglia i NRD nie utrzymują stosunków dyplomatycznych. Miałam przykre przeświadczenie, że już nigdy nie usłyszę głosu *Frau Steglitz* i *Herr Waltmanna* i moje poszukiwania mogą się nagle skończyć.

Wróciliśmy do domu, nie wiedzieliśmy, co się wydarzy, i codziennie rano gorliwie sprawdzaliśmy pocztę, za każdym razem przeżywając zawód. Po trzech tygodniach nadszedł jednak list ze znaczkiem NRD. Otworzyłam go i wstrzymałam oddech. List był krótki i konkretny, a w kopercie znajdowała się także faktura na około trzysta funtów. Czytałam ten list w kółko, wciąż się upewniając, że rozumiem jego treść.

Po otrzymaniu zapłaty prześlemy Pani dokumenty.

- Ken! Ken! Udało się! - zawołałam. - Nasz człowiek w ministerstwie to istny czarodziej! Pobiełam poszukać męża i podekscytowana wymachiwałam listem. W końcu wpadłam na Timothy'ego i uścisnęłam go serdecznie.

- Ministerstwo jakoś to załatwiło! - oznajmiłam synowi, podrygując z radości.

W tamtych czasach trzysta funtów to było mnóstwo pieniędzy, ale jeśli mogłam mieć za nie te dokumenty, to warto było wydać każdy grosz. Aby wysłać pieniądze do NRD,

musieliśmy się udać do naszego banku i wydać specjalną dyspozycję. Jeszcze tego samego dnia pojechaliśmy do jego siedziby w Hampstead. Wieczorem rozmawialiśmy tylko o tym, zastanawiając się, czy straciliśmy te pieniądze, gdyż nie byłoby sposobu odzyskania ich, gdyby dyrekcja archiwum oznajmiła, że nie otrzymała zapłaty.

Po raz kolejny jednak los nam sprzyjał. Zgodnie z obietnicą po dziesięciu dniach ze skrzynki pocztowej wypadła na podłogę w przedpokoju koperta z mikrofiszkami zawierającymi dwieście siedemdziesiąt pięć dokumentów, które wybraliśmy w archiwum w Merseburgu. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki wszystko, co miałam nadzieję otrzymać i o co się modliłam, leżało dosłownie na progu naszego domu. Z tej okazji wybraliśmy się do miasta i zamówiliśmy butelkę szampana, by to uczcić. Przepęłniał mnie entuzjazm. Teraz mogłam analizować te papiery, jak długo chciałam, poszukując odpowiedzi na nurtujące mnie pytania. Mogłam też pokazać różne dokumenty historykom i ekspertom, których poznałam na Zachodzie, od kiedy podjęłam poszukiwania. Co najważniejsze, mikrofiszki zachęcały mnie do szybkiej pracy i uczyniły jeszcze bardziej zdeterminowaną do tropienia brakującego elementu układanki. Byłam pewna, że cokolwiek przydarzyło się Emilie i Charlotte po tym, jak król nie pozwolił zachować mojej praprababce po śmierci prapradziadka tytułu „Frau”, pomoże mi to wyjaśnić, dlaczego babunię Annę spotkał taki, a nie inny los.

W następnych latach chwile, kiedy nie myślałam o Augustcie, Emilie, Charlotte i Annie, należały do rzadkości. Rozważałam wszelkie możliwości i brałam pod uwagę rozmaite teorie i spekulacje, starając się połączyć domysły z podstawowymi faktami historycznymi, które dotychczas udało mi się poskładać na podstawie różnych okruchów informacji. Zawsze interesowałam się przeszłością mojej rodziny, ale się nie spodziewałam, że tak bardzo pochłonie mnie poszukiwanie prawdy. W czasie gdy oczekiwałam na mikrofiszki, nawiązywałam wszędzie gdzie mogłam kontakty, dzwoniąc i pisząc do muzeów, archiwów, antykwariatów i do wszystkich innych instytucji oraz osób, które mogły posiadać w swych papierach dokumenty zdolne rzu-

cić światło na tajemniczą przeszłość moich przodków. Niestety, wszystkie te tropy, podobnie jak wcześniejsze, utykały w martwym punkcie, choć udało mi się zarazić wiele spośród nowo poznanych osób swoją pasją i w wysiłkach, żeby mi pomóc, daleko wykraczały one poza swoje obowiązki. Myślałam o mojej babuni Annie, bo to z jej powodu podjęłam tę niesamowitą wyprawę w przeszłość. Jakie to było inteligentne posunięcie, jakie bezinteresowne i typowe dla niej, gdy w 1932 roku, przed wyjazdem z Berlina do Czechosłowacji, przekazała notatnik mojemu ojcu, bo tylko dzięki temu ów dokument historyczny trafił w końcu w moje ręce. Jak dotychczas, udało mi się znaleźć sposób radzenia sobie z piętrzącą trudności wschodnioniemiecką biurokracją i postąpić wbrew życzeniom wszechpotężnego pruskiego króla panującego w XIX wieku, aby mogła dotrzeć do faktów, które wszyscy chcieli ukryć. Nie zamierzałam więc teraz się poddać, bez względu na to, ile nowych przeszkód znajdowałam na swojej drodze czy też jak bardzo czułam się czasami zniechęcona. - Chcę tylko poznać prawdę - odpowiadałam Kenowi, gdy twierdził, że poświęcam tym poszukiwaniom za dużo czasu.

Nadal jednak nie było dla mnie jasne, co się stało z Emilie po śmierci Augusta, i nigdzie nie odnalazłam śladu istnienia ich córki Charlotte. Musiałam się dowiedzieć, jak to się stało, że moja babcia Anna, która była wnuczką księcia pruskiego, mogła umrzeć jako Żydówka, skoro jej babcia, co w końcu wyszło na jaw, była polską arystokratką,

a matka - córką tej pary. Jak mogła być Żydówką, skoro nie była nią ani jej matka, ani babcia? Chciałam tylko poznać odpowiedź na to pytanie, nie pragnąc zmienić swojego statusu społecznego czy wzbogacić się dzięki odkryciu tajemnic z przeszłości mojej rodziny.

Posunęliśmy się w naszych poszukiwaniach daleko, ale odnalezienie tego ostatniego elementu układanki okazało się zmusną walką z przeciwnościami losu. Nie wiedziałam, dokąd się udać i co zrobić, żeby znaleźć odpowiedzi na wyżej wymienione pytania. Zdawałam sobie sprawę z tego, że powrót do archiwum do Merseburga nie wchodzi w grę. Może to z powodu tych trudności moi rodzice przestrzegli mnie przed podejmowaniem próby dowiedzenia się czegokolwiek? Może mieli świadomość, że gdy już rozpocznę poszukiwania, zbyt mocno się w nie zaangażuję i na końcu poznam gorycz zawodu? Z pewnością to ostatnie nie wchodziło w grę, bo w archiwum odnalazłam informacje na temat Emilie i jej życia z Augustem. Desperacko pragnęłam tylko znaleźć ostatni element układanki.

Po powrocie do Anglii wystąpiłam o pozwolenie prowadzenia poszukiwań w prywatnym archiwum królowej w zamku Windsor i łaskawie dano mi do niego nieograniczony dostęp. W archiwum tym odkryłam, że August był przyjacielem księcia Wellingtona, zwanego Żelaznym Księciem, i znalazłam zbiór listów księżniczki Charlotte, najmłodszej córki księcia regenta, syna Jerzego III, wydany w 1949 roku przez profesora Arthura Aspinalla. Księżniczka pisała o tym, jak w 1814 roku August został wraz

z królem Fryderykiem Wilhelmem III zaproszony do Londynu na uroczystości z okazji zwycięstwa nad Napoleonem, zorganizowane rok po tym, jak księżę pokonał cesarza Francuzów w Lipsku. Obaj nie zdawali sobie chyba sprawy, że gdy świętowali, Napoleon już obmyślał plan ucieczki z internowania na Elbie.

W dokumentach z tego okresu można przeczytać, jak Brytyjczycy szanowali księcia Augusta za męstwo i za doprowadzenie - w roli głównego inspektora artylerii w armii pruskiej - do upadku Napoleona. W listach od Wellingtona do Augusta, które odnalazłam w Southampton University, angielski księżę zachwyca się wiernością, jaką ten potrafił zaskarbić sobie u swoich żołnierzy, i pyta go, jak zdołał to osiągnąć. Niestety, nie udało mi się natrafić na odpowiedź Augusta, ale jego troska i dbałość o nich jest dobrze udokumentowana. Odpłacali mu za to dozgonną wiernością. Ilekroć wyruszał do walki, zawsze stał na ich czele, zajmując miejsce na linii ognia. Był postacią heroiczną w każdym sensie tego słowa, typem dowódcy, który zagrzewa innych do dokonywania wielkich czynów. W drodze na pogrzeb cara Rosji, po zakończeniu wojen napoleońskich, Żelazny Księżę odwiedził Berlin, żeby spotkać się tam właśnie z księciem Augustem.

Podczas pobytu w Londynie trzydziestosześcioletni wówczas August wziął udział w wielkiej paradzie zorganizowanej w celu uczczenia zwycięstwa nad Napoleonem i powrotu francuskiej rodziny królewskiej z Londynu do Paryża, skąd uciekła ona w okresie rewolucji. Wraz z innymi oddał także honory wojskowe carowi Rosji w Hyde Parku. Był ubrany wspaniale, jak zwykle w takich sytuacjach,

i zwrócił uwagę księżniczki Charlotte, wówczas osiemnastoletniej następczyni tronu po księciu regencie. W jednym z listów napisała, że bez dwóch zdań wyglądał najbardziej imponująco spośród dowódców, którzy licznie wówczas zebrali się w Londynie, aby uczcić chwałę wielkiego zwycięstwa. W razie śmierci swego ojca, księcia regenta, następczyni tronu nie miała prawa zakochać się, w kim chciała. Ojciec, który mógł nakazać jej niemal wszystko, chciał, żeby poślubiła Wilhelma Orańskiego, następcę tronu Holandii. Charlotte nie była tym wyborem uszczęśliwiona. Otaczany czcią pruski książę znacznie bardziej odpowiadał jej ideałowi mężczyzny. Na oficjalnym obiedzie wydanym przez księcia regenta w Carlton House postanowiła wywrzeć wrażenie na wytwornym pruskim bohaterze wojennym i wystąpiła, jak to zostało opisane w przekazach historycznych, w „skrzęcej się” sukni. August, co nie zaskakuje, nie był w stanie oprzeć się pokusie, i między nim i Charlotte miał wówczas miejsce krótki potajemny romans. Księżniczka mieszkała w Warwick House, tuż obok Carlton House. Oboje dyskretnie wymknęli się więc z sali jadalnej pałacu ojca Charlotte i spotkali się na schadzce w buduarze rezydencji księżniczki. W tym okresie August żył w separacji ze swoją pierwszą żoną i nawet przyrzekł Charlotte, że możliwie jak najszybciej ją poślubi, gdyż połączyła ich wielka namiętność. Czytając ich prywatną korespondencję, nie miałam co do tego wątpliwości, że zadurzyli się w sobie.

Odkryłam, że gdy ojciec Charlotte, książę regent, dowiedział się o tym romansie, August musiał natychmiast

wyjechać z Anglii, aby nie doszło do skandalu. Mój pra-pradziadek powrócił więc do Berlina, gdzie król wyznaczył go na swego negocjatora na kongresie wiedeńskim. Spotkali się tam różni monarchowie i dyplomaci europejscy w celu uzgodnienia przebiegu granic w Europie - gdy nagle Napoleon wylądował w Golfe Juan, uciekły z Elby. W tym czasie Charlotte napisała do Augusta, że jest pewna jego przyjazdu do Anglii i wystąpienia do parlamentu brytyjskiego o wyrażenie zgody na ich małżeństwo. Książę nie miał w Wiedniu oficjalnych obowiązków, uczestniczył więc w niekończących się balach i innych uroczystościach i nie spieszył się do Londynu, choć zapewne przyrzekł Charlotte szybki powrót, a nie spieszył się prawdopodobnie dlatego, że książę regent wyraził dezaprobatę dla tego związku. August złamał serce angielskiej księżniczce, bo nigdy więcej nie zjawiał się już w Londynie.

Brytyjski establishment musiał uważać Charlotte za nieodpowiedzialną i lekkomyślną, gdyż niewzruszony ojciec zamknął ją w areszcie domowym, dopóki nie wyrzekła się wszelkiej nadziei na poślubienie Augusta i nie zgodziła się na małżeństwo uważane za korzystne dla rodziny królewskiej. Nie minęło dużo czasu i Charlotte wyszła za mąż za księcia Leopolda Sachsen-Coburga, rosyjskiego generała, który później został królem Belgów. Wydaje się nieprawdopodobne, żeby łączyła ich miłość. Wkrótce potem księżniczka umarła, jakby jej historia nie była wystarczająco smutna, wydawszy na świat martwe dziecko. W tamtych czasach życie bywało trudne nawet dla najlepiej urodzonych i uprzywilejowanych kobiet. Im

więcej czytałam, tym lepiej sobie wyobrażałam mojego zawadiackiego i słynnego prapradziadka i tym silniejsze odczuwałam współczucie dla wielu kobiet w naszej rodzinie, które były zmuszone żyć w jego cieniu, a zwłaszcza dla Emilie.

Odwiedziny u Augusta

Teraz czułam się tak samo zniewolona przez Augusta jak kobiety, które go znały. Fascynowało mnie wszystko, co go dotyczyło, i zawsze byłam spragniona nowych informacji na temat jego życia.

Chciałam odwiedzić miejsce jego urodzenia, czyli letni pałac jego ojca we Friedrichsfelde.

Przeczytałam w archiwach, jak zwykły dla tego miejsca spokój został zburzony 26 września 1779 roku przez chrzciny syna księcia Augusta Ferdynanda i jego żony księżnej Anny Elżbiety Luizy von Brandenburg-Schwedt, i zapragnęłam to miejsce zobaczyć.

Mimo że książę August był siódmym dzieckiem tej pary, ale nie umniejszało to rangi wydarzenia narodzin potomka. Jego ojciec, książę August Ferdynand, był młodszym bratem króla Fryderyka Wilhelma II, a matka kuzynką tego króla. Na chrzciny Augusta przybył z pałacu Sans-Souci

w Poczdamie Jego Królewska Mość Fryderyk II, w tym czasie najslawniejszy bodaj monarcha Europy, lepiej znany jako Fryderyk Wielki. Później August stał się jego ulubionym bratankiem, który jeździł staromodnym, ozdobionym srebrem powozem stryja, zaprzężonym w osiem koni. Fryderyk II zjawił się na chrzcinach bratanka jako ostatni i pozostali członkowie rodziny królewskiej już na niego czekali, włącznie z królową, która była mu wierna przez całe życie, tyle że prawie go nie widywała, oraz młodą żoną rosyjskiego następcy tronu, kuzynką dumnej matki Augusta. Tylu zgromadzonych w jednym miejscu potężnych Europejczyków, bogatych i utytułowanych, musiało przedstawiać sobą wspaniały widok, a wielu spośród nich łączyły dobrze rokujące małżeństwa i różnego rodzaju więzi rodzinne. Rozpoczęła się ceremonia i formalnie zaprezentowano królowi najmłodszego potomka rodziny, czyli jego bratanka. August spędził w tym pałacu pięć lat, dopóki rodzina nie przeniosła się do nowo wybudowanego pałacu Bellevue.

Byłam ciekawa, jak wygląda miejsce, w którym ukształtowała się osobowość księcia. Ostatecznie dotarłam do tego pałacu w 1985 roku, ponad dwieście lat od wyprowadzenia się stąd mojego prapradziadka. Lata poszukiwań sprawiły, że przybyłam uzbrojona w olbrzymią wiedzę o życiu tego, który został tu ochrzczony i wychowywał się przez pierwszych pięć lat życia. W 1985 roku obawy związane z zimną wojną zaczęły się zmniejszać, choć we mnie i w Kenie myśl o powrocie do NRD wciąż budziła lęk. Ponadto z tym powrotem łączyło się niebezpieczeństwo, że odżyje sprawa związana z ofertą szpiegowania, którą kie-

dyś Kenowi złożono, choć od czasu naszego pobytu w Merseburgu minęło już dwanaście lat. Było to jednak tak dawno temu, że teraz powinniśmy się czuć w NRD bezpiecznie, a poza tym wszystko zdarzyło się w szczytowym okresie zimnej wojny, tłumaczyliśmy sobie. Uważaliśmy, że podejmujemy praktyczną decyzję, i odsunęliśmy od siebie wszelkie złe myśli.

Tym razem pojechaliśmy miejską kolejką S-Bahn, która dowiozła nas na Friedrichstrasse, stację znajdującą się na granicy Zachodu i Wschodu. Gdy wysiedliśmy, spotkaliśmy, jak przed laty, funkcjonariuszy straży granicznej. Poprzednie doświadczenia związane z przekraczaniem granicy NRD odcisnęły piętno na mojej psychice i nie potrafiłam zapanować nad nerwami, choć obecnie stosunki między Wschodem i Zachodem wyglądały zupełnie inaczej niż w 1973 roku. Słyszeliśmy, że nastąpiła odwilż, a w związku z tym powinniśmy się czuć na Wschodzie bardziej niż kiedyś bezpiecznie. Niemniej jednak przykre wspomnienia nadal nas prześladowały i musiałam bardzo się starać, aby nie pokazać, że funkcjonariusze ci budzą we mnie silny lęk swymi wciąż gniewnymi głosami i zimnymi spojrzeniami znanymi nam sprzed dwunastu lat. Wypełnialiśmy ich rozkazy, nie zadając żadnych pytań.

Przesłuchujący kazał mi wejść wraz z nim do pokoju, a Kenowi zostać na zewnątrz. Nigdy nie lubiłam, jak los nas rozdzielał, ale nie chciałam teraz sprawiać nam kłopotów i nie zaprotestowałam. Ku mojemu przerażeniu usłyszałam, że przesłuchujący przekręca klucz w zamku, gdy tylko tam weszłam. I taki miał być rezultat politycznej odwilży? Dlaczego uważali, że muszą mnie zamknąć na czas

przesłuchania, o ile oczywiście nie robili tego po prostu po to, aby mnie zastraszyć? Usiadłam, jak mi rozkazano, zmuszając się do zachowania spokoju, i odpowiadałam na zadawane pytania najuprzejmiej, jak potrafiłam, choć wydawało mi się, że przesłuchanie trwa bardzo długo. Funkcjonariusz chciał wiedzieć wszystko o moim życiu, zadając mi dociekliwe i natarczywe pytania o moje plany dotyczące spędzenia tego dnia w NRD. Najbardziej obawiałam się tego, że skontaktował się z kimś, kto wiedział, iż Ken odrzucił ofertę szpiegowania na rzecz NRD złożoną mu, gdy byliśmy tu poprzednim razem, i że znajdujemy się oboje na jakiejś liście. Starłam się stłumić lęki, ale przesłuchujący nie ustawał w wysiłkach, aby mnie wypytać o różne rzeczy, może więc już wszystko o nas wiedział? Nie mogłam okiełznać wyobraźni i byłam przygotowana na to, że w każdej chwili zacznie mnie o coś oskarżać. Ostatecznie odniosłam wrażenie, że się wycofuje i chyba w ogóle nie nawiązał do naszych wcześniejszych przyjazdów do Niemiec.

Zostałam wyprowadzona z pokoju drugimi drzwiami, a moje miejsce zajął Ken. Po dwudziestu pięciu minutach zwolniono go i powiedziano nam, że możemy kontynuować podróż. Gdy wsiedliśmy do U-Bahnu, berlińskiego metra, aby dotrzeć nim do Friedrichsfelde - celu naszej podróży znajdującego się pod Berlinem - Ken uznał, że wbrew wszystkiemu, co wydarzyło się ostatnio w stosunkach Wschód-Zachód, polityka władz NRD nadal polega na zastraszaniu ludzi i budzeniu w nich różnych obaw.

Udaliśmy się długą drogą dojazdową do pałacu, w którym urodził się August. Gdy tam szliśmy, wyobrażałam sobie jadącego tą samą drogą, w zdobionym srebrem

powozie, Fryderyka II, który spieszył na chrzciny bratanka. Nie mieliśmy pojęcia, co zastaniemy w pałacu. Przed nami podążał mężczyzna z małym synkiem.

- Kto tam mieszka, tato? - spytał chłopiec, wskazując dłonią wysoki mur oddzielający dawny dom Augusta od następnego budynku.

- Sami idioci, mój synu - odpowiedział ojciec pogardliwym tonem. - Idioci mieszkają w tym miejscu. Dowiedzieliśmy się później, że w NRD zamieniono sąsiadujący z pałacem budynek w szpital psychiatryczny.

Gdy w końcu władze tego kraju zdały sobie sprawę, że pałac jest interesujący ze względów historycznych, zaczęły organizować do niego wycieczki i umożliwiły grupowe zwiedzanie go z przewodnikiem. Dołączyliśmy więc, jak należało, do jednej z takich grup. Przewodniczka opowiadała o historii tego miejsca, ufna w swą wiedzę na jego temat, ale gdy wymieniła licznych wcześniejszych użytkowników pałacu, nie było wśród nich Augusta ani nikogo z jego rodziny. Czyżby, kierując się oficjalnym poleceniem, zdeformowała historię tego miejsca? A może naprawdę nie wiedziała, że ta rodzina tu kiedyś mieszkała? Nie potrafiłam rozstrzygnąć w swoim umyśle, jaka jest prawda. Milczałam, dopóki nie weszliśmy na pierwsze piętro.

- Gdzie miał gabinet księżę Ferdynand August, brat Fryderyka II? - spytałam wówczas niewinnie. - I w której komnacie urodził się księżę August?

Biedna kobieta wyglądała na spanikowaną z powodu tych nieoczekiwanych pytań, ale po chwili postanowiła się przyznać do przemilczenia tych faktów, bo co miała zrobić?

- Tak, oczywiście - zaczęła. - Mieszkał tu również August i jego rodzina.

Po tych słowach szybko ruszyła do następnej sali, zanim zdążyłam ją spytać, dlaczego nie uważa tych faktów za na tyle ważne, aby je wymieniać podczas oprowadzania zwiedzających po pałacu.

Przybyliśmy tu z Anglii, aby zobaczyć pierwszy dom, w którym mieszkał August z rodzicami i rodzeństwem, a tymczasem okazało się, że wschodnio-niemiecki establishment nadal usuwa księcia w zapomnienie. Wydawało się, że nigdy nie uda się odkryć wszystkich tajemnic dotyczących tego człowieka.

Znacznie później zorientowałam się, że ta sama zmowa milczenia panuje wokół pałacu w Przelewicach, gdzie Emilie spędzała dużo czasu. W pewnym momencie budynek przerobiono na hotel. Mój syn Timothy zadzwonił do właściciela, by się dowiedzieć, czy ten wie coś na temat związków Augusta i Emilie z owym miejscem. Właściciel był podekscytowany, słuchając opowieści o historii naszej rodziny, gdyż wyznał: „część dziejów tego domu stanowi dla nas całkowitą tajemnicę”, i zachęcił Timothy'ego do opowiedzenia mu całej prawdy.

- Istnieje luka w wiedzy na temat tego pałacu w okresie od 1820 do 1845 roku - stwierdził, gdy Timothy skończył opowieść. - Nie ma żadnych akt potwierdzających, że mieszkał tu książę August lub też dotyczących tego, co się tu wówczas działo. Nie rozumiem tego, gdyż zwykle na tym terenie różne zapiski są szczegółowe i dobrze udokumentowane, jeśli tylko nie uległy zniszczeniu podczas bombardowań w czasie wojny, ale w tym wypadku nie o to tu chodzi.

Wracając z pałacu we Friedrichsfelde, uznaliśmy, że w końcu nadszedł czas, abyśmy odwiedzili samego Augusta. Aby to zrobić, musieliśmy się udać do katedry berlińskiej, gdzie spoczywają szczątki królów Prus i wielu innych wysokich rangą członków rodziny Hohenzollernów. Wówczas świątynia ta znajdowała się w Berlinie Wschodnim. Wymagało to od nas zboczenia z trasy i przez całą drogę czułam, jak narastają we mnie emocje. Moje myśli zdominował obraz pogrzebu Augusta, który Emilie mogła tylko oglądać, stojąc na trasie przemarszu konduktu. Podróżowanie po krajach bloku wschodniego wciąż przypominało nam, jakimi jesteśmy szczęśliwcami, że możemy się cieszyć wolnością przyjmowaną przez nas w Anglii za pewnik, w kraju, który przyszedł mojej rodzinie na ratunek, kiedy na początku lat trzydziestych w Niemczech stanęła ona w obliczu katastrofalnej przyszłości.

Katedra była dokładnie taka, jaką ją sobie wyobrażałam, majestatyczna i pięknie zaokrąglona, odpowiednia na miejsce wiecznego spoczynku pruskiej elity. Dowiedzieliśmy się, że ją odrestaurowano, a sarkofagi pruskich królów i członków ich rodzin nadal są wystawione na widok publiczny, jak wiele lat temu.

Stojąc tam, przy trumnie z ciałem człowieka, który wywarł tak wielki wpływ na moje życie, poczułam dreszcz. Minęło czterdzieści pięć lat od chwili, gdy ojciec powiedział mi o notesie Augusta i pozwolił wziąć ów notes do rąk, a teraz znajdowałam się tak blisko zwłok mojego prapra-dziadka i przesuwałam dłonią po, jak mi się wydawało, dębowej trumnie, jakże pięknej. W środku spoczywał człowiek, który był uczestnikiem tylu historycznych wydarzeń

i wywarł wpływ na życie tak wielu osób, w Prusach i w Europie, w jednym z najbardziej burzliwych okresów w jej historii: August, obrońca kraju, który nie uległ nieokiełznanym ambicjom Napoleona, jakie ten miał, jeśli chodzi o podboje. Wydawało się, że to z powodu uważanego za skandal związku z Emilie mojego prapradziadka na ponad sto lat wyrzucono na śmietnik historii. Teraz jednak odkrycie przeze mnie jego życia znaczyło, że historia tego człowieka musi zostać napisana na nowo, aby uwzględniała wydarzenia, które pruski dwór królewski, a następnie komuniści tak pieczołowicie ukryli przed wścibskimi nosami.

Przeczytaliśmy, że August zażyczył sobie trumny „prostej i wykonanej ze zwykłego drewna”, że nie chciał żadnych ekstrawagancji związanych z pogrzebem. Ale wbrew jego woli trumna prezentowała się bardzo okazale. W jej głowach umieszczono na wieku złotą koronę, choć poza tym nie była przesadnie ozdobna czy pretensjonalna, jak te, w których pochowano innych członków rodziny Hohenzollernów. Gdy stałam tak blisko ciała tego człowieka, o którym tyle się dowiedziałam, opanowało mnie silne wzruszenie. Było to jak odwiedziny u drogiego sercu przyjaciela po długiej rozłące.

Sprzymierzeniec w Berlinie

Nie polubiłam dyrektora archiwum w Dahlem w Berlinie Zachodnim, dokąd udałam się na początku swoich poszukiwań w 1973 roku, ale postanowiłam tam wrócić kilka lat później z niektórymi spośród dokumentów, którymi obecnie dysponowałam. Mogłam temu człowiekowi zademonstrować, że znalezienie interesujących mnie materiałów było możliwe, jeśli nawet znajdowały się za żelazną kurtyną, i być może dzięki temu skłonić go do bardziej starannego przeszukania akt w archiwum berlińskim. Ku mojej radości okazało się, że dotychczasowy dyrektor odszedł na emeryturę, a jego miejsce zajął łagodny doktor Eckart Henning, który przyjął moją opowieść o Auguście i Emilie ze zdumieniem i entuzjazmem, na co miałam nadzieję, gdy pokazałam mu, co do tej pory odkryłam.

- Chyba miała pani z nimi romans, że udostępnili pani to wszystko - zażartował, gdy zobaczył kopie niektórych spośród zdobytych przeze mnie w Merseburgu dokumentów. - To niesłychane. Nic nie wiemy o tym, żeby dla kogokolwiek przed panią to zrobili. Czy pani wie, jak wielu Amerykanów nachodzi nas tutaj, próbując udowodnić, że mają jakieś związki rodzinne z królewskim rodem Hohenzollernów? Robią to w nadziei, że podwyższą swój status społeczny, a może nawet zdobędą jakieś pieniądze. W Merseburgu odprawiają ich z kwitkiem, a panią zaprosili do archiwum. Czy wie pani cokolwiek na temat spuścizny po dziadku Augusta, Fryderyku Wilhelmie I?

- Niewiele - odpowiedziałam.

- No cóż, August zgodził się nie pozostawić po sobie żadnych legalnych potomków. Toteż wraz ze śmiercią księcia duża część jego bogactwa powróciła do Korony. Fryderyk Wilhelm I zawarł w testamencie żądanie, aby do spadku otrzymanego przez Augusta mieli prawo tylko ci, którzy pozostawiają po sobie prawowitych potomków. Po tym, jak król zakwestionował ten testament, August zobowiązał się, że nie pozostawi po sobie prawowitych potomków. - Po tych słowach nowy dyrektor archiwum spytał mnie: - Zakładam, że pani wie, iż mamy tu pewne papiery dotyczące rodziny Gottschalków i księcia Augusta? Najwyraźniej zostały ukryte w szufladzie. Nie wiemy przez kogo.

- Nie, nie wiem - odpowiedziałam, jeszcze bardziej zdezorientowana. Zastanawiając się, na ile jeszcze podstępnych zachowań będzie narażona moja rodzina, oznajmiłam: - Pana poprzednik powiedział nam, że w tym archiwum nie ma nic na temat księcia Augusta i z pewnością

nic na temat Gottschalków. Oświadczył nawet, że nigdy nie słyszał tego nazwiska. Dlaczego tak powiedział, skoro nie była to prawda?

- Nie mam pojęcia, ale udostępnię pani te papiery - odpowiedział życzliwie. - Proszę pójść ze mną. Zaraz je przyniosą.

Zadzwoił do kogoś i po kilku minutach zaprowadził mnie i Kena do pustego pokoju, w którym na stole leżały interesujące nas papiery.

- To wszystko, co mamy na temat księcia Augusta - poinformował nas i pozostawił samych z dokumentami, na które się rzuciliśmy, jak zwykle złaknieni nowych informacji.

- To nadzwyczajne - powiedziałam po kilku minutach, machając ważnym papierem. - Znowu natrafiamy na Isadore'a Gottschalka, krawca Augusta. Zgodnie z tym, co jest tu napisane, procesował się z Augustem w latach dwudziestych. Jego córka, Friederike Gottschalk, oskarża Augusta o uwiedzenie. Twierdzi, że była u księcia, aby odebrać od niego dług dla swojego kuzyna Goldmana, aktora. Najwyraźniej Ludwik Ferdynand, brat Augusta, pożyczył od Goldmana pieniądze tuż przed swą śmiercią w bitwie pod Saalfeld, w 1806 roku. I Friederike przybyła do pałacu Bellevue do księcia Augusta, żeby oddać dług, który pozostawił jego zmarły brat. Wydaje się, że Isadore Gottschalk został wtrącony do więzienia jako czyjś dłużnik i Friederike Gottschalk potrzebowała pieniędzy, aby zapewnić zwolnienie ojca.

Jeśli ktoś tak dobrze urodzony i bogaty jak Ludwik Ferdynand pożyczał pieniądze od skromnego aktora, sugeruje

to, że ów książę prowadził raczej rozrzutny tryb życia. Broniąc się, August kategorycznie zaprzeczył oskarżeniu córki Gottschalka, że narzucił się jej na tym spotkaniu, i udowodnił, iż następnego dnia przyszła do niego ponownie. Twierdził, że gdy się u niego zjawiała i błagała go, aby honorował dług swego nieżyjącego brata, umożliwiając w ten sposób uwolnienie Gottschalka z więzienia, kazał jej przyjść po pieniądze następnego dnia. Oświadczył, że to wtedy oskarżyła go o uwiedzenie, by wywołać skandal i dzięki temu wyłudzić od niego znacznie więcej pieniędzy, niż wynosił dług jego brata. Jeśli o to chodzi, plan dziewczyny się powiódł, gdyż zgodnie z dokumentami, które leżały teraz przede mną na stole, król rozkazał Augustowi spłacić zaległy dług Ludwika Ferdynanda, a ponadto przekazać Gottschalkom pewną sumę pieniędzy w celu wyciszenia skandalu, choć Friederike nie udowodniła stawianego księciu zarzutu. Biorąc pod uwagę fakt, że August był narażony na tego rodzaju oskarżenia z racji swej pozycji społecznej, a zarazem miał słabość do młodych berlińskich dam, łatwo stawiano mu podobne zarzuty. Toteż córka Gottschalka mogła dostrzec w tym sposobność wyciągnięcia pieniędzy od człowieka dobrze znanego z używania życia.

Friederike Gottschalk urodziła córkę, która, jak twierdziła, była owocem tego domniemanego uwiedzenia, upośledzoną umysłową dziewczynkę imieniem Agnes. August nie chciał uznać tego dziecka bez walki. Jego szpiegzy odkryli, że Friederike Gottschalk w tym samym czasie, gdy dwukrotnie złożyła mu wizytę, często bywała w pobliskich obozach wojskowych i podobno sypiała tam z żołnierzami. Ta historia ucieszyłaby redaktorów dzisiejszych tabloidów.

August nigdy się do niczego nie przyznał, niemniej jednak istniał dowód, że finansowo zabezpieczył Agnes do końca życia. Ale nie byłoby czymś niesłychanym w wypadku księcia, gdyby z dobroci serca pomógł komuś takiemu jak Isadore Gottschalk, nawet jeśli miał czyste sumienie. Odkładając na bok oskarżenia, które rozwścieczyły księcia, powiedzieć trzeba, że było dla niego jasne, iż jego stary krawiec załazł się w poważnych tarapatach finansowych, skoro za długi trafił do więzienia. Wydawało się czymś oczywistym, że Gottschalka nie będzie stać na utrzymywanie kalekiego dziecka córki. Łożąc na wychowanie jego wnuczki, August mógł mu po prostu okazać współczucie. Dowiedziawszy się tego wszystkiego, byłam jeszcze bardziej zbита z tropu. Jeśli Gottschalkowie tak rozgniewali się na Augusta, że wysunęli przeciwko niemu tego rodzaju oskarżenia, to jak to się stało, iż córka Emilie otrzymała ich nazwisko? Znajdowaliśmy coraz to więcej elementów układanki, ale nadal do siebie nie pasowały i nie tworzyły spójnego obrazu wydarzeń.

Pomimo pomocy udzielonej nam przez doktora Henninga nadal nie wiedzieliśmy nic o Charlotte, a relacje między księciem i rodziną jego krawca wydawały się znacznie bardziej skomplikowane, niż to sobie wyobrażaliśmy. Czasami mieliśmy poczucie, że ilekroć robimy krok do przodu, cofamy się o dwa. Z każdą nową informacją rosły mi skrzydła, a następnie jakieś inne wydarzenie je podcinało. Gdy byliśmy w Berlinie, zastanawiałam się, gdzie moglibyśmy się dowiedzieć czegoś więcej na temat losu Emilie i Charlotte w 1843 roku, czyli po śmierci Augusta. Był to tak istotny moment dla nich obu, że z determinacją przystąpiłam do poszukiwań. Udaliśmy się więc z Kenem do innego archiwum, aby przejrzeć księgi adresowe Berlina z XIX wieku. Stanowiły one zapowiedź współczesnych książek telefonicznych. Nonszalancko odwracaliśmy stro-

ny, nie bardzo wiedząc, czego szukamy, gdy uderzyło nas jedno nazwisko. Otóż ku mojemu zdumieniu w księdze wymieniano Emilie jako *Frau* (Pani), czyli kobietę zamężną, von Ostrowską, jak przedstawiła się w liście do króla. August odważnie postanowił, że cały świat będzie wiedział o ich małżeństwie.

Taką musiała być znana Emilie i tak się do niej zwracano w okresie ich małżeństwa, jak napisała w liście do króla. Podekscytowana, sprawdziłam następne wydanie książki adresowej, opublikowanej po śmierci Augusta. Owszem, von Ostrowska była w niej wymieniona, ale nastąpiła zmiana. W konsekwencji odpowiedzi Wittgensteina na list Emilie teraz przy jej imieniu widniał tytuł *Fraulein* (Panna). W ten sposób oficjalnie unieważniono jej związek z Augustem. Nowy status Emilie jako niezamężnej kobiety z dzieckiem stał się więc czymś ewidentnym i skutki tego były dla niej przerażające. Ta zmiana nie tylko niosła ze sobą upokorzenie, lecz także znaczyła, że dotychczasowy świat Emilie rozpadł się w pył. Emilie nie miała wyboru - musiała przyjąć wynikające z tego konsekwencje. Życzenie króla zostało spełnione. Pozbawiona statusu żony i wdowy, Emilie z pewnością znalazła się w sytuacji bez wyjścia.

Musiało to nastąpić w tym samym roku, o którym Charlotte powiedziała mojemu ojcu i stryjowi, że wszystko w jej życiu „całkowicie się zmieniło”. Trudno było uwierzyć, że matka dobrowolnie zrzeknie się swojego jedyne dziecko, zwłaszcza że właśnie owdowiała i musiała się czuć bardzo samotna i bezbronna. Czy to znaczyło, że dworski establishment wywarł na Emilie presję, aby pozbyła się córki,

działając tak samo bezdusznie jak wcześniej, kiedy pozbawił ją statusu żony?

Bez względu na powody wydaje się, że tuż po stracie męża, ojca i zaufanego przyjaciela, to znaczy Uhdego, przyjaciela Augusta, Emilie musiała także stracić jedyną córkę, to ostatnie ogniwo łączące ją z ukochanym mężem i partnerem życiowym przez jedenaście lat. Jeśli rzeczywiście tak się stało, to sama myśl o okrucieństwie tego faktu była nie do zniesienia.

Nadal nie mogłam dojść, co to wszystko oznaczało dla mojej prababki Charlotte. Czy August miał cichą nadzieję, że zalegalizuje swoje potomstwo, żeniąc się z Emilie? Czy dlatego oboje wzbudzili gniew króla?

- W świetle dokumentów moja prababka wydaje się nie istnieć - mówiłam ludziom. - Wiemy tylko, że z jakiegoś powodu otrzymała nazwisko tej żydowskiej rodziny, Gottschalków, podczas gdy w rzeczywistości była księżniczką z rodu Hohenzollernów.

Gdy tylko wróciliśmy do Londynu, zaczęliśmy znowu studiować dokumenty zarejestrowane na mikrofilmach, które przysłała nam *Frau Steglitz*. Szukaliśmy teraz wskazówek, które już potrafiliśmy dostrzec, wyposażeni w nowe, zdobyte w Berlinie informacje. Wciąż nie mogłam do tego dojść, jaka była sytuacja finansowa Hohenzollernów, ale zaczynałam uważać, że okaże się kluczowa dla rozwiązania zagadki Charlotte. Doktor Henning w zasadzie wszystko mi wytłumaczył, później jednak odkryłam w archiwum pewne listy, które relacjonowały wydarzenie z okresu przed małżeństwem Augusta, z przełomu wieków.

Czytając papiery, zdałam sobie sprawę, że matka Augusta, księżna Ferdynandowa, bezwiednie stworzyła synowi problem po śmierci jego stryja, księcia Henryka Ludwika, który pozostawił większą część osobistego majątku swemu faworytowi - Ludwikowi Ferdynandowi, bratu Augusta. Otóż ich matka zawsze odnosiła się z pogardą do podejrzanego stylu życia Ludwika Ferdynanda i była przerażona na myśl, że ten jej syn otrzymuje w spadku jeszcze jedną olbrzymią fortunę i nie dzieli się nią z Augustem. Przedstawiła więc sprawę królowi, prosząc go, aby interweniował i zapewnił Augustowi sprawiedliwą część tego spadku.

Księżna Ferdynandowa zawsze uwielbiała Augusta kosztem swoich dwóch pozostałych synów i podobno nawet pozwalała mu sypiać w swoim pokoju, gdy był mały. Wiele osób uważało, że to dzięki tej preferencji zyskał zbyt silne poczucie własnej wartości i swój słynny upór. Gdy doniesiono jej o śmierci Ludwika Ferdynanda, księżna Ferdynandowa miała powiedzieć: „Dzięki Bogu, że to nie August”.

W tym okresie królem był niedbający o finanse Fryderyk Wilhelm III, tylko o dziewięć lat starszy od Augusta, choć wyprzedzający go o dwa pokolenia. Gdy matka Augusta udała się na spotkanie z królem, aby prosić go o interwencję w sprawie równego podziału pieniędzy między dwóch braci, doradcy Jego Królewskiej Mości sprawdzili zapisy testamentowe, które poczynił Fryderyk Wilhelm I na rzecz swoich synów: Henryka Ludwika i Augusta Ferdynanda, ojca Augusta. Najwyraźniej dopiero wówczas wszyscy zdali sobie sprawę, że spadek po Fryderyku Wilhelmie I dla jego wymienionych wyżej synów składał się z dóbr

Korony i z wielu innych majątków i powinien go odziedziczyć ich trzeci brat, czyli Fryderyk II, który w tym czasie został królem. W rezultacie swą interwencją u Fryderyka Wilhelma III księżna Ferdynandowa zwróciła uwagę dworu królewskiego na kwestie majątkowe i zakwestionowano zapisy poczynione przez Fryderyka Wilhelma I na rzecz jego dwóch synów, co było wbrew jej nadziejom. Najwyraźniej zaniepokojony rozmiarami tego bogactwa i chcąc zapewnić powrót do Korony jak największej części cennego spadku, król Fryderyk Wilhelm III postawił księżnej Ferdynandowej ultimatum, a mianowicie zażądał, aby jej synowie - August i Ludwik Ferdynand - podpisali zgodę na to, że nie pozostawią po sobie prawnych spadkobierców. Znaczyło to, że wszelkie zakwestionowane dobra należące teraz do ich ojca, księcia Augusta Ferdynanda, powrócą po śmierci obu jego synów do Korony.

Księżna popełniła poważny błąd, przedstawiając sprawę królowi, bo nawet nie przyszło jej na myśl, że ten zagrabi coś, co zostało zapisane komuś w odległej przeszłości, i postara się zagarnąć to dla siebie. Musiała być wstrząśnięta skutkami swego własnego działania na rzecz Augusta. Gdyby poczekała na właściwy moment, czyli do śmierci Ludwika Ferdynanda, cały spadek po Fryderyku Wilhelmie I, a był to olbrzymi majątek, przeszedłby w ręce spadkobierców po faworyzowanym przez nią Auguście. Stało się jednak tak, że większa część tego spadku musiała wraz ze śmiercią Augusta powrócić do Korony. Wyobrażam sobie, jak obaj jej synowie byli na nią wściekli za to, że wtrąciła się w nie swoje sprawy. Niestety, nie mogli już nic zrobić.

Ten stan finansów musiał pogłębić paranoiczny stosunek króla i jego doradców do Emilie, bo obawiali się, że jeśli młoda wdowa poda sprawę do sądu, to jej córka Charlotte może nabyć prawo do olbrzymich majątków Korony, a także koniec końców do tronu, zwłaszcza gdyby urodziła męskiego potomka. To wprost niezwykle, że tak wiele spoczywało na barkach małej dziewczynki. Zapewne nie miała pojęcia, jak olbrzymią zazdrość i jak wielkie urazy żywiły wobec siebie przez pokolenia różne gałęzie jej sławnej rodziny.

Stało się więc tak, że duża część olbrzymiej fortuny, której ojciec poskapił Fryderykowi II, prawdopodobnie z powodu dezaprobaty dla jego homoseksualizmu, ostatecznie przeszła w ręce Augusta. Ironią losu było to, że na skutek interwencji matki Augusta u króla żaden z potomków księcia nie odniósł z tego korzyści.

Przeczytałam już, jak tyrański ojciec źle traktował Fryderyka II, niemal jak niewolnika. Nie dziwi, że mając tak straszną rodzinę, August obawiał się jak najgorszego potraktowania Emilie przez konserwatywnego Wittgensteina. Wiedziałam, że August spędzał Wittgensteinowi sen z powiek. Syn księcia Augusta Ferdynanda był bogaty, miał w linii prostej prawo do tronu i cieszył się popularnością w armii, która była w doskonałej kondycji dzięki wprowadzonej przez niego modernizacji, a ponadto odznaczał się skrajnie liberalnymi poglądami, w porównaniu z królem i jego bliskimi doradcami. Obrona Żydów, z którą występował, przerażała Wittgensteina, przez cały czas walczącego o to, żeby Prusy pozostały państwem konserwatywnym.

Kręciło mi się w głowie, gdy próbowałam przyswoić sobie wszelkie machinacje dokonywane przez członków skomplikowanej rodziny Hohenzollernów, z której, jak teraz wiedziałam, pochodziłam. Stanowiło ją tyle pokoleń i osób, że nie dało się stworzyć jej jasnego obrazu. Twardy fakt był taki, że do czasu, gdy pieniądze przeszły w ręce Augusta, Hohenzollernowie zgromadzili olbrzymią fortunę, znacznie większą niż ta, którą dysponował sam król. W tamtych czasach pieniądze oznaczały posiadanie władzy w sposób jeszcze bardziej bezpośredni niż obecnie, co często prowadziło do zacieklej rywalizacji między członkami bogatych rodów i tron mógł przejść w ręce innej gałęzi danego rodu.

W tym momencie jedna rzecz była dla mnie całkowicie jasna: wraz ze śmiercią Augusta życie Emilie, a w jeszcze większym stopniu Charlotte, znalazło się w niebezpieczeństwie. Jak się wydawało, już wcześniej podejmowano próby zamachu na życie Emilie. Teraz zaś możliwość, że Charlotte jako bezpośrednia potomkini Fryderyka II ma formalne prawo do fortuny Hohenzollernów, niemal przesądziła o jej zniknięciu z wszelkich akt - po śmierci Augusta, jej ojca i protektora. Pałacą kwestią pozostało zbadanie, co się stało z Emilie i z Charlotte.

Odnalezienie Charlotte

Wraz z tym, jak wpadaliśmy na jakiś nowy trop, Ken i ja regularnie powracaliśmy do Berlina, by zdobyć wszelkie możliwe informacje na temat Charlotte i jej losów po śmierci Augusta. Kiedy rozpoczynałam poszukiwania, w papierach ojca odnalazłam świadectwo jej ślubu. Wyszła za mąż za Sigmunda Baumanna, który był, jak powiedział mi stryj Freddy, jej sąsiadem w Berlinie. Nadal jednak desperacko pragnęłam odnaleźć jej grób i informację na temat jej narodzin. Wydawało się możliwe, że urodziła się w Przelewicach, gdyż z danych zgromadzonych w archiwach wynikało, że Emilie przebywała tam w czasie, gdy, jak sądziłam, urodziła się Charlotte. Miałam więc nadzieję, że gdzieś tam znajdę akt rejestracji jej przyjścia na świat. Gdy jednak skontaktowałam się z tamtejszym archiwum, okazało się, że nie ma tam żadnych dokumentów dotyczą-

cych Charlotte von Ostrowskiej ani też Charlotte Gottschalk.

Biorąc pod uwagę, że o końcowym okresie życia Charlotte wiedzieliśmy więcej niż o początkowym, uważałam, iż łatwiej będzie mi odnaleźć jej grób, jeśli po prostu wystarczająco długo będę go szukała. Niestety, od czasu jej śmierci przez Europę przetoczyły się dwie wojny światowe, a poza tym miały tu miejsce wielkie wstrząsy społeczne, brzemienne w skutki w szczególności dla rodziny żydowskiego, jak uważano, pochodzenia. Toteż nawet to stanowiło duże wyzwanie.

Duży żydowski cmentarz znajdował się w dzielnicy Weissensee w Berlinie Wschodnim, postanowiliśmy więc sprawdzić, czy przypadkiem nie ma tam grobu Charlotte. Tym razem przekroczyliśmy granicę taksówką, nie napotykając żadnych problemów. Nieco się obawiałam, że po raz kolejny zabrnijemy w ślepią uliczkę. Dotarliśmy tu dopiero w połowie lat osiemdziesiątych, a gdy zobaczyłam, jak wielki jest to teren, poczułam kamień na sercu. Wydawało się, że groby ciągną się w każdą stronę aż po horyzont. Cmentarz był znacznie większy, niż to sobie wyobrażałam.

Udaliśmy się do dyrektorki nekropolii i zdołaliśmy ją przekonać, jak ważne są dla nas poszukiwania, które prowadzimy.

- Mamy tu wiele tysięcy nazwisk - oznajmiła, wyjąwszy z szafy księgi rejestracyjne pochówków - ale postaram się odnaleźć dla państwa tę osobę.

Podaliśmy jej imię i nazwisko męża Charlotte, czyli Sigmunda Baumanna, gdyż było prawdopodobne, że wpis mojej prababki znajduje się pod tym nazwiskiem, i daty jej

urodzenia oraz śmierci: 1838-1906. Dzięki pozostawionym przez Augusta notatkom byłam pewna, że przyszła na świat właśnie w 1838 roku. W tym przekonaniu utrzymywały mnie również podyktowane jego troską instrukcje dotyczące bezpieczeństwa młodej żony, gdy przebywała w tymże roku w Przelewicach.

Gdy dyrektorka szukała podanego imienia i nazwiska, zaglądałam jej przez ramię. Jak tyle rzeczy w Niemczech, wszystko w tych księgach wydawało się sprawnie udokumentowane i wyłuszczone. Odszukanie Charlotte zajęło jej nie więcej niż dziesięć minut. Tak jak myślałam, moja prababka figurowała pod nazwiskiem Baumann. Na ten widok ogarnęło mnie dziwne uczucie i przypomniałam sobie okoliczności jej życia, a także sytuację, która doprowadziła do przyjścia na świat tej kobiety. - Grób Charlotte znajduje się daleko w głębi cmentarza - poinformowała nas dyrektorka. - Zaprowadzę tam państwa.

Wydawało się coraz bardziej prawdopodobne, że Emilie i August czekali najdłużej jak mogli z wydaniem na świat potomka, gdyż zdawali sobie sprawę z wiążących się z tym zagrożeń. Może Emilie błagała Augusta, żeby pozwolił jej mieć dziecko, i w końcu książę uległ pragnieniu żony? Zdawał sobie przecież sprawę z tego, jak wiele poświęciła, aby być w Przelewicach i czekać tam na jego przyjazd po wypełnieniu przez niego obowiązków w armii. Snułam takie domysły, bo istniały pytania, na które nigdy nie znaleźlibyśmy odpowiedzi, bez względu na to, jak długo byśmy ich szukali. Zastanawiałam się, czy nagrobek dostarczy mi jakichś informacji, czy też zjawiając się przy grobie prabab-

ki, po raz kolejny poczuje się rozczarowana. Czy przypadkiem po tych wszystkich latach napisy na nagrobku nie uległy zatarciu?

Gdy szliśmy do miejsca wiecznego spoczynku Charlotte, przyglądałam się licznym mijanym nagrobkom i moja nadzieja na odczytanie widniejących na płytach napisów szybko zgasła, bo wiele z nich było nie do odcyfrowania. Ken trzymał mnie za rękę, gdy w ślad za tą kobietą podążaliśmy na spotkanie z Charlotte aleją, która zdawała się nie mieć końca. W czasach, gdy urodziła się moja prababka, sukcesja była znacznie mniej pewna niż obecnie. Król czy książę mógł przedwcześnie umrzeć, ginąc w walce jak zwykły żołnierz albo tracąc życie na skutek nieuleczalnej choroby. Jak odkryliśmy, mogli nawet zostać zamordowani przez członków własnych rodzin. Zawsze istniało niebezpieczeństwo, że tron przejmie członek innej rodziny, uzurpując sobie prawo do sprawowania władzy królewskiej. Rozumiałam teraz, że król i jego doradcy postrzegali ciężarną Emilie jako wielkie potencjalne zagrożenie dla ich władzy, a następnie tak traktowali jej nowo narodzoną córkę. To, że Charlotte pozwolono żyć i umrzeć śmiercią naturalną - w 1906 roku, w wieku sześćdziesięciu ośmiu lat, zakrawało na cud, jeśli wziąć pod uwagę siły, które sprzysięgły się przeciwko niej.

- Mam nadzieję, że jesteśmy już blisko - powiedziała dyrektorka.

Opanowywały mnie coraz silniejsze emocje, gdy szliśmy wśród rzędów nagrobków w poszukiwaniu miejsca pochówku tej biednej kobiety, którą rodzina odrzuciła i odseparowała od siebie, a historia o niej zapomniała. Gdy tam

doszliśmy, nie byłam w stanie powstrzymać łez. Nie mogłam uwierzyć, że rzeczywiście stoimy nad grobem Charlotte i że czytam napis na płycie nagrobnej: CHARLOTTE BAUMANN, Z DOMU GOTTSCHALK, URODZONA 25 WRZEŚNIA 1838 ROKU.

- Wszystko się zgadza, Ken - powiedziałam. - Fałszywe nazwisko rodowe i prawdziwa data urodzenia. Charlotte miała około pięciu lat, gdy w 1843 roku umarł jej ojciec, jak zawsze powtarzała. Po tylu latach poszukiwań Charlotte i zastanawiania się nad jej losem znalazłam miejsce wiecznego spoczynku mojej prababki, matki Anny i utraconej córki Emilie, pochowanej obok jej męża Sigmunda. Jakże inaczej wszystko mogło się potoczyć w życiu drogiej Charlotte. Ken milczał, obejmując mnie, gdy szlochałam ze smutku na myśl, co ta kobieta musiała przejść w dzieciństwie, ale też z powodu ulgi, że w końcu ją odnalazłam. Wandale rozbili płytę nagrobną na dwie części. Kto robi takie rzeczy? - pomyślałam, bo przekraczało to moją wyobraźnię; uklęknęłam i pogładziłam zniszczoną płytę.

- Nie martw się, Charlotte - powiedziałam głośno - odnaleźliśmy cię. Wszystko teraz naprawię. Dziecku Emilie szczęście dopisało w jednym: było ono płci żeńskiej. Wydaje się, że gdyby chodziło o chłopca, Wittgenstein i jego kompani nie ryzykowaliby i nie darowali mu życia po śmierci jego ojca i protektora. Z pewnością Charlotte nie orientowała się w sytuacji swoich rodziców i członków rodu Hohenzollernów. Nie dziwi więc, że jej potomkowie byli jeszcze bardziej zdezorientowani, gdy krążące w rodzinie opowieści ulegały zniekształceniu. Ale

co dokładnie wiedziała i czy przekazała Annie całą swoją wiedzę? Dlaczego jej córka Anna była tak przekonana

o swoim żydowskim pochodzeniu? Czy Charlotte starała się uchronić córkę przed czymś w taki sam sposób, w jaki mój ojciec Hans starał się uchronić mnie?

Charlotte miała wiele okazji, aby powiedzieć swym wnukom, ku ich rozbawieniu, że w rzeczywistości jest księżną. Nie znaczyło to jednak, że Anna, którą Charlotte urodziła w wieku dwudziestu sześciu lat, w ogóle zdawała sobie sprawę z tego, że nie jest Żydówką. Bez wątpienia ona również słyszała opowieści matki, ale codzienne dowody, że pochodzi z Gottschalków i z Baumannów, musiały przeważać nad tym, co zapewne brzmiało jak dziecinne fantazje Charlotte. Pomyślałam znowu o mojej babci Annie i o tym, jak odmienny byłby jej koniec od tego, który ją spotkał, gdyby los inaczej obszedł się z tą rodziną, to znaczy, gdyby nie było w niej tylu sekretów, niejasności i takiej konspiracji. Długa droga prowadziła od pełnej blasku sali balowej, gdzie August i Emilie się poznali, do straszego miejsca, w którym umarła ich wnuczka.

Później odkryłam, że młodej Charlotte przydarzyło się coś wyjątkowego, przypuszczalnie wkrótce po tym, jak poślubiła swego sąsiada Sigmunda Baumanna. Otóż w papierach mojego ojca znajdował się dokument, który przykuwał uwagę. Potwierdzał on bowiem, że mąż Charlotte został zwolniony z wojska. Z kolei żona stryja Freddyego, Alice, ujawniła mi, że - zgodnie z tym, co jej powiedział kiedyś mąż - siedemnastoletnia Charlotte napisała do króla, prosząc go o zgodę na powrót męża z Luksemburga i o zwolnienie Sigmunda z armii. Musiało to być w grudniu

1855 roku, bo taka data widnieje na dokumencie zwalniającym go z wojska. Alice nie potrafiła mi powiedzieć, dlaczego Charlotte napisała tę prośbę. Nie mogłam nawet spekulować na ten temat, ale, jak zaświadcza dokument, król wyraził zgodę. To, że osiągnęła cel, sugeruje, iż nawet w tym okresie dwór królewski w jakiś sposób uznawał swój związek z tą rodziną. Wbrew wszystkiemu, co się stało, wydaje się, że nie odciął się on od Charlotte całkowicie i że musiała ona wiedzieć więcej o swojej przeszłości, niż wyjawiała wnukom.

Teraz wiem na pewno, że Charlotte urodziła się, gdy Emilie i August byli małżeństwem, podobnie jak wiem, do kogo trafiła. Niestety, nadal nie mam pojęcia, co działo się z nią po śmierci jej ojca.

Dlaczego otrzymała nazwisko Gottschalk, a nie Hohenzollern po ojcu czy von Ostrowska po matce?

Teraz wiem również, że poprzez Isadore'a, swego krawca, August miał z Gottschalkami kontakt osobisty. Miał go także poprzez córkę Isadore'a, która wywołała skandal, oskarżając księcia o uwiedzenie. Nie tłumaczy to jednak, co się stało, jeśli chodzi o Charlotte. Czy kiedykolwiek poznam prawdę?

Ostatni element układanki

Nawet gdy znalazłam grób Charlotte, nie zaprzestałam poszukiwań i nadal zastanawiałam się, jak spędziła wczesny okres życia. W rzeczywistości poczułam się bardziej wobec niej zobowiązana do odkrycia prawdy. Miałam pewność, że odpowiedzi na moje pytania istnieją, muszę tylko ich poszukać. W ciągu lat wytrwałość opłacała mi się już tyle razy, że nie mogłam teraz się poddać, nie wchodziło to w ogóle w grę.

Nie czułam się osamotniona w swych zainteresowaniach, mając w Berlinie Zachodnim doktora Henninga. Jego żona Herzeleide, kierowniczka biblioteki w archiwum w Dahlem, tak samo chętnie jak on służyła nam pomocą. W ciągu tych lat pracy stali się naszymi bliskimi przyjaciółmi i traktowali moje poszukiwania tak samo osobiście jak ja. Herzeleide zbierała dla mnie pocztówki, grafiki i inne

materiały, które wpadły jej w ręce, i wysyłała mi je do Londynu. W czasie naszych licznych pobytów w Berlinie Zachodnim Ken i ja bywaliśmy u nich w domu na obiedzie i prowadziliśmy z nimi niekończące się rozmowy o naszej wspólnej pasji.

Teraz, po wielu latach od naszego pamiętnego tygodniowego pobytu w archiwum w Merseburgu, *Herr Waltmann* został dyrektorem tamtejszych zbiorów. Interwencja brytyjskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych uratowała sytuację i nie musieliśmy zrywać kontaktów z tym archiwum. Z pewnością nie mieliśmy powodu, aby żywić do *Herr Waltmanna* urazę. Nie wątpiłam, że nie miał nic wspólnego z ofertą szpiegowania złożoną Kenowi. Po upływie ponad dziesięciu lat od naszej pierwszej wizyty w archiwum w Merseburgu przysłał mi kilka razy kopie dalszych dokumentów, tak jak wtedy, kiedy znalazł testament Augusta. Ten testament okazał się nadzwyczajnym znaleziskiem, pełnym szczegółowych danych, których lektura była fascynująca, bo do tego czasu poznaliśmy większość wymienionych w nim osób. To był ostatni element układanki.

August zapisał Emilie tysiąc pięćset talarów rocznej pensji, co było pokaźną sumą, równą tej, jaką otrzymywała za życia męża. W testamencie przekazał też Emilie jej portret namalowany w 1838 roku przez starego mistrza Paula Mile, w czasie gdy król zamówił portrety członków całej rodziny, a także jej miniaturowy portret, oba w złożonych ramach. Prawdopodobnie August włączył ją do grona pozujących, całkiem możliwe, że bez wiedzy króla. Miniaturowy portret stanowił zapewne rezultat tego samego pozwania, bo taki panował obyczaj. Należy on do naszej

rodziny. Ocenili go eksperci, którzy uznali, że głowę namalował mistrz, a sylwetkę jego pomocnik. Paul Mila zrealizował dużo zamówień dla rodziny królewskiej. Ponadto August zapisał Emilie srebra, które znajdowały się w jej mieszkaniu na Jägerstrasse w Berlinie, gdzie dużo przebywała, gdy książe wyjeżdżał. Wymienił także ozdobną srebrną tacę i cztery proste srebrne świeczniki.

W testamencie nie było wzmianki o Agnes Gottschalk.

Aby wysledzić, co stało się z Charlotte, chciałam też odszukać wszelkich żyjących potomków Augusta i jego dwóch pierwszych żon. Z pomocą wybitnego genealoga Arthura Addingtona zdołałam w końcu odszukać rodzinę Edwarda von Waldenburga, syna Augusta z jego małżeństwa z pierwszą żoną, Friederike von Waldenburg. Gdy nawiązałam kontakt z tą rodziną, odkryłam, że zaledwie kilka tygodni wcześniej zmarł Siegfried, wnuk Edwarda. W ten sposób to ogniwo w łańcuchu związków z przeszłością zostało na zawsze zerwane. Zgodziła się jednak przyjąć nas wdowa po nim, Jutta, z domu księżna von Alten, dobrze zbudowana kruczowłosa kobieta reprezentująca typ germański. Gdy zjawiliśmy się u niej w mieszkaniu, była wobec nas nieufna i podejrzliwa, jeśli chodzi o motywy, którymi się kierowaliśmy, szukając z nią kontaktu. Wydawała się niechętna do wyjawienia nam jakichkolwiek informacji, ale pomimo swej rezerwy łaskawie usadowiła nas wśród licznych książek, obrazów i ozdób, które odziedziczyła po przodkach swoich i męża, i spokojnie wysłuchiwała naszej opowieści.

Gdy podałam jej notatnik księcia Augusta, zaczęła mi okazywać prawdziwe zainteresowanie.

Odwróciła kajecik

w dłoniach, pogładziła okładkę pokrytą pozłacanym srebrem, otworzyła i przeczytała wpis.

- *Mein Gott!* - krzyknęła i w tej chwili się przed nami otworzyła, a opowieść popłynęła z jej ust jak rzeka.

To, co od niej usłyszeliśmy, w pełni tłumaczyło jej początkową ostrożność. Jej zmarły mąż Siegfried okazał się bowiem jednym z najbardziej podziwianych generałów Hitlera. Byłam zszokowana tą wiadomością. Nasza historia rozpoczynała się od wojen napoleońskich, a teraz dowiadywałam się, w jaki sposób Hitler, człowiek odpowiedzialny za wypędzenie nas z Niemiec i niemal na pewno za śmierć Anny, odegrał swoją rolę w historii naszej rodziny. Z każdym zakrętem jej dzieje stawały się coraz bardziej skomplikowane.

Najwyraźniej odpreżona w naszym towarzystwie, Jutta przyniosła stertę nieznanych publicznie zdjęć i z dumą położyła je przed nami, wskazując te z nich, które ukazywały jej męża w mundurze wojskowym, stojącego obok Hitlera niczym jego zaufany adiutant, którym pewnie był. Oglądanie zdjęć Fiihrera, który w dzieciństwie i młodości przysporzył nam tyle strachu i grozy, a swą polityką unicestwił i zniszczył tak wielu członków naszych rodzin, budziło w nas niepokój, tak jak rozmowa z kobietą, której mąż należał do ścisłego otoczenia tego człowieka. Zarazem Siegfried von Waldenburg był prawnukiem Augusta, tak jak Anna była wnuczką księcia i mimo to niemal na pewno znalazła się wśród milionów osób zamordowanych z rozkazu Hitlera. Gdy Jutta mówiła, przypomniałam sobie wieczór, kiedy całą rodziną słuchaliśmy nadawanego przez radio przemówienia Hitlera, po dojściu do władzy, a także

dzień, kiedy dumna i niewinna kroczyłam na czele klasy, niosąc nazistowski sztandar, i moment pożegnania z babcią Anną na dworcu w Pradze, kiedy widziałam ją po raz ostatni w życiu, jak znikwała w obłoku pary wydobywającej się z komina lokomotywy.

Jutta opowiedziała nam, jak jej zięć, kapitan von Wallenberg, uczestniczył w spisku mającym na celu dokonanie zamachu bombowego na Hitlera. Dobrze pamiętam, że słyszałam o tym wydarzeniu w Londynie. Gdy bomba wybuchła, radio doniosło, że Hitler zginął. Okazało się jednak, że to nieprawda. Wówczas córka i zięć Jutty usiłowali w przebraniu uciec z Niemiec. Niestety, nie udało się im. Schwytanego von Wallenberga powieszono na haku rzeźnickim.

- Nikt tu nie wie, kim jestem - oznajmiła szeptem Jutta, jakby wciąż się bała, że jest podsłuchiwana, nawet w swoim mieszkaniu. - Nic nikomu nie mówię, ale wy jesteście inni. Powiem wam coś, o czym nikomu jeszcze nie mówiłam. Ten notatnik należał do Augusta. Tego rodzaju notatniki wchodziły w skład zbioru ksiąg gości księcia, który odziedziczył Siegfried. Rozpoznaję ten typ. Jest tak samo zaprojektowany jak inne. Zakopaliśmy cały zbiór w lesie w naszej posiadłości w Prusach Wschodnich, gdy pod koniec wojny Rosjanie przypuścili tam szturm. Ledwie zdołaliśmy stamtąd uciec i uratować życie. Nie mogliśmy więc zabrać zbyt wielu rzeczy. I oczywiście nigdy nie wróciliśmy po te, które zakopaliśmy, bo po wojnie tamte tereny znalazły się po drugiej stronie żelaznej kurtyny. Przywieźliśmy też ze sobą zdjęcie tego notatnika.

- Chętnie je podpiszę - zaproponowała i tak zrobiła, potwierdzając tym samym jego pochodzenie, po czym dodała: - August zawarł z Friederike związek morganatyczny. W tamtych czasach w Niemczech była to ceremonia świecka, w trakcie której pannie młodej wkładano na palec lewej ręki obrączkę. Jej słowa również potwierdzały to, co już odkryliśmy na temat porozumień zawartych w obrębie rodu Hohenzollernów w kwestiach finansowych i dziedziczenia majątku. Czułam, że w końcu zaczynamy rozumieć całą złożoność świata, do którego wkroczyła biedna młodzieńca Emilie von Ostrowska po tym, jak zjawiała się na balu w pałacu Augusta i pozwoliła się księciu zauroczyć. Był to świat pełen różnych niebezpieczeństw. Jutta pokazała nam wstęgę z medalionem z wizerunkiem księcia Augusta, którą kiedyś nosiła, wykonując swoje obowiązki. Dziwnie się poczułam, gdy dzięki obcej osobie zobaczyłam wizerunek człowieka, o którym myślałam już jako o swoim prapradziadku. Podczas tego pierwszego spotkania bardzo zaprzyjaźniliśmy się z Juttą i obiecaliśmy informować ją o naszych ewentualnych odkryciach.

Pomimo nieuchronnego braku perspektyw na to, że poznamy całą prawdę, czego świadomość ciągle do nas docierała, generalnie poczyniliśmy w naszych poszukiwaniach niemałe postępy. Zachęcona dotychczasowymi sukcesami, próbowałam odnaleźć potomków Augusta z jego drugiego małżeństwa, ale nie osiągnęłam niczego. Wyglądało na to, że po kilku pokoleniach ta gałąź rodziny Augusta nie wypuściła kolejnych pędów. I nagle ni stąd, ni zowąd otrzymałam list od pani Ritchie, damy mieszkającej

w północnym Londynie, która dowiedziała się o mojej historii. Okazała się dla mnie objawieniem. Otóż była ona praprawnuczką księcia Augusta i Auguste von Prillwitz. Ken i ja z zadowoleniem przyjęliśmy zaproszenie na wspaniały lunch w jej domu.

Gdy się tam zjawiliśmy, w drzwiach przywitała nas czarująca dama, która pozdrowiła mnie słowami: „Witam, kuzynko!”. Oprowadziła nas po domu, pokazując mi obrazy przedstawiające Augusta, które odziedziczyła po matce. Stół w jadalni był nakryty najpiękniejszymi srebrami należącymi kiedyś, jak powiedziała nam pani Ritchie, do Augusta, wchodząc w skład tej samej kolekcji, której część Emilie otrzymała po śmierci męża. Dawało to mgliste wyobrażenie o splendorze, w jakim kiedyś żyli nasi prapradziadkowie.

Pani Ritchie potwierdziła, że August i Auguste byli małżeństwem morganatycznym i że druga żona księcia zmarła na raka mniej więcej w tym czasie, kiedy August poznał młodzieńką Emilie i się w niej zakochał.

Wspaniałym przeżyciem było dla mnie jedzenie lunchu wśród rzeczy należących kiedyś do księcia i słuchanie opowieści o członkach rodziny von Prillwitz, którzy byli uwiecznieni na wiszących w domu pani Ritchie obrazach. Po tylu latach spędzonych na lekturze suchych relacji i opisów zobaczyłam wreszcie ożywioną w tym domu przeszłość.

Dzięki poszukiwaniom prowadzonym w Berlinie odnalazłam również potomków von Ostrowskich. Zlokalizowałam Egberta von Ostrowskiego, prawnika i głowę rodu. Mieszkał wraz ze swą drobną żoną Hildegard w południo-

wych Niemczech. Napisałam do nich i przedstawiłam się, kim jestem. Natychmiast zaprosili mnie i Kena do siebie do domu. Gdy przyjechaliśmy do nich, okazali się serdecznymi i szczęśliwymi ludźmi. Bardzo się z nimi zaprzyjaźniliśmy, opowiadając sobie nawzajem swoje rodzinne historie. Do tego czasu zdołałam w archiwum w Dahlem dowiedzieć się nieco więcej na temat losów nieszczęsnej Emilie po tym, jak owdowiała i została rozdzielona z Charlotte. Nie wyobrażałam sobie, że mogłaby się kiedykolwiek po śmierci Augusta spotykać z innym mężczyzną, nie mówiąc już o obdarzeniu go miłością. A jednak wbrew temu, co zakładałam, choć może powodowana bezbronnością, wyszła za mąż za szwajcarskiego hrabiego, który miał posiadłość w zachodniej części Prus. Otrzymała wówczas pensję zapisaną jej przez Augusta, wykonawcy testamentu księcia otrzymali więc na piśmie informację o zmianie jej stanu cywilnego. Biorąc pod uwagę, co przydarzyło się jej we wcześniejszych kilku latach, wydaje się prawdopodobne, że wyszła za mąż za owego hrabiego ze względów bezpieczeństwa, a nie z miłości. Tak czy inaczej, z innego archiwum dowiedziałam się, że później samotnie powróciła do Berlina, co sugeruje, że małżeństwo nie było udane. Zastanawiam się, czy dlatego, że August okazał się miłością jej życia i żaden inny mężczyzna nie mógł dorównać temu charyzmatycznemu i potężnemu romantykowi? Z pewnością mogłabym zrozumieć, że właśnie o to chodziło, bo sama uległam urokowi księcia jedynie na podstawie przeczytanych tekstów. Z dokumentów dowiedziałam się, że Emilie powróciła do domu nieżyjącego ojca, na Mohrenstrasse, gdzie znowu

zamieszkała z siostrą Heleną, jak do czasu związania się z Augustem.

Gdy poznałam Emilie, przekonałam się, że pieniądze były dla niej takie ważne tylko na tyle, by miała się z czego utrzymać. Do tego czasu jej sytuacja materialna musiała się bardzo pogorszyć. Czyżby dlatego, że gdy wyszła za mąż za szwajcarskiego hrabiego, straciła prawo do królewskiej pensji? A może nawet straciła chęć do życia? Myślałam, że z żalu pęknie mi serce, gdy znalazłam w Berlinie Zachodnim rejestrację jej zgonu w 1865 roku. Miała wówczas zaledwie czterdzieści osiem lat. We wpisie do rejestru widniała informacja, że Emilie zachorowała i umarła w miejscowym szpitalu, dokąd przywiózł ją „nieznany mężczyzna”. Po śmierci została określona w rejestrze jako „rozwódka”. To był naprawdę tragiczny koniec kobiety, która we wczesnej młodości poświęciła wszystko dla ukochanego mężczyzny.

Wielkim ciosem musiało być dla niej rozdzielenie z jedynym dzieckiem. Nie wyobrażam sobie, by kobieta mogła się czuć szczęśliwa po takim doświadczeniu. Dorosła Charlotte na pewno powiedziała mojemu ojcu i jego bratu, gdy byli małymi chłopcami, że w dzieciństwie przebywała ze swoimi rodzicami i bawiła się z ojcem na podłodze ich mieszkania. Dlatego nie opuszczał mnie stan frustracji, bo wciąż nie mogłam nigdzie znaleźć informacji na temat dzieciństwa Charlotte. Jeśli Anna miała tych informacji więcej, to z pewnością nic mi o tym nie powiedziała, ani też żadnemu ze swoich synów. Jedyne napis na nagrobku Charlotte stanowił oficjalne potwierdzenie, że kiedykolwiek żyła.

Czułam, że muszę się udać z pielgrzymką do miejsca wiecznego spoczynku Emilie, jak wcześniej udałam się do grobu Charlotte i sarkofagu Augusta. Odkryłam bowiem, że moja praprababka została pochowana w rodzinnym grobowcu Ostrowskich na cmentarzu *Alter Friedhof*.

- Masz szczęście - powiedział doktor Henning. - To najstarszy cmentarz w Berlinie. Jeszcze tam będzie.

Niestety, gdy zjawiliśmy się z Kenem na miejscu, okazało się ku naszemu przerażeniu, że przed sześcioma miesiącami cmentarz rozkopano, aby zrobić miejsce dla estakady nad autostradą. Z rodzinnego grobowca Ostrowskich nie pozostał ślad. Wyglądało to jak beznadziejnie rozpaczliwy koniec smutnego życia.

Wkrótce potem, w Berlinie, zadzwoniliśmy do National-galerie z pytaniem, czy może mają obraz olejny ukazujący Augusta. Od dawna desperacko poszukiwałam wizerunku księcia. Wyjaśniłam charakter swojego związku z tym człowiekiem.

- Mamy portret księcia wykonany przez Franza Krugera. Jest w naszych magazynach - usłyszałam w odpowiedzi. - Właśnie wrócił z wystawy.

Czułam przyspieszone bicie serca, gdy pracownik Nationalgalerie prowadził nas przez labirynt korytarzy i klatek schodowych. Dziesięć minut później spoglądałam ze zdumieniem na wizerunek swojego prapradziadka. Przystojny bohater naszej opowieści bardzo mnie zainspirował, gdy tak stał przede mną - wysoki, ubrany w mundur wojskowy, w Żółtej Komnacie swojego pałacu Bellevue, na tle ściany, na której wisiał portret jego ukochanej Juliette Récamier.

Ileć w związku z moim prapradziadkiem natknęłam się na coś nowego, czułam się tak, jakbym zobaczyła starego przyjaciela i za każdym razem poznawała go nieco lepiej.

- Znalazłem twojego księcia Augusta - oznajmił mi kiedyś radośnie przez telefon mój przyjaciel Ernest Lunn.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytałam.

- Odkryłem jego inny portret.

Okazało się, że w ekspozycji Wallace Collection, muzeum mieszczącym się na Manchester Square w Londynie, znajduje się miniaturowy portret księcia Augusta, pędzla francuskiego artysty Jeana-Baptiste Isabeya. Natychmiast udałam się tam i powiedziałam, kim jestem. Poznałam pana Larkworthy'ego, który wydawał się urzeczony moją opowieścią i związkiem, jaki łączył mnie z mężczyzną z portretu. Był bardzo życzliwy i zaproponował obejrzenie miniatury poza salą wystawową oraz, być może, zrobienie jej zdjęcia.

Kilka dni później zjawiłam się tu znowu z Kenem i z Anthonym. Mieliśmy ze sobą aparat fotograficzny. Weszliśmy na górę, gdzie czekał już na nas pięknie wyeksponowany portret Augusta. Nie uprzedziwszy mnie, pan Larkworthy zdjął tył obrazu i pokazał nam pięć umieszczonych tam pukli włosów Augusta. Zaparło mi dech. Włosy były kasztanowe, a nie czarne, jak mnie wcześniej przekonywano. Pan Larkworthy powiedział nam, że choć obraz ten należy do Wallace Collection od wielu lat, nigdy dotychczas nie zdejmowano tylnej części. Z pewnością był to dla mnie pamiętny dzień.

Wciąż bardzo mało wiedziałam o tajemniczych Gottschalkach, gdyż nie mogłam wytropić żadnych ich potomków. W trakcie poszukiwań natknęłam się na książkę *Mieszczanie żydowscy w mieście Berlinie* Jacoba Jacobsona, z której dowiedziałam się, że istotnie Isadore Gottschalk utracił obywatelstwo tego miasta z powodu długów i marniał w więzieniu dla dłużników. W dalszej części książki jej autor napisał, że krawca zwolniono z więzienia i odzyskał obywatelstwo. Niestety, Jacobson nie podał żadnych informacji, które byłyby dla uwolnionego nieprzyjemne lub świadczyły o jakimś skandalu. Tyle elementów układanki zaczynało do siebie pasować, lecz nadal żaden z nich nie wyjaśniał mi, co się stało z Charlotte po śmierci

Augusta lub też w jaki sposób zyskała nazwisko Gottschalk. Potrzebowałam tych informacji dla uzyskania pełnego obrazu wydarzeń.

Ilekczo odwiedzałam krewnych, zawsze zadawałam im jakieś pytania, w nadziei, że natknę się na cenną, a zapomnianą informację, która skieruje mnie na nowy trop. Gdy rozmawiałam z Alice, wdową po stryju Freddy, nagle sobie przypomniała, jak mówił, że Charlotte wychowywała się w Hamburgu. To było dla mnie objawienie, bo nikt wcześniej mi o tym nie wspominał. Zastanawiałam się, czy Charlotte mogła pozostawić po sobie jakiś ślad w archiwalnych dokumentach w tym mieście. Odkryłam, że w tamtych czasach, gdy ktoś przyjeżdżał do Hamburga, znajdującego się w innym państwie, musiał na granicy wpisać się do księgi wjazdów. Byłam ciekawa, czy uda się nam znaleźć wpis kogoś z rodziny Gottschalków przybywających tam z Berlina. Jakoś udało mi się nakłonić Kena, żeby pojechał ze mną do Hamburga, choć absolutnie nie wierzył, że cokolwiek tam znajdziemy. W archiwum w Hamburgu poprosiliśmy o księgi wjazdów obejmujące lata po śmierci Augusta, które archiwista przyniósł nam bardzo szybko.

- Sprawdzamy lata około 1845 roku - wyjaśnił mu Ken - ale są to czyste domysły.

Sądziłam, że ewentualny wyjazd Charlotte do Hamburga mógł nastąpić rok lub dwa po śmierci jej ojca. Archiwista szukał przez chwilę, po czym pokazał nam podpis Isadore'a.

- Jest tu napisane, że przybył „z rodziną” - oznajmiłam podekscytowana.

- Owszem, znaczy to, że miał pod opieką dziecko - potwierdził archiwista.

Istotnie, było tam podane imię i nazwisko jakiejś innej dziewczynki, ale wydawało się bardzo możliwe, że chodzi o Charlotte. Wszystkie fakty pasowały do jej historii. Dziewczynka miała około siedmiu lat i być może Isadore wiozł ją na wychowanie do Friederike, która, jak dowiedzieliśmy się z innego źródła, po urodzeniu Agnes przeniosła się wraz z mężem właśnie do Hamburga. W tym czasie Isadore był już stary i nigdzie nie znaleźliśmy wzmianki o tym, żeby żyła jego żona. Perspektywa wychowywania dziecka musiała więc być dla niego zniechęcająca.

Ten wyjazd do Hamburga oznaczał dla Charlotte ostateczne zerwanie więzi z Emilie. Dziewczynka miała tylko notatnik, który przypominał jej, kim byli jej rodzice i co dla siebie nawzajem znaczyli. Napisała w nim uwagi na temat być może ostatniego spotkania z Emilie, gdy zanotowała: *moja ukochana matka dała mi nową sukienkę na Zielone Świątki...* Następnie zaś bardzo wymownie dodała swym dziecinnym pismem: *ten kajet należał do mojej ukochanej matki.* Dalej nie było już żadnych wzmianek o spotkaniach z Emilie.

- Mają państwo wielkie szczęście, że te wszystkie dokumenty ocalały - stwierdził mężczyzna. - Wiele archiwów uległo zniszczeniu w czasie wojny. Zachowała się tylko bardzo niewielka ich część. Zrobiłam wielki krok naprzód. Po raz pierwszy uzyskałam wgląd w życie małej Charlotte Gottschalk, ale nadal nie wiedziałam, jak i dlaczego otrzymała to nazwisko.

Kiedy wróciliśmy do Anglii, spostrzegłam, że Ken jest znużony. Uważał, że po latach poszukiwań odnaleźliśmy wszystko, czego mogliśmy się spodziewać.

- Wystarczy - ucinał, gdy zaczynałam znowu rozważać te same sprawy, starając się sprawdzić, czy nie przeoczyłam jakiejś wskazówki.

Musiałam zobaczyć wszystko od podszewki i miałam świadomość, że te poszukiwania stały się dla mnie rodzajem obsesji. Przez większość dni rozmawiałam przez telefon z różnymi osobami w Anglii i w Niemczech lub pisałam do nich listy, a także wciąż sprawdzałam te same fakty, zachowując się w wielu sprawach niczym pies, który po wielekroć bada starą kość na wypadek, że może jest jeszcze na niej trochę mięsa.

- Evi - zaczął kiedyś wieczorem mój mąż, gdy zastał mnie śpiącą z głową na biurku w papierach - czas z tym skończyć, czas spojrzeć na fakty. Nic nie ma. Król kazał zniszczyć wszelkie dowody. Sądzisz, że chciał, aby przyszłe pokolenia znalazły dowody istnienia Charlotte? Zrobiłaś niewiarygodnie dużo, aby dowiedzieć się tyle, ile mogłaś.

- Ken, muszę się dowiedzieć czegoś o Charlotte - zaprotestowałam, otrząsając się ze snu. - Nie mogę przestać o tym myśleć.

- Evi, musimy myśleć o rodzinie. Poza tym nie prowadzimy już normalnych rozmów. Zajmujesz się tym przez cały czas - w dzień i w nocy. Czy nie pora, żebyś od tego odpoczęła i znowu zaczęła żyć z rodziną? Z tymi, którzy są żywi? - argumentował.

- Niewiele nam już zostało do sprawdzenia - ripostowałam. Wiedziałam, że ma rację, ale nie byłam w stanie

pogodzić się z perspektywą rezygnacji z dalszych poszukiwań, teraz, po tylu latach ich prowadzenia. - Nie wolno nam przestać, Ken. Jestem pewna, że jestem już blisko.

Fakt, że nieskończenie cierpliwy i wyrozumiały Ken zareagował w końcu na moją obsesję tak gwałtownie, wskazywał, iż być może dopuściłam, aby to całe poszukiwanie prawdy zaabsorbowało mnie w niezdrowy sposób. Ale w mojej układance nadal brakowało jednego elementu i gdybym tylko mogła go odnaleźć, obraz sytuacji stałby się w końcu jasny. Byłam tego pewna. Musiałam stanąć z tym brakującym elementem oko w oko. Uzależniłam się od zainteresowania problemem swojego pochodzenia jak narkoman, który uważa, że w każdej chwili potrafi zerwać z nałogiem po zażyciu kolejnej działki. Niestety, nigdy nie potrafiłam.

Dreńczyło mnie teraz pytanie, jak Charlotte znikła, by nagle - sądząc na podstawie jej własnego wyznania, w wieku pięciu lat - rozpocząć całkowicie nowe życie. W związku z tym interesowało mnie, w jaki sposób August i Emilie ukryli i uchronili Charlotte przed swoimi wrogami. Gdzie dziewczynkę oficjalnie zarejestrowano pod nazwiskiem Gottschalk? I gdzie w ogóle odnotowano, że taka osoba się urodziła?

Szukając inspiracji, przeczytałam ponownie błagalny list Emilie do króla, napisany wkrótce po śmierci Augusta i tuż przed tym, nim jej dotychczasowy świat kompletnie się rozpadł. Zaczęłam mieć do tej kobiety stosunek przyjacielski i pełen zrozumienia. Do kogo mogła się teraz zwrócić biedna Emilie, straciwszy ojca i męża? Z pewnością znalazła-

zła się w rozpaczliwym położeniu. Prosiłam ją w myślach o udzielenie mi odpowiedzi na różne pytania. Potrzebowałam jej pomocy, aby móc złożyć układankę. Była kobietą prawą i najwyraźniej dobrą matką. Z pewnością, myślałam, chciała ochrzcić swą córkę, ale czy ten fakt został gdzieś odnotowany i ewentualnie gdzie?

Zdawałam sobie sprawę z tego, że Ken ma rację, i zdobyłam się na wielki wysiłek, żeby nie zaniedbywać męża i synów. Nie przestałam jednak myśleć o tym jedynym brakującym elemencie układanki. Rozpoczęłam poszukiwania w 1973 roku w archiwum w Merseburgu i niemal po czternastu latach od tej daty nadal łamałam sobie głowę nad tym, jak wyglądały ostatnie dni Emilie z Charlotte. Kiedyś wieczorem, gdy Ken z zadowoleniem czytał książkę, wyobraziłam sobie, że przebywam z Emilie i Charlotte w ich berlińskim mieszkaniu, kiedy August jeszcze żył i gdy stanowili rodzinę. Pozwoliłam, aby mój umysł błąkał się po ich wyobrażonym pokoju, i zatraciłam się w myślach, aż w końcu kątem oka spostrzegłam na niskim kredensie figurę Madonny.

- Oczywiście! - krzyknęłam, aż Ken się wzdrygnął i zamknął książkę. - To jest to.

- Co znowu? - spytał cierpko.

- Przez cały czas nie daje mi to spokoju.

- Co?

- Charlotte nie była Żydówką.

- Zgadza się. Wszyscy to wiemy, Evi.

- Nie, nie o to chodzi. Nie rozumiesz, do czego zmierzam? - spytałam, ignorując jego irytację, zbyt podekscy-

towana, aby móc to ukryć. - Szukaliśmy w niewłaściwych miejscach. Sprawdzaliśmy w żydowskich archiwach, a przecież Emilie musiała ochrzcić swoją córkę. Pochodziła z polskiej chrześcijańskiej rodziny. Jest więc tylko jedno miejsce, w którym Charlotte została zarejestrowana. Musimy tam wrócić.

- Żadnego powrotu do NRD - odpowiedział nieugięty.

- Nie chodzi o powrót do NRD - powiedziałam szybko, by go zapewnić, że w żadnym razie się tam nie wybieram - lecz do Berlina Zachodniego. Muszę tam pojechać, Ken. Jeszcze tylko raz. Czuję, że tam znajduje się odpowiedź.

Zdawałam sobie sprawę z tego, że nadużywam jego cierpliwości. Wiedziałam jednak, że w końcu zrobi to dla mnie, jeśli zrozumie, jak wiele ten wyjazd znaczy. Tyle razy dowiódł tego wcześniej. Nie pomyliłam się i kilka dni później znajdowaliśmy się w samolocie do Berlina, lecąc tam po raz nie wiadomo który od chwili rozpoczęcia poszukiwań.

Po wylądowaniu udaliśmy się od razu do archiwum kościelnego, mając wbrew wszystkiemu nadzieję, że August i Emilie zarejestrowali chrzest Charlotte. Archiwistka doskonale rozumiała, czego szukam, i zostawiła nas w czytelnicy, a sama poszła sprawdzić, gdzie znajduje się ta informacja. Wróciła już po pięciu minutach.

- Okazuje się, że znaleźliśmy się w kolejnej ślepej uliczce, co? - powiedziałam z westchnieniem do Kena, widząc, że archiwistka nadchodzi.

- Oto ta informacja, pani Hass - oznajmiła, gdy już mieliśmy podziękować jej za uprzejmość i się pożegnać.

- Przepraszam, nie rozumiałam - oświadczyłam na to.

- Znalazłam wpis, którego państwo szukają - usłyszałam w odpowiedzi.

W dalszym ciągu wydawało mi się to niemożliwe, nawet gdy położyła przed nami na stole otwartą księgę. Zakryłam twarz dłońmi i spoglądałam na tekst przez palce, w obawie, że w każdej chwili mogę się obudzić i stwierdzić, iż to wszystko tylko mi się śniło. Był rok 1838. Drżącym głosem przeczytałam Kenowi wpis, powstrzymując łzy:

August Gottschalk, terminujący u szewca, rejestruje swoją żonę Dorothee Granzow, Polkę, oraz ich nowo narodzoną córkę Charlotte Dorothee Souife Gottschalk.

- Odnależliśmy ich! Udało się nam! Ukryli ją przed niebezpieczeństwem i równocześnie uznali! - zawołałam.

Wykonaliśmy zadanie i osiągnęliśmy cel. Archiwistka była zdezorientowana moimi gratulacjami i wyrazami wdzięczności za odnalezienie wpisu. Ken wiedział, ile to odkrycie dla mnie znaczy. Oboje nas ogarnął entuzjazm. Ten prosty krótki wpis skłoniłby zarówno mnie, jak i jego do postawienia kilkunastu różnych pytań, gdybyśmy natknęli się na te dwa zdania na początku poszukiwań, zanim zdołaliśmy odnaleźć tyle innych szczegółowych informacji dotyczących zarówno Hohenzollernów, jak i Gottschalków. Szczęśliwie dzięki dotychczasowym poszukiwaniom wiedzieliśmy już, że babka Augusta, córka króla Anglii Jerzego I, nosiła imiona Zofia Dorota, toteż zarejestrowanie córki księcia i Emilie pod imionami Dorothee i Souife, które są odpowiednikami angielskich imion Sophia i Doro-

thea, a samej Emilie pod nazwiskiem Granzow, w sposób jasny odsyła zarówno do związków dziewczynki z Hohenzollernami, jak i do jej polskiego pochodzenia. Było więc dla mnie pewne, że chodzi o Emilie, która ukrywa się pod cudzym nazwiskiem, lecz równocześnie dostarcza wystarczającej liczby wskazówek, abym mogła ją odnaleźć.

Książęca duma nie pozwalała Augustowi ukryć swej tożsamości całkowicie, nawet w chwili popełniania tego oszustwa. Był skłonny udawać, że nazywa się Gottschalk, aby uratować życie córki, ale przy tym w ostatniej chwili pozostawił swoje rzeczywiste imię. Było dla niego typowe, że w kościelnym rejestrze zapisał swoją córkę pod nazwiskiem żydowskiej rodziny, ignorując antysemicki establishment. W okresie gdy dokonywał tego wpisu, Emilie i małeńka Charlotte musiały być w Berlinie, w mieszkaniu na Jägerstrasse, które od niego otrzymały.

Dziewczynkę wpisano do berlińskiego rejestru kościelnego 28 października, kiedy August i Emilie wrócili do Berlina z Przelewic i Emilie urodziła Charlotte. Toteż datę urodzenia Charlotte, wyrytą na jej nagrobku, należy uznać za domyślną, tak samo jak tę widniejącą w świadectwie ślubnym mojej prababki, gdyż po prostu nie znała ona daty rzeczywistej, nie mając dostępu do żadnych usankcjonowanych prawnie zapisów i dokumentów. Wszystko, co dotyczyło jej istnienia - daty, miejsca i okoliczności narodzin - opierało się na sfalszowanych informacjach.

Musiałam się nagle przyzwyczaić do tej całkowicie nowej sytuacji. Gdy podekscytowana rozmawiałam z Kenem, zorientowałam się, że dla niego nie istniało już nic więcej do odkrycia. W pewnym sensie mógł mieć rację, ale ja czu-

łam, że nadal nie osiągnęliśmy kresu naszych poszukiwań, jeśli chodzi o trop wiodący od Augusta i Emilie oraz Charlotte do córki tej ostatniej, mojej babci Anny, o której losie tak niewiele wtedy wiedziałam. Nie poznałam jeszcze końca historii Anny, dlatego nie mogłam uznać swoich poszukiwań za skończone.

Pałac, który zniknął

Teraz wyobrażałam sobie znacznie lepiej, co wydarzyło się w początkowym okresie życia Charlotte. Król i Wittgenstein zapewne wpadli w furję, gdy się zorientowali, że Emilie jest w ciąży, ponieważ prawa wynikające z takiego związku - z arystokratką - były znacznie dalej idące niż skutki zawarcia przez Augusta obu małżeństw morganatycznych - z Friederike i Auguste. Obie panie mogły bowiem jedynie poszczycić się tytułami nadanymi im przez króla. Toteż ciężarna Emilie - młoda i niewinna, bo zaledwie dwudziestojednoletnia w chwili poczęcia Charlotte - stanowiła większe niż te dwie kobiety zagrożenie dla ogromnych królewskich majątków, które znajdowały się w rękach jej męża, podobnie jak ich nienarodzone jeszcze dziecko, zwłaszcza gdyby się okazało, że jest to chłopiec.

Oczywiście z tego, co wiedzieliśmy, wynikało, że mogło być wiele innych nieudanych zamachów na życie Emilie, które nigdy nie zostały udokumentowane. Biedna Emilie naprawdę miała szczęście, że pozwolono jej żyć wystarczająco długo, aby mogła urodzić dziecko. Los, jak się wydaje, sprzyjał przetrwaniu naszej rodziny.

Kiedy dziecko się urodziło i okazało się, że to dziewczynka, wrogowie jej rodziców mogli chyba nieco odetchnąć, gdyż na europejskich tronach kobiety zwykle nie zasiadały, bez względu na to, jak bardzo uzasadnione miały do tego pretensje. Jednakże czasem się to zdarzało i na rok przed przyjściem na świat Charlotte królową Anglii została Wiktoria, daleka krewna Augusta oraz ówczesnego pruskiego króla. Maleńka Charlotte miała niewielkie szanse na objęcie w przyszłości pruskiego tronu, lecz mimo to traktowano ją nieufnie jako potencjalne zagrożenie dla obecnej linii sukcesji.

August wiedział o bardzo realnych próbach zamachu na życie Emilie, a teraz jeszcze, oprócz niej, musiał chronić przed politycznymi wrogami swoje nowo narodzone dziecko. Orientował się lepiej niż ktokolwiek inny, że wiele osób chciałoby zniknięcia Charlotte lub jej tragicznej śmierci. Na dworze królewskim nie szczędzono też pieniędzy na opłacanie tak niecznych postępów jak zamach na czyjeś życie i nie istniała możliwość wskazania jako zlecniodawców króla czy Wittgensteina. Rodzinna historia księcia obfitowała w podobnie bezwzględne czyny pojawiające się w walce o tron i o olbrzymie majątki. Dlatego August musiał na początku życia Charlotte uznać zmianę jej tożsamości za konieczną, jeśli nawet on i Emilie zamierzali zatrzy-

mać dziecko przy sobie i wychowywać je samodzielnie. Ich działania wyglądały jak przygotowywanie dla niej kryjówki, na wypadek, gdyby jej potrzebowała. W celu zapewnienia córce fałszywej tożsamości książę zwrócił się do wspólnoty żydowskiej, której okazał wielką lojalność, zwłaszcza gdy bronił majora Meno Burga.

Rozumował pewnie w ten sposób, że żydowska rodzina stanowi gwarancję pozostawania poza zasięgiem intryg politycznych prowadzonych przez osoby z najbliższego otoczenia króla, a zwłaszcza taka skromna rodzina jak Gottschalkowie, z którymi miał już związek poprzez swojego krawca Isadorea i rzekome ojcostwo wnuczki tegoż, Agnes. Jeśli Charlotte oficjalnie przyjęłaby nazwisko Gottschalk, możliwość, że zawsze będzie stanowić zagrożenie dla rodziny królewskiej, i to w czasach powszechnego w Prusach antysemityzmu, praktycznie zniknęła.

W pewnym momencie August musiał się spotkać z Isadore'em, z którym swój konflikt zapewne wcześniej załagodził, i zasugerował wspólne przeprowadzenie planu. Wiedział o swoim krawcu wystarczająco dużo, aby móc ocenić, czy może mu zaufać i powierzyć tę ważną tajemnicę. I uznał, że może. Poza tym Gottschalkowie byli od niego zależni, jeśli chodzi o udzielanie im pomocy finansowej na utrzymanie Agnes, a także korzystanie z usług krawieckich Isadore'a. Zrobili więc, co im kazał, działając we własnym interesie.

Po stosunkowo wczesnej śmierci ojca mała Charlotte znalazła się w stanie zawieszenia. W rejestrze kościelnym figurowała jako Gottschalk, choć być może do tego czasu nie poznała nikogo z tej rodziny, bo pomimo swego nie-

zwykłego statusu prawnego mieszkała z rodzicami biologicznymi. Jeśli Wittgenstein znał cały ten plan - a z pewnością tak, gdyż w zdobywaniu informacji nie miał sobie równych i nie musiał o nic pytać Augusta - to zapewne zechciał wykorzystać zaistniałą sytuację. Prawdopodobnie po śmierci Augusta nalegał na króla i przekonał go, by zmusił Emilie do poddania się, a Charlotte do zamieszkania z rodziną, której nazwisko jej nadano. Wittgenstein musiał rozumować następująco: jeśli Charlotte zostanie uznana za członkinię rodziny Gottschalk, to nie będzie już nigdy stanowiła zagrożenia dla króla i wszelkie związane z nią kwestie i żądania znikną na zawsze.

Bez wątpienia zawarta umowa uwzględniała również jakieś pieniądze dla Isadore'a Gottschalka, przeznaczone na utrzymanie Charlotte, ale jest także prawdopodobne, że nie dano mu żadnego wyboru. Żydowska rodzina mieszkająca w tamtych czasach w antysemitycznych Prusach nie mogła dyskutować z kimś tak potężnym jak księżę Wittgenstein. Mogła nawet uważać za korzystne dla siebie wychowywanie królewskiego dziecka. Pozostaje mi tylko nadzieja, że Gottschalkowie byli dobrzy dla małej dziewczynki, którą wcisnęli im ludzie zachowujący się pod wieloma względami jak ich najgorsi wrogowie. Charlotte musiała wówczas przeżyć wielką traumę w związku ze śmiercią ojca i dziadka i z odseparowaniem jej od matki oraz oddaniem na wychowanie obcym ludziom.

Powiedziała swoim wnukom, czyli mojemu ojcu i stryjowi, że była „księżną”, podczas gdy w rzeczywistości była sierotą. Nie pozostawiła po sobie żadnych spisanych wspomnień, tylko uwagi w notatniku, które poddałam drobiazgowej analizie. Muszę

więc uznać, że nigdy nie dowiemy się niczego więcej na temat jej życia u Gottschalków w tym wczesnym okresie. Wszystko, co ewentualnie powiedziała członkom tej rodziny, najwyraźniej ujawniano z oporami i raczej trzymano w tajemnicy, toteż prawdziwa historia, którą Charlotte miała do opowiedzenia, umarła wraz z nią. Gdy bawiła się ze swoim ojcem i zarazem pruskim księciem, nie dowiedziała się, że ze względów bezpieczeństwa jej prawdziwa tożsamość została ukryta. Była na taką wiedzę o wiele za mała. Jeśli dowiedziała się wystarczająco dużo o swej przeszłości jako osoba dorosła, aby móc napisać do króla w sprawie męża, to musiało to nastąpić później.

Zgodnie z tym, co August oznajmił w notatniku, był „protektorem” Emilie. Gdy zmarł, nie mogła się stać „protektorką” siebie samej ani też swojej małej córeczki. Na podstawie swoich wcześniejszych doświadczeń wiedziała, że groźba zamachu na jej życie jest realna, i musiała się czuć rozdarta.

Straciwszy ukochanego męża, potem ojca, a następnie przyjaciela Uhdego, zapewne chciała trwać przy córce jak nigdy dotąd. Zarazem dostrzegała grożące jej samej i Charlotte poważne niebezpieczeństwo, gdyby zaczęła walczyć z politycznym establishmentem i zatrzymała u siebie Charlotte po tym, jak dostała szorstki list od Wittgensteina. Bez względu na to, jaka jest prawda o wydarzeniach, które nastąpiły po śmierci Augusta, Emilie z pewnością odebrano córkę. W chwili gdy to pochodzące z królewskiego rodu dziecko przekazano innej rodzinie, jego matkę czekało życie w samotności, bo Charlotte na zawsze zniknęła z jej oczu.

W końcu miałam niemal pełny obraz sytuacji. Dysponując listem Emilie do króla, wpisem narodzin Charlotte do

rejstru kościelnego w Berlinie pod fałszywym nazwiskiem, informacją z księgi wjazdów do Hamburga o zjawieniu się tam dziewczynki i napisem na nagrobku mojej prababki na berlińskim cmentarzu żydowskim - mogłam prześledzić jej losy we wczesnym okresie życia. Byłam niemal gotowa zostawić w spokoju tych ludzi, z którymi spędziłam tyle lat, tropiąc i poznając ich dzieje. Nawet ja dostrzegałam teraz, że prawdopodobnie nie ma już niczego więcej, czego mogłabym się dowiedzieć na temat Emilie i Charlotte. Pora było rozstać się z nimi i z wszystkimi innymi. W tym celu postanowiłam najpierw powrócić do miejsca, gdzie wszystko się zaczęło, do pałacu przy Wilhelmstrasse 65 w Berlinie, gdzie August i Emilie poznali się w wielkiej sali balowej i zakochali w sobie od pierwszego wejrzenia, uruchamiając całą historię - która w końcu doprowadziła do pojawienia się na świecie mnie i moich trzech synów. Spodziewałam się, że z czasem pałac zmieniono w biurowiec lub w hotel albo pasaż handlowy, ale wierzyłam, że mimo to zobaczę coś z jego minionej świetności.

Gdy jednak dotarłam na Wilhelmstrasse 65, okazało się, że pałacu już nie ma. Tam, gdzie powinien stać, była po prostu przerwa między dwoma budynkami, jak dziura po zębie. Poczułam wielki zawód, że ktoś pozbawił mnie możliwości rzucenia okiem na ten wspaniały budynek, o którym tyle przeczytałam w archiwach, i zaczęłam się zastanawiać kto. Czyżby został zbombardowany w czasie wojny? Co się z nim stało? Poszłam sprawdzić w miejscowych dokumentach i dowiedziałam się, że Luiza, siostra Augusta, i jej mąż, książę Antoni Radziwiłł, sprzedali pałac królowi i państwu po śmierci swego brata i szwagra. Kie-

dy podejmowali tę decyzję, nie mogli przewidzieć, że ten piękny budynek spotka tak makabryczny los.

W XIX wieku w Prusach nasilał się antysemityzm - także u tak potężnych ludzi jak na przykład Wittgenstein - zniewalając serca i umysły coraz bardziej rozgniewanych i rozgoryczonych z powodu ogólnej sytuacji mieszkańców kraju, co w końcu znalazło kulminację w powstaniu partii nazistowskiej i w wydarzeniach, które doprowadziły do śmierci milionów Żydów z rodzin takich jak nasza. Gdy władzę zdobył Adolf Hitler, zarekwirował ten pałac i uczynił z niego element kompleksu niesławnej Kancelarii Rzeszy. Zajął pałac Augusta i zlokalizował w tym gmachu budzące strach Ministerstwo Sprawiedliwości. Oglądając w berlińskich archiwach zdjęcia pałacu, stopniowo uświadomiłam sobie straszną prawdę. Otóż to w sali balowej, w której August i Emilie się poznali, Hitler potwierdził „ostateczne rozwiązanie kwestii żydowskiej”, składając podpis pod stosownym dokumentem, który bezpośrednio doprowadził do śmierci wnuczki Emilie i Augusta, czyli mojej babci Anny, po zajęciu przez Niemcy Czechosłowacji, sto dziesięć lat po tym, jak w tej sali tańczyli pruski książę i polska arystokratka.

Hitler był fanatycznym wielbicielem Fryderyka II. Gdyby znał historię pochodzenia Anny i wiedział o jej pokrewieństwie z królem Prus, to z pewnością nie zaaprobowałby tego, co się z nią stało. Niemal na pewno wiedział, że mąż Jutty, jeden z jego zaufanych generałów, był potomkiem księcia Augusta, i podziwiał go za to, podczas gdy o Annie i jej linii genealogicznej nie miał pojęcia. Anna, podobnie jak pozostali członkowie naszej rodziny, była po prostu

numerem w kłopotliwej statystyce, której problem należało zdaniem Hitlera rozwiązać. Ten pałac, który stał się jednym z najbardziej niesławnych budynków w historii Europy, zburzyli Rosjanie, gdy pod koniec wojny wkroczyli do Berlina. To zniszczenie miało wymiar symboliczny. Uważałam, że rozumiem powody i motywy kierujące Emilie, które sprawiły, iż w dniu, w którym zakochała się w Augustcie, podjęła takie a nie inne decyzje. Gdy jednak otrzymała list od Wittgensteina, zawarta tam odpowiedź znaczyła, że teraz ktoś podjął decyzję za nią. Odebrano jej ukochane dziecko i oddano na zawsze Gottschalkom. Emilie nie należała do osób, które uganiają się za władzą i bogactwem. Naprawdę uważam, że na balu w pałacu przy Wilhelmstrasse 65 w Berlinie, kiedy była niemal dzieckiem, zakochała się bez pamięci w jednym z najbardziej charyzmatycznych mężczyzn tamtych czasów, a on w niej. Wierzę, że to miłość trzymała ich razem, wbrew dzielącym ich różnicom, przez następnych jedenaście lat - i doprowadziła do przeciwstawienia się przez nich królowi oraz do spłodzenia dziecka. Rozumiem, co to znaczy być tak zakochanym, bo ja również zakochałam się w kimś i byłam szczęśliwą mężatką przez czterdzieści dwa lata, do śmierci Kena w 1990 roku.

Emilie musiała od początku wiedzieć, że gdy zgodzi się na związek z Augustem, dwór królewski odsunie ją od siebie - jeśli nawet, co prawdopodobne, nie w pełni rozumiała tego skutki, zważywszy na jej młody wiek. I bardzo szybko została ostrzeżona, że dziecko z tego związku jest bardzo niepożądane przez dworski establishment. Nawiązała

jednak z Augustem bliższą znajomość. Był to naprawdę wielki romans. Niedługo przed śmiercią Ken powiedział, że cieszył się każdą chwilą naszych poszukiwań śladów pozostawionych przez Augusta, Emilie i Charlotte, a lata, które spędziliśmy na tych poszukiwaniach, były najszcześniejsze w jego życiu.

List z za grobu

Z wiekiem coraz częściej powracałam do ostatnich lat i dni życia mojej babci Anny. Nie było dnia, kiedy nie myślałabym o niej z czułością. Alice, żona mojego stryja Freddy'ego, powiedziała mi na początku lat osiemdziesiątych o czymś, co zdarzyło się w 1956 roku, kilka miesięcy po śmierci mojego ojca. Ujawniła więc ten fakt dopiero po ponad dziesięciu latach od śmierci mojej matki i po ponad piętnastu od śmierci swojego męża.

- Pewnego dnia zadzwonił dzwonek do drzwi mieszkania twojej matki - zaczęła Alice. - Gdy otworzyła, okazało się, że to stara Czeszka z listem w dłoni, która oznajmiła, iż poszukuje Hansa Jareckiego. Przedstawiła się jako Edelstein, znajoma jego matki Anny. Miała ze sobą list, który napisała do niej Anna w 1942 roku, a który chciała przekazać teraz naszej rodzinie. Oczywiście moja zaskoczona

i zaintrygowana tą wiadomością matka zaprosiła ją do środka i wzięła od niej list. Poinformowała Czeszkę, że mój ojciec zmarł w marcu. Spoglądając na list, natychmiast rozpoznała elegancki charakter pisma swojej teściowej.

Gdy Alice opowiadała mi tę historię, wzięłam od niej list. Zaczęłam go czytać i poczułam tak silny przypływ emocji, że omal nie straciłam tchu.

Praga, sobota. Wielce szanowna i życzliwa Pani Edelstein. Piszę te zdania w bólu, aby wyrazić moje wielkie podziękowania za to, co szanowna Pani i Jej Mąż dla mnie uczynili. Jutro lub w poniedziałek zabiorą mnie stąd do Theresienstadt. Przez cały czas gorzko płaczę. Mam tak słabe serce, że ledwie chodzę. Na szczęście nie potrwa to wszystko zbyt długo. Przesyłam najserdeczniejsze pozdrowienia dla Pani drogiego Męża, a Panią, nieocenioną Pani Edelstein, mocno ściskam. Z wyrazami Najwyższego Szacunku i Życzeniami Szczęścia, Zasmucona Frau Jaretzka

Minęło czternaście lat, zanim rodzina dowiedziała się o ostatnich dniach życia Anny. I trzy miesiące od śmierci mojego ojca. Prawdopodobnie zabrano ją do Theresienstadt (Terezina) latem 1942 roku, bo to właśnie wtedy przestaliśmy otrzymywać od niej listy i kartki. Może mój ojciec miał szczęście, że nie musiał wysłuchać informacji na temat losu swojej matki i mógł się ucześcić wątłej nadziei

o jej godnej i wolnej od cierpień śmierci we własnym mieszkaniu? Widząc, że pani Edelstein zjawiała się u nas w jak najlepszej wierze, matka zaczęła pytać ją o różne rzeczy. Najwyraźniej otrzymane odpowiedzi obudziły w niej lęki znane z okresu, kiedy mieszkała w kraju, którego władze mogły zrobić z każdym, co chcieli, włącznie ze skazaniem go na śmierć tylko dlatego, że tak sobie zażyczyły.

Jak dowiedziałam się z relacji Alice, której moja matka opowiedziała o wizycie pani Edelstein, żołnierze niemieccy zabrali Annę 16 lipca 1942 roku, czyli na dwa dni przed dziewięćdziesiątą dziewiątą rocznicą śmierci jej dziadka Augusta. Z listu Anny wynika, że liczyła się ze swoją szybką śmiercią, zanim jeszcze esesmani zapukali do drzwi mieszkania, w którym się ukrywała, i kazali jej zejść po schodach z ostatniego piętra, a następnie wsiąść do czekającej na zewnątrz ciężarówki.

- Dowiedziałam się później - ciągnęła pani Edelstein - że ciężarówka skierowała się na przedmieście Pragi, skąd pani teściowej i innym pasażerom kazano iść niemal trzydzieści kilometrów w upale do miejsca przeznaczenia, czyli do Theresienstadt.

Theresienstadt był dla wielu tysięcy przetransportowanych tam Żydów przystankiem przed ich wysyłką do Auschwitz na niemal pewną śmierć. Pozbawiano ich tam wszystkich rzeczy. Z czasem ten obóz stał się, tak samo jak inne, miejscem masowej zagłady. Mój ojciec miał wbrew wszystkiemu nadzieję, że jeśli jego matkę zabiorą do tego obozu, to śmierć spotka ją tam, a nie w Auschwitz.

Niestety, pani Edelstein nie wiedziała, co się stało z Anną, gdy ta przekroczyła bramę Theresienstadt. Nie potrafiła powie-

dzieć mojej matce, czy Anna wyruszyła stamtąd w ostatnią drogę do tego niesławnego i najbardziej przerażającego spośród wszystkich obozów koncentracyjnych.

- Mojego męża Hansa nie ma już na świecie, dlatego proszę przekazać ten list osobiście do rąk jego brata Freddy'ego - zaproponowała moja matka, gdy Czeszka skończyła opowieść.

Pani Edelstein się zgodziła. Może uważała, że powinna wypełnić swoją misję do końca, skoro przez tyle lat chroniła list przed zniszczeniem? Mogę sobie tylko wyobrazić, jak czuł się stryj Freddy, czytając słowa matki. Najwyraźniej zawarł wówczas z moją matką umowę, że nie powiedzą nikomu o istnieniu tego listu. W ten sposób pojawił się kolejny sekret w rodzinie, która miała ich już zbyt wiele. W końcu jednak Alice zechciała mi ten list pokazać.

Gdy wysłuchałam opowieści stryjenki, byłam w szoku, wyobrażając sobie moją babunię, którą pamiętałam i bardzo kochałam, jak czeka w swoim mieszkaniu na przyście nazistów, aby ją zabrali do obozu. Zarazem chciałam się dowiedzieć więcej na temat losów Anny po tym, jak napisała ten list, choć wiedziałam, że cokolwiek odkryję na temat ostatnich dni jej życia, złamie mi to serce. Nadal miałam swój pamiętnik z dzieciństwa z jej wpisem:

Kiedy sama będziesz babunią i usiądziesz wraz z dziaduniem w bujanym fotelu, i zaczniecie wspominać radosne dni swego dzieciństwa, nie zapomnij też o swojej Oma Annchen.

Starając się poznać oficjalną wersję wydarzeń, napisałam kilkakrotnie do władz Czechosłowacji i w końcu w 1984 roku otrzymałam odpowiedź, niemal trzydzieści lat po śmierci mojego ojca, który do końca swoich dni nie wiedział, co stało się z jego matką i czy zginęła w Auschwitz. Czechosłowackie władze komunistyczne poinformowały mnie, że 16 lipca 1942 roku Annę zabrano do Theresienstadt, czyli pięć dni po napisaniu przez nią przytoczonego wyżej listu, a zaledwie kilka tygodni później, 12 sierpnia, zmarła tam, najwyraźniej na tyfus. Podali mi nawet numer transportu, w którym przybyła, i numer działki, gdzie, jak oświadczyli, znajduje się jej grób. Gigantyczna i skutecznie działająca machina nazistowskich zbrodni nie dręczyła jej więc zbyt długo. Znałam teraz koszmarną prawdę o końcu mojej babuni.

Gdy tylko dowiedziałam się, jak Anna zginęła, pomyślałam o moim ojcu, który przez tyle lat musiał żyć w niewiedzy, czy jego matkę zamordowano w Auschwitz, czy też nie. W najczarniejszych chwilach wyobrażaliśmy sobie, że Anna musiała znosić jeszcze większe cierpienia niż te, o których opowiedziała nam pani Edelstein, a potwierdziły je władze Czechosłowacji. Mimo to trudno było nam pogodzić się z rzeczywistymi faktami i pozbyć się nadziei, że Anna umarła godną śmiercią w odpowiednich warunkach.

Wkrótce po tym, jak Alice powiedziała mi o liście, Hannah Miller, jedna z moich najlepszych przyjaciółek, skontaktowała się ze swoją kuzynką mieszkającą w Pradze i przedstawiła jej sprawę. Kobieta ta udała się pod wskazany adres, w szóstej dzielnicy, gdzie kiedyś mieszkała An-

na. Nie spodziewała się, że zostanie tam kogoś spośród osób mieszkających w tym domu w czasie pobytu Anny, ale liczyła na spotkanie z kimś, kto ją pamięta. Hannah była aktorką i prezenterką w BBC World Service, a mieszkała w pobliżu Tempie Fortune, w północnym Londynie. Często odwiedzałam ją w jej domu, gdzie na głos czytałyśmy niemieckie książki i rozmawiałyśmy o postępach w moich poszukiwaniach. Gdy zasugerowała, że skontaktuje się ze swoją kuzynką w Pradze, przyjąłam jej propozycję z wdzięcznością. Napisała do niej i jej odpowiedź nadeszła po kilku dniach.

- Zatrzymałam się pod tym domem i zadzwoniłam z ulicy pod wskazany numer - poinformowała nas.
- Drzwi otworzyła mi pani po pięćdziesiątce i przedstawiła się jako jedna z „sióstr Borakowych”, córek tego lekarza, Boraka, do którego mieszkania wprowadziła się Anna. Było to trudne do uwierzenia, ale nadal mieszkały razem w tym domu i żadna z nich nie wyszła za mąż. Ta, z którą się spotkałam, opowiedziała mi w żywy sposób o brzemiennym w skutki lipcowym dniu, kiedy zabrano stamtąd Annę. Oznajmiła: „Dobrze pamiętam Annę Jaretską. Widziałam, jak zabierają ją esesmani i jak wsiada do ich ciężarówki. To był straszny dzień. Wtedy widzieliśmy ją po raz ostatni. Musiała wszystko zostawić, bo pozwolili jej zabrać tylko małą torbę z rzeczami osobistymi”.

W tamtych latach tak wiele osób, z dziećmi włącznie, jak te dwie „siostry Borakowe”, było zmuszonych oglądać tyle przerażających rzeczy i nie mogło nic zrobić, żeby je powstrzymać. W pamięci pozostały im obrazy, które bez wątpienia prześladowały je do końca życia. Esesmanów

nie obchodziło, że Anna ledwie chodzi z powodu bólu stawów.

- Na jej widok jacyś młodzi Żydzi zeskoczyli z przyczepy, żeby pomóc staruszce wsiąść - powiedziała nam kuzynka Hannah. - Esesmani wyśmiewali się z nich.

Po dziś dzień czuję ból, gdy wyobrażam sobie, z jakim wysiłkiem moja biedna babcia Anna wsiadała do tej ciężarówki, starając się możliwie najlepiej wykonać rozkaz. Gdy już w tak żywy sposób odmalowano mi w końcu tę scenę, tym silniej przeżywałam wydarzenia z życia rodziny Anny, które miały miejsce sto lat wcześniej, i jej tragiczny koniec. Jak mogło do tego dojść? - zastanawiałam się. Skromna, łagodna wnuczka jednego z największych książąt Europy umarła anonimowo w przeludnionym obozie koncentracyjnym, ponieważ jej dziadkowie próbowali uchronić swą córkę, a matkę Anny, przed grożącymi jej niebezpieczeństwami i ukryli prawdziwą tożsamość Charlotte.

Epilog

Odwiedziny u Anny

Gdy zbliżyłam się do wieku, w którym była, gdy ją znałam, wzmagala się u mnie potrzeba właściwego pożegnania się z nią, powiedzenia jej, że mała wnuczka nadal o niej pamięta i kocha ją z całego serca. Zarazem chciałam się przekonać, czy potrafię choć trochę zrozumieć, dlaczego ludzie bywają wobec siebie tak okrutni. Jak ktoś mógł swym nieludzkim zachowaniem doprowadzić do śmierci bezbronną starą damę, nękaną przez zapalenie stawów, kobietę, która miała miłość dla każdego w swoim otoczeniu? Nigdy w życiu nie zrobiła sobie z nikogo przeciwnika, tymczasem ci ludzie uznali ją za swojego wroga, którego trzeba obrabować i podeptać jego godność.

Po zburzeniu muru berlińskiego w 1989 roku nasz syn Timothy zasugerował, że on, Ken i ja powinniśmy wybrać się do Theresienstadt, czyli do czeskiego Terezina, gdzie

znajdowało się w czasie wojny, oprócz obozu koncentracyjnego, także getto żydowskie. Wiedział, jak bardzo chciałam odwiedzić miejsce wiecznego spoczynku Anny po tych wszystkich listach, które do mnie napisała, wyrażając w nich nadzieję, że jeszcze się spotkamy. I w duchu przygotowywałam się już na wyjazd.

Gdy oswajałam się z tym pomysłem, Ken zachorował i zmarł 12 października 1990 roku. I tak rozdzieliliśmy się po długim życiu razem. Oczywiście był to dla mnie trudny okres. Dużo wtedy rozmawiałam z Timothyem

o swoim życiu i o sprawach, którymi się zainteresowałam dzięki małemu notatnikowi. Tak jak wcześniej z Kenem, tak teraz z Timothyem często spacerowałam po Kenwood, wspaniałym parku położonym w pobliżu naszego domu, obejmującym Hampstead i Highgate. Zastanawiałam się wtedy, jak dużo Anna wiedziała o swojej matce

i o dziadkach. I czy Charlotte zwierzyła się jej z czegoś, co Anna postanowiła zachować dla siebie? Uważałam, że Ken dowiedział się wszystkiego, czego chciał, na temat mojej prababki, toteż w ciągu minionych lat wiele spraw zachowałam dla siebie. Dopiero teraz zaczęłam o nich mówić, gdyż zdałam sobie sprawę, że Timothy, który od młodych lat chłonał informacje na temat przeszłości rodziny, też czuje potrzebę wyjazdu do Terezina, by okazać swej prababce szacunek. Ta cała historia pochłaniała go tak samo jak mnie, a wsparcie, którego mi udzielał, bardzo mnie podbudowywało. Tak jak przy Kenie, czułam się przy nim bezpiecznie.

Z chwilą gdy nastawiłam się na wyjazd do Theresienstadt, zaczęłam odczuwać wewnętrzny przymus udania się

tam. Chciałam się znowu „spotkać” z moją ukochaną Annchen. Inni członkowie rodziny uważali, że nie będą w stanie stawić czoła bólowi, jaki wywoła w nich to miejsce, wszyscy z wyjątkiem Timothy'ego, który zaczął myśleć o historii naszej rodziny tak samo jak ja. Kiedy po wojnie uczył się w szkole z internatem, był to dla niego trudny okres ze względu na jego niemieckie pochodzenie. Później starał się to zmienić i gdy został filmowcem, uczynił głównym obiektem swoich realizacji Niemcy, Prusy i Europę oraz ludzi, którzy wpłynęli na historię, co pozwoliło mu zrozumieć, jak wyglądało życie Augusta i Emilie. Zorganizowanie wszystkiego zajęło nam trochę czasu i ostatecznie pojechaliśmy do Theresienstadt w 2005 roku, ponad trzydzieści lat po tym, jak dzięki notatnikowi rozpoczęłam tę wyprawę w przeszłość. Najpierw jednak odwiedziliśmy dom, w którym Anna mieszkała w Pradze. Byłam w tym mieście po raz pierwszy od czasu, kiedy pożegnałam się z babcią na dworcu. Miejsce, gdzie mój stryj znalazł dla niej mieszkanie, było ciche i spokojne, co stwierdziliśmy, gdy przywiózł nas tam kierowca hotelowy, a tamtejszy park wyglądał bardzo zachęcająco. Stojąc przy drzwiach tego domu, wyobrażałam sobie, jak przerażające musiały się wydawać działania wojenne Niemców tym, którzy tu mieszkali i nie mieli pojęcia, co mogą one oznaczać dla ich życia lub co ich spotka. Byłam bardzo poruszona, spoglądając w okno mieszkania Anny na poddaszu, ale nie płakałam. Ze względu na nią chciałam być w jak najlepszej formie, tak samo dzielna i spokojna jak ona tamtego dnia w 1942 roku.

Następnie pojechaliśmy do dzielnicy żydowskiej w starej części miasta, gdzie odwiedziliśmy starą synagogę i żydowski cmentarz o tysiącletniej historii. Powiedziano mi, że na ścianach tej synagogi namalowano nazwiska wszystkich praskich Żydów, którzy zginęli w Holokauście. Wiedziałam, że będzie to długa lista, lecz mimo to przeżyłam szok, widząc ściany zapisane od podłogi do sufitu dziesiątkami tysięcy nazwisk. Staliśmy tam oszołomieni, nie mając pojęcia, gdzie powinniśmy zacząć szukać nazwiska Anny. Nie było tam nikogo, kogo moglibyśmy poprosić o pomoc, tylko milczące mury z przerażającymi rzędami nazwisk osób zmarłych i zamordowanych, rzędami, które nie miały końca.

Nagle, bez widocznego powodu, wzrok Timothy'ego przyciągnęło nazwisko widniejące w jednym z kątów budynku, jakby krzyczało, żebym na nie spojrzała.

- Anna Jaretzka jest tu! - zawołał. - Znalazłem Annę!

Wydawało się, że to jakiś cud, ale istotnie obok imienia i nazwiska widniały daty: 1864-1942. Nie potrafiłam znaleźć słów, aby wyrazić emocje, które mnie wówczas opanowały. Po prostu zaniemówiłam. Czułam się podniesiona na duchu. Bardzo przeżywałam moją tu obecność i to pobudzenie pamięci związanej z Anną, które w końcu nastąpiło.

Następnego dnia pół godziny jechaliśmy z miejsca na przedmieściu, gdzie Annie kazano wysiąść z niemieckiej ciężarówki, do miejsca, w którym umarła. I przez całą tę podróż wyobrażałam sobie swoją babcię, delikatną starszą panią zmuszoną przebyć tę drogę pieszo w lipcowym upa-

le. Nie wydawało się, aby od tamtego czasu dużo się w tej okolicy zmieniło w ciągu minionego z górą półwiecza. Drogą przemieszczały się teraz stare maszyny rolnicze i chłopskie wozy, a wokół widać było stare domy.

Zanim dotarliśmy do dawnego getta w Terezynie, udaliśmy się do starej twierdzy, którą w latach okupacji zajmowali Niemcy. Był dzień 12 sierpnia, sześćdziesiąta trzecia rocznica śmierci Anny. W twierdzy mieliśmy spotkanie z dyrektorem. Nasz kierowca zatrzymał się przed głównym wejściem z wielką drewnianą bramą, po drugiej stronie mostu nad fosą. To było opuszczone miejsce.

- Powinniśmy być wdzięczni losowi - zaczął cichym głosem Timothy, szukając słów zdolnych mnie pocieszyć - że jej cierpienie nie trwało długo, że umarła tu i nie przetransportowali jej do Auschwitz, czego obawiał się twój ojciec.

Było tu pusto i okazało się niemożliwe wywołanie kogokolwiek przez znajdujący się przy bramie domofon. Rozmyślając o ostatnich dniach Anny, czekaliśmy około dwudziestu minut w samochodzie, zanim w końcu wysiedliśmy i dalszą drogę odbyliśmy pieszo. Kiedy wprowadzono nas na spotkanie z dyrektorem, doktorem Janem Munkiem, emerytowanym wykładowcą uniwersyteckim i znawcą historii tego okresu, znaleźliśmy się w surrealistycznej sytuacji, rozmawiając z nim w dawnym biurze *Kommandanta*. Ale każde z nas odetchnęło głęboko i odsunęło od siebie myśl o potworności tej chwili, żebyśmy mogli poczuć się silni w związku z tym, co mieliśmy usłyszeć.

- Pani babka przebywała w koszarach Hanower - poinformował doktor Munk - przeznaczonych dla ludzi sta-

rych. Zjawiała się sama, bez rodziny, nie miała więc nikogo, kto mógłby się nią opiekować. W wieku siedemdziesięciu ośmiu lat nie mogła tu długo przetrwać. Ci, którzy mieli rodziny, zwykle żyli dłużej i trafiali do transportów odjeżdżających do Auschwitz.

Ostatnio wyszło na jaw, że takim ludziom jak Anna naziści kazali w chwili zabierania ich do obozu podpisać umowę z państwem, w której zgadzali się, w zamian za opiekę, oddać wszystkie swoje pieniądze, kosztowności i inne rzeczy. Według doktora Munka Annie powiedziano, że wyjeżdża do uzdrowiska, do swego rodzaju domu spokojnej starości. Jeśli dała się przekonać tymi pustymi obietnicami do podpisania umowy, to łudziła się tylko do chwili przybycia do tego straszego miejsca.

- Co stało się z komendantem obozu? - spytał Timothy.

- Oczywiście nie okazano mu litości - oznajmił doktor Munk. - Żył w tej twierdzy wraz ze swoją rodziną, w luksusie, aż do zakończenia wojny, kiedy to pojmano go, po czym został osądzony przez miejscowy sąd. Powieszono go na tym dziedzińcu.

Chciałam się dowiedzieć wszystkiego i zasypałam go pytaniami. Wydawało się czymś niezwykłym, że naziści zadali sobie taki trud z powodu jednej nieszkodliwej kobiety. Dlaczego potężna wojskowa machina Niemiec tak ją przeceniła i ktoś poświęcił swój czas i energię, aby zabrać moją babcię z jej mieszkania i skazać na śmierć tutaj? Cóż to było za szaleństwo! Pobyt tu okazał się dla mnie wielkim przeżyciem, ale nie wpędził w depresję, podobnie jak poznanie prawdy u źródła. Czułam się raczej pobudzona do

działania tym, że w końcu tu dotarłam. Ale różne szczegółowe informacje nadal wyciskały mi łzy z oczu, jak na przykład wiadomość, że szczątki zmarłych, których było tu wiele tysięcy, jak nam powiedziano, naziści wrzucali do rzeki, aż zapełniła się po brzegi i zatkała. Zrobili to na ileś dni przed przybyciem aliantów i wbrew przyrzeczeniu, że nigdy na coś takiego sobie nie pozwolą.

Zanim tu przyjechaliśmy, spytaliśmy przez telefon doktora Munka, czy moglibyśmy u nich zamówić i poprosić

o wmurowanie ku czci Anny kamiennej tablicy pamiątkowej. Był to człowiek życzliwy i otwarty na takie propozycje. Wysłuchawszy historii naszej rodziny, zgodził się na to

i pozwolił nam umieścić tę tablicę na murze kolumbarium, gdzie naziści gromadzili prochy tych więźniów, których zwłoki poddali kremacji. Prochy Anny nie zostały tu złożone, bo krematorium wybudowano dopiero rok po jej śmierci, ale to miejsce wydawało się odpowiednie dla uczczenia pamięci babci. Dyrektor przyprowadził nas na miejsce i podczas cichej ceremonii odsłoniłam tę tablicę, trzymając Timothy'ego mocno za rękę.

Następnie kierowca zawiózł nas na teren pochówków, gdzie się znajdowały zbiorowe groby. Do jednego z nich zostało wrzucone ciało Anny. Miasto, powiedziano nam, zwracano obecnie rodzinom, które tu mieszkały, zanim zjawili się Niemcy, a po nich Rosjanie. Teraz jednak widzieliśmy tylko opuszczone ulice i domy. Wydawało się, że niewielu dawnych mieszkańców zdecydowało się na powrót tu, jeśli mieli inną możliwość. Weszliśmy na ten teren i spacerowaliśmy między wkopanymi w ziemię kamiennymi tablicami nagrobnymi bez nazwisk. Powracając z tej

wędrówki, zatrzymaliśmy się wraz z dyrektorem w miejscowej szkole i obejrzelśmy wmurowaną tam tablicę z informacją, że żaden z uczniów uczęszczających do tej szkoły w okresie wojny jej nie przeżył, gdyż przetransportowano ich do obozu, gdzie zginęli.

Wróciliśmy na teren obozu następnego dnia, bo nie czuliśmy się jeszcze gotowi do rozstania z Anną. Tym razem udaliśmy się do koszar Hanower, gdzie Anna mieszkała przez trzy ostatnie tygodnie życia, do opuszczonego budynku z ogromnymi podwójnymi drewnianymi drzwiami. Podczas tej wizyty nie byłam smutna, lecz raczej zadowolona, że wypełniłam swój obowiązek i zrobiłam tyle, ile mogłam. Na terenie tego cmentarzyska rósł niezwykle piękny klon, jakże wzruszający w tym strasznym miejscu. Umieszczona pod nim tablica informowała, że po wojnie znaleziono młode drzewko na terenie getta Theresienstadt, zasadzone tam przez dzieci, które później zginęły w Auschwitz. Władze przeniosły roślinę na teren cmentarny, aby w ten sposób przypominać ludziom, że gdziekolwiek jest śmierć, jest także i życie.

W losie Anny najdziwniejsze i najbardziej ironiczne jest być może to, że ukrycie jej matki Charlotte w rodzinie żydowskiej - aby nie zginęła z woli pruskiego króla i jego dworu - jest niemal lustrzanym odbiciem historii maleńkiego Mojżesza ukrytego w koszu, w sitowiu na brzegu Nilu, żeby chłopiec nie został zabity z rozkazu faraona jako żydowskie dziecko, a następnie odnalezienia go przez córkę tego władcy i wychowania na egipskiego księcia, a tym samym ukrycia jego żydowskiego pochodzenia. W wypadku Charlotte, córki potężnego księcia mającej określone pra-

wa, prawda o jej pochodzeniu została ukryta, aby uchronić dziewczynkę przed śmiercią, i w rezultacie tego jej córka Anna musiała zginąć w nazistowskiej Europie podczas czystki etnicznej, która przypominała Holokaust ze starożytnego Egiptu. W wypadku Anny ironia losu polegała również na tym, że to, co w rzeczywistości się wydarzyło, stanowiło całkowite przeciwieństwo tego, co zawsze zakładali moi rodzice - że August związał się z prostą kobietą żydowskiego pochodzenia i dlatego utrzymywano to w tajemnicy. Największą jednak ironią losu było to, że zgodnie z sekretami ukrytymi w notatniku Augusta Anna była w linii prostej potomkinią jednego z najpotężniejszych i najbogatszych pruskich książąt, członka rodu, który Hitler darzył najwyższym szacunkiem. Pomimo to nie mogła uratować życia, stanąwszy w obliczu głęboko zakorzenionych uprzedzeń, okrucieństwa i nienawiści, które w czasie wojny zawstydzaly całą Europę. Było to wszystko zbyt bolesne, aby się nad tym zastanawiać.

Moja babcia Anna zginęła z powodu miłości łączącej Augusta i Emilie. Miałam nadzieję, że przebyłam całą tę drogę, aby móc jej odpłacić za miłość, którą darzyła mnie w dzieciństwie. W ciągu minionych trzydziestu pięciu lat wiele dowiedziałam się na temat ludzkości i samej siebie. Zdobyłam nowych przyjaciół na całym świecie, włącznie z członkami mojej rodziny, o których istnieniu wcześniej nie wiedziałam.

Kiedy wyruszałam na wyprawę w przeszłość, nie wiedziałam, co mi objawi. Dziękuję Bogu, że po zakończeniu tej eskapady mogę wyrazić słowa uznania dla Kena, dla innych członków mojej rodziny i dla wszystkich tych wspa-

niałych ludzi, którzy uczestniczyli w moim niezwykłym doświadczeniu i pomogli mi osiągnąć cel. Bo wszyscy razem przywróciliśmy Emilie, Charlotte i Annie ich prawdziwą tożsamość. Niech moja praprababka, prababka i babka spoczywają w pokoju.

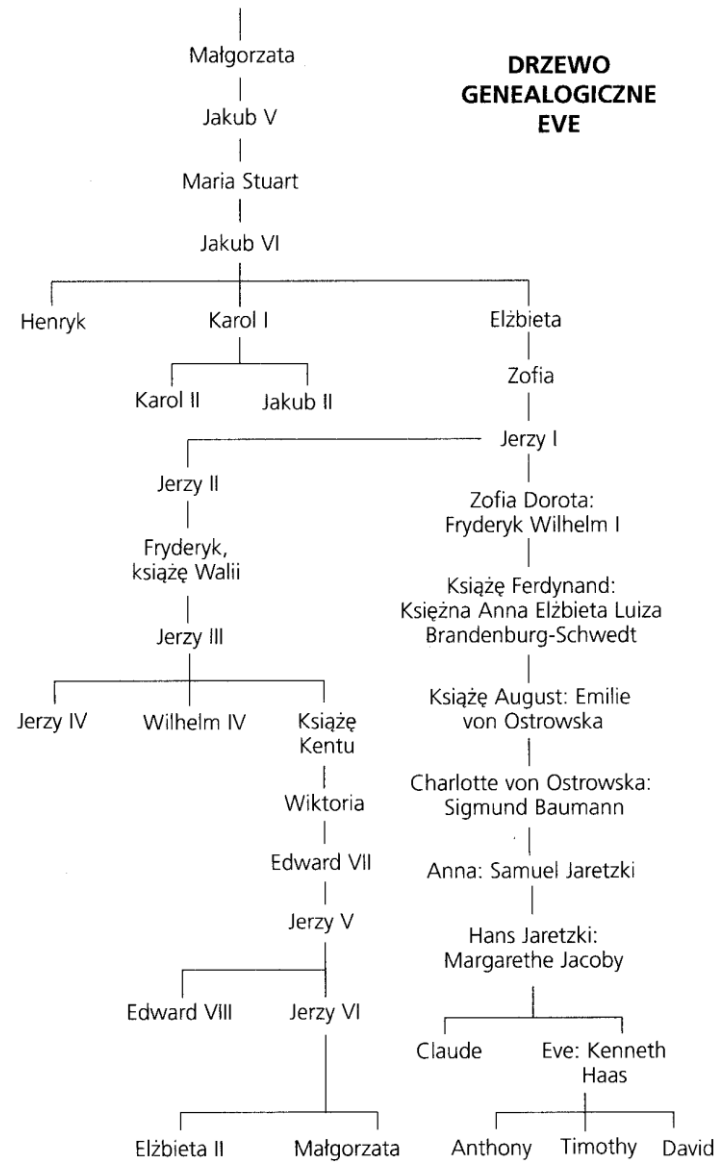
ANNA JARETZKI

Urodzona w Berlinie 7 marca 1864 roku

zmarła w Theresienstadt 12 sierpnia 1942 roku

„Bardzo kochana i zawsze pamiętana”.

Linia Tudorów – Linia Stuartów



Podziękowania

Gdy wyruszałam w tę pełną tajemnic wyprawę w przeszłość, nie wiedziałam, czego mogę się spodziewać i dokąd mnie ona zaprowadzi. Bez niezłomnego wsparcia i przewodnictwa tak wielu osób, nie zdołałabym pokonać licznych przeszkód i barier, które napotkałam na swej drodze. Mam wobec nich wszystkich wielki dług wdzięczności.

Z całego serca dziękuję Jej Królewskiej Mości Elżbiecie II za udzielenie mi pozwolenia na prowadzenie poszukiwań w Archiwum Królewskim w zamku Windsor. Dziękuję też mojej najdroższej przyjaciółce Hannah Miller, która z wielkim zapałem dzieliła ze mną moją pasję i zainteresowanie tematem, oraz Laurze Petzal, mojej wielkiej sojuszniczce i przyjaciółce, chętnie pomagającej mi w dzień i w nocy w pracy nad trudnymi przekładami. Nigdy nie zapomnę mądrości i przezorności Ernesta Lunna, którego sugestie często okazywały się w moich poszukiwaniach nieocenione. Nie zapomnę też Nancy Hadwen, która ani na chwilę nie przestała we mnie wierzyć; Herberta

Braunsberga za wszelką udzieloną mi pomoc, a zwłaszcza za tłumaczenia z francuskiego; Diany Daniels, która z wielkim zainteresowaniem i sprawnością przepisywała na maszynie moje pierwsze ustalenia; mojej bliskiej przyjaciółki Barbery Barclay, zawsze gotowej podzielić się ze mną swą wiedzą; Eve Sheldon-Williams, która swą energią zawsze dodawała mi otuchy; Tony'ego i Trudę Frigeri, których miłość i pomoc stanowiły dla mnie inspirację; i mojej najstarszej przyjaciółki Stephanie Rosenblatt, zastępującej mi siostrę, której miłość i lojalność stanowiły dla mnie źródło siły w drodze przez życie.

Mój mąż Ken i ja spędziliśmy wiele szczęśliwych godzin w Berlinie-Dahlem, w towarzystwie doktora Eckarta Henninga, dyrektora archiwum Hohenzollernów, i jego żony Herzeleide, kierowniczki tamtejszej biblioteki. Dostarczyli nam olbrzymiej wiedzy i tak samo jak my ekscytowali się naszymi odkryciami. Dzięki prowadzonym poszukiwaniom zyskałam nowych, jakże mi drogich członków rodziny, to jest Egberta von Ostrowskiego i jego żonę Hildegard, i zdobyłam ich wspaniałą przyjaźń. Słowa wdzięczności i podziękowania kieruję do Jutty von Waldenburg za pomoc i za wszystko, co mi powiedziała na temat naszej pruskiej rodziny. Dziękuję moim kuzynom Thomasowi i Aleksowi Jarrettom oraz ich żonom - Doris i Pat. W swoich poszukiwaniach praprababki Emilie zawsze mogłam liczyć na ich niezłomną pomoc i wsparcie. Dziękuję także moim synowym Michelle i Brigitte, które wkroczyły w mój świat z takim zachwytem i entuzjazmem. Dziękuję mojemu ukochanemu kuzynowi Peterowi, jego żonie Claire, ich synowi Danielowi i córce Emilie. A także mojemu drogiemu

bratu Claude'owi, który towarzyszył mi myślami we wszystkich wyprawach.

Chciałabym także wyrazić wielką wdzięczność niżej wymienionym osobom oraz instytucjom i ich pracownikom. Są to:

Jeffrey Finestone, Burke's Peerage

David Williamson

John Dudley

Sir Roger Fulford

Ian Bowater

Arthur Addington

Steve Jones

W.F Ashbrook

Alexe von Brockdorff

Malcolm Kafetz

Dr Jan Munk, dyrektor Ośrodka Pamięci w Terezynie Frank Eyck, emerytowany profesor historii,

Uniwersytet Calgary Debrett's Peerage

W.J. Larkworthy, The Wallace Collection, Londyn

Mark Lefanu, The Society of Authors

Victoria & Albert Museum

British Museum

London Library

British Library

Goethe Institute, Londyn

German Historical Institute, Londyn

Nationalgalerie, Berlin

Geheimes Staatsarchiv Preussischer Kulturbesitz, Dahlem, Berlin [do zjednoczenia Niemiec Berlin Zachodni]

Herr Waltmann, Deutsches Zentralarchiv, Merseburg, [do zjednoczenia Niemiec NRD]

Southampton University

Spis treści

Prolog. Pierwszy rzut oka na notatnik	9
1. Żegnaj, Berlinie! Witaj, Hampstead!.....	17
2. Brak wiadomości od babuni Anny z Pragi.....	39
3. Spotkanie z Emilie.....	44
4. Zew przygody.....	54
5. Powrót do Berlina	76
6. Przekroczenie granicy	88
7. W murach zamku	95
8. Czarowanie ministra	102
9. Zniknięcie paszportów.....	112
10. Otwarcie archiwum	123
11. Mój prapradziadek - księżę pruski August	128
12. Gottschalk.....	144
13. Odnalezienie Emilie	149
14. Wyjście na bal.....	157
15. Zamachowiec w pałacu i zniknięcie Victora	163
16. Śmierć księcia.....	178
17. Pokorna prośba.....	187

18. Oferta szpiegostwa	195
19. Enerdowski blef.....	207
20. Książę w Anglii	213
21. Odwiedziny u Augusta.....	220
22. Sprzymierzeniec w Berlinie	228
23. Zabójcze dziedzictwo.....	233
24. Odnalezienie Charlotte	240
25. Ostatni element układanki.....	247
26. Śladami Isadorea i Charlotte	258
27. Pałac, który zniknął	268
28. List z za grobu	277
Epilog. Odwiedziny u Anny	284
Podziękowania.....	297